

KRESOWY

Serwis Informacyjny



PAMIĘTAĆ O KRESACH, O MAŁEJ OJCZYŹNIE PRZODKÓW,
TO NIE TYLKO OBOWIĄZEK, ALE ZASZCZYT

Nr. 5/2016 (60), e-miesięcznik
1 maja 2016

NIEZBĘDNIK KRESOWY 2016
ISSN 2083-9448

Pomoc dla rodaków z Kazachstanu



Na początku kwietnia na północy kraju w powiecie Taiynsha kilka wiosek zostało zalanych przez wiosenne wody. Musiano ewakuować 250 mieszkańców z których 80% to Polacy. Rząd polski postanowił pomóc naszym rodakom. Wiceminister Spraw Zagranicznych RP Jan Dziędziczak oświadczył, że rozpatrywane są dwa sposoby tej pomocy. Pierwszy z nich to przyspieszenie repatriacji do Polski wszystkich chętnych i drugi pomoc finansowa dla tych co zdecydują się pozostać, by mogli wyremontować swoje domy i zakupić inwentarz. Pierwsza część pieniędzy została już przekazana do Kazachstanu - 6000 euro przeznaczone na zakup żywności i ciepłej odzieży. W dniu 4 maja, do Kazachstanu pojedzie polska delegacja parlamentarzystów na czele z marszałkiem Senatu jak również przedstawiciele władz i organizacji zajmujących się sprawami repatriacji. Przypomnijmy, że w Kazachstanie nadal mieszka ponad 34 tysięcy osób pochodzenia polskiego. Są to potomkowie Polaków deportowanych z terytorium dzisiejszej Ukrainy i Litwy.

Informacja za: <http://www.radiopolsha.pl/6/137/Artykul/250732#sthash.l6ZjqQku.dpuf>

Nie o zemstę a pamięć wołają ofiary

W zimną i deszczową niedzielę 12 kwietnia br. w pięknie położonej na terenie Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy wsi o nazwie Niezgodą, odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika upamiętniającego bestialsko wymordowanie mieszkańców podlowskich wsi Hucisko i Miedziaki. Patronat nad uroczystością objęli; Wojewoda Dolnośląski, Marszałek Województwa Dolnośląskiego, Poseł na Sejm RP. ... strona 4

„Kainie, dlaczego zabiłeś brata swego Abła?”

W sobotę, 23 kwietnia 2016 r., na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Bielinie k. Włodzimierza Wołyńskiego zostało odprawione uroczyste nabożeństwo za zmarłych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK i mieszkańców wioski Bielin zamordowanych w ... strona 7

Zwycięski Powrót Płk. Szendzielarza „Łupaszki”

„My jesteśmy z miast i wiosek polskich. My chcemy, by Polska była rządzona przez Polaków oddanych sprawie i wybranych przez cały Naród. Wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za pieniądze, ordery lub stanowiska z rąk sowieckich mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości.” To słowa Zygmunta Szendzielarza ... strona 11

Dzieje Polaków na Bukowinie -cz.2

Migracje Górali Czadeckich. Stanowiąc w przeszłości integralną część terytorium Księstwa Cieszyńskiego, osadnictwo ziemi czadeckiej, które przypada na okres XV i XVII w., szło dwiema drogami: zachodnia i środkowa część zaludniona została przez polskich osadników ze Śląska, zaś wschodnią część, ... strona 16

Czerwona mordownia żydowskiego NKWD na Kresach II RP. Zabójcze donosy.

Ta nadzwyczaj ponura, donosicielska rola znacznej części Żydów na Kresach Południowo-Wschodnich została wymownie opisana między innymi w znakomicie udokumentowanej książce żydowskiego autora Bena-Ciona Pinchuka. („Polska Wschodnia w przededniu Holokaustu (Towarzystwo Kultury Żydowskiej)”. Pisał on m.in.: strona 20

Moje Kresy – Zbigniew Grata cz.2

Moje kłopoty zaczęły się w momencie powstania w Brodach Arbeitsamtu (biura pracy). Niemcy zaczęli takich jak ja wywozić na przymusowe roboty do Rzeszy. Dzięki mamie i jej znajomym ciągle mi się udawało wywinąć. Dwukrotnie nas ostrzeżono, że jestem na liście do wywiezienia i dwukrotnie uciekłem.. strona 26

W pułapce życia-cz.6

Gdy weszła sekretarka i oznajmiła, że przed drzwiami czeka Stanisław Wrzos, który stawiał się na wezwanie, prokurator Korczan, przeglądał poranną prasę i pił kawę. - Dobrze, pani Joanno – uśmiechnął się zalotnie, bo dziewczyna była urocza: miała rude włosy, duże piersi, wąską talię i szerokie biodra. Od dawna miał na nią chrapkę, ale do tej pory nie zrobił jeszcze nic, aby ją zdobyć, ale czuł, że czas ten nieuchronnie się zbliża... – Niech czeka na korytarzu... strona 28

Kazachstańskie losy rodziny Bańkowskich z Jasiénca na Wołyniu

13 kwietnia mija 76 rocznica tzw. drugiej deportacji. Tego dnia 1940 r. Sowieci wywieźli z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej 60667 osób do Kazachstanu, z czego ponad 80% stanowili Polacy. Wśród osób zesłanych do Kazachstanu w.... strona 34

Historia rodziny Jezierskich

Jak pisze nasz ojciec, nasz przodek Ignacy Jezierski urodził się około 1820 r. na Podlasiu lubelskim. Do Porycka przyjechał w roku 1840, prace rozpoczął hrabiego Czackiego, po pewnym czasie został marszałkiem dworu. Za swoją pracę otrzymał od hrabiego dom z ogrodem w Starym Porycku. Ożenił się z Antoniną córką rządcy ze Starego Porycka. Zmarł dość młodo i został pochowany na cmentarzu. strona 375

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie!!! Odzyskane obrazy minionego czasu.

Zdjęcia poniżej prezentowane zostały zrobione w 1944 r. prawdopodobnie na Lubelszczyźnie maszerującym oddziałem 27 Wołyńskiej Piechoty AK, która wyzwoliła kilka miejscowości między innymi Kockstrona 40

Wrocław i Lwów Bratnie Miasta- cz.8. Miesiąc Lwowski

Nie tylko ja zauważyłam potrzebę wyeksponowania związków, zależności i współdziałania tych dwóch miast. Pisałam już wiele artykułów na ten temat, a teraz hucznie obchodzi się w naszym mieście miesiąc lwowski. Jest to bardzo cenna inicjatywa i wspaniałe przedsięwzięcie angażujące obie strony- polską i ukraińską. Przecież Wrocław i Lwów to bratnie miasta. Miesiącem lwowskim we Wrocławiu wybrano kwiecień. W tym roku katolickie Święta Wielkanocne wypadły według kalendarza gregoriańskiego 27 marca, natomiast prawosławna Pascha według kalendarza juliańskiego jest w tym roku 1 maja. Widać więc, że kwiecień nie jest przypadkowym miesiącem- to świetny czas na taką prezentację i symbolicznie łączy te dwie daty... strona 41

Profesor Eugeniusz Romer (1871-1954) wielki geograf wszechczasów syn ziemi lwowskiej.

Eugeniusz Romer urodził się 3 lutego 1871 roku we Lwowie. Zarówno ojciec jak i matka pochodzili ze starych rodzin szlacheckich. Rodzina ojca, gęsto rozszkana na Podkarpaciu aż po Sanockie, była tam osiadła co najmniej od końca XV w. Nigdy nie wybijała się majątkiem ani znaczeniem politycznym, jednak znaczne i pełne starych książek biblioteki mieszczącej się w ich siedzibach świadczyły o intelektualizmie rodu Romerów. Adam Romer (+1616) był komentatorem mów Cyncerona, profesorem..... strona 42

JEST TAKI POMNIK

Bogusław Szarwiło



POMNIK NEKROPOLII KRESOWYCH W ŚWIEBODZINIE powstał z inicjatywy wszystkich Kresowian których połączył: Świebodziński Związek Kresowian. Płyta czołowa zawiera dużo symboliki poczynając od konturów granic Polski obecnej i Kresów Wschodnich. W konturze Kresów umieszczony jest wykuty z granitu pień drzewa z korzeniami, symbolizujący nasze korzenie rodowe. Z pnia wyrastają małe, zielone gałązki symbolizujące odradzanie się na Kresach życia polskiego. Przed płytą czołową znajduje się specjalna nisza, w której złożono urny z ziemią przywiezioną z cmentarzy, pobojowisk i miejsc straceń – osobiście przez ludzi, którzy o to się wcześniej zatroszczyli. Złożono tam ziemię nasiąkniętą krwią Kresowian zarówno z różnych miejsc na Kresach jak i poza nimi, jak np. z pod „Monte Casino”, gdzie walczyli również żołnierze z Kresów.

Już 17 07 2006 r. w Świebodzinie obchodzono : 11 Lipca- Dzień Pamięci Męczeństwa Kresowian. http://www.swiebodzin.tv/6,332-kresowianie_pamietaja.html P/W zadaje kłam wszystkim tym, którzy krzyczą ponoć w imieniu Kresowian, a pamiętają jedynie o własnym podwórku, co ma dowodzić, że nie ma jedności wśród Kresowian. Ale ta jedność istnieje, ale wśród tych co coś robią dla upamiętnienia tragedii Kresów, bez zbytniego rozgłosu i celebry osobistej. A ci wylewający kubły pomyj na projekt posła Dworczyka, kiedy inni pracowali, jeszcze spali. A prawda jest taka, że z roku na rok kurczą się szeregi żyjących świadków „Ludobójstwa na Polakach żyjących na Kresach „ ludobójstwa dokonanego z premedytacją nie tylko przez nacjonalistów ukraińskich, chociaż ono było najbardziej wynaturzone. Ludobójstwo w wykonaniu OUN-UPA tak naprawdę to tylko się w

pisuje w wielki plan unicestwienia Polaków na Kresach, realizowany przez Sowietów i Niemców, wykorzystujących nacjonalistów dla realizacji swoich zamierzeń i to nie tylko ukraińskich ale litewskich czy białoruskich. A „Męczeństwo Kresowian” to nie tylko termin literacki jak próbują nam wmówić niektórzy literaci, ale faktyczna gehenna nie zawsze kończąca się śmiercią. Ci co to przeżyli wyraźnie o tym opowiadają, wystarczy poczytać jak trauma tego co przeżyli wpłynęła na resztę ich życia. Ból związany z utratą rodziny i przyjaciół, rodzinnych domów, dzieciństwa itd., Kresowianie ze Świebodzina przeżywają to razem spotykając się pod wspólnym pomnikiem łączącym a nie dzielącym nasze dawne Kresy. Dają nam wszystkim przykład jak przekazywać historię narodową przyszłym pokoleniom.

W 72. rocznicę śmierci gen. Kiwerskiego ps. Oliwa - dowódcy 27. WDP AK

Andrzej Łukawski

Dnia 18 kwietnia 1944 r. w południe, poległ w okolicznościach do dziś nie w pełni wyjaśnionych Jan Wojciech Kiwerski d-ca 27 WDP AK.

W poniedziałek, 18 kwietnia 2016r. o godzinie 16:00, na Skwerze Wołyńskim w Warszawie, jego podwładni wraz z potomkami żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, warszawskimi patriotami i przedstawicielami RS Porozumienie Pokoleń Kresowych odmówili modlitwę w intencji dowódcy 27 WDP AK. Modlitwę odprawił i kapelan OW SZŻ AK ks. płk. Andrzej Jakubiak. Krótki rys z historii generała przedstawiła Anna Lewak, Prezes OW Światowego związku Żołnierzy AK.

Na uroczystość tradycyjnie stawiła się grupa historyczna „Radosław” z Komendantem Tomaszem

Karasińskim. Po modlitwie zapalono przed popiersiem generała symboliczne znicze a ponadto, Grupa Radosław złożyła u podnóża popiersia moją płaszkę z korzeźbę Matki Boskiej. Było to już kolejne „spotkanie po latach” żołnierzy 27 WDP AK przed popiersiem swojego dowódcy.



Odszedł na Ostatnią kwaterę

Feliks Tomicz ps. „Grzybek”

Żołnierz Zgrupowania „Osnowa”
27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK
Zmarł 14 kwietnia 2016 roku.



6 maja w Legnicy

Redakcja



Zapraszamy na projekcję
wybranych fragmentów filmu
„Wołyń” oraz spotkanie z twórcami.

Wojciech Smarzowski - reżyser
Andrzej Poleć - producent
Dariusz Pietrykowski - producent wykonawczy

6 maja 2016
Zamek Piastowski w Legnicy
(Plac Zamkowy 1)
godz. 15:00

O Polakach na Białorusi na Kresowym Zespole Parlamentarnym

Andrzej Łukawski

27 kwietnia odbyło się posiedzenie Parlamentarnego Zespołu ds. Kresów, Kresowian i Dziedzictwa Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej. Przedmiotem posiedzenia było funkcjonowanie organizacji polskich na Białorusi. Według MSZ, *organizacją o długich tradycjach i zrzeszającą największą liczbę członków na terenie mińskiego okręgu konsularnego jest Związek Polaków na Białorusi. Ważną działalność o charakterze oświatowym prowadzi Polska Macierz Szkolna, posiadająca swoje struktury terenowe w Mińsku, Brańskach, Wilejce, Witebsku i Wołożynie. Zasięg obu wyżej wymienionych organizacji jest szeroki i obejmuje teren całej Białorusi.*



Po wydarzeniach w 2015r. nastąpił rozłam tej organizacji i powstała sytuacja, w której Związek Polaków na Białorusi wspierany przez polskie władze nie cieszy się życzliwością Łukaszenki który wspiera inną organizację.

Nową, wspieraną przez Łukaszenkę organizacją nie są z kolei zainteresowane władze RP.

Dyskusja pokazała, że w sprawie Polaków na Białorusi trudno będzie osiągnąć jakiś konsensus.

Z całą pewnością to nie jest dobra sytuacja dla mieszkających na Białorusi Polaków.

Dobrze że ZP zajął się tym problemem i dobrze, że w posiedzeniu uczestniczyli pracownicy polskiego MSZ.

Dyskusja niczego nie wniosła ani nie wyjaśniła dlatego przewodniczący ZP Ast poinformował o potrzebie przywołania w najbliższym czasie tego nierozwiązanego do dzisiaj problemu.



POLSKIE DZIEDZICTWO LITERACKIE NA LITWIE

Redakcja

4 maja, środa, godz. 18.00, DSH, Karowa 20 Ziemia talentami bogata. Polskie dziedzictwo literackie na Litwie. Dom Spotkań z Historią, Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie oraz redakcja kwartalnika „Znad Wilii” zapraszają na spotkanie poświęcone fenomenowi literatury polskiej tworzonej przez pisarzy i poetów urodzonych na Litwie oraz dawnym i współczesnym upamiętnieniom postaci i dorobku polskich twórców na Litwie. W spotkaniu udział wezmą: Ewa Ziółkowska, wiceprezes Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie oraz Romuald Mieczkowski, poeta, publicysta, dziennikarz, tłumacz, redaktor kwartalnika „Znad Wilii”, członek Związku Pisarzy Litwy. Prowadzenie: Tomasz Kuba Kozłowski

Uwaga:

Podczas spotkania dostępna będzie książka „Śladami słów skrzydlatych. Pomniki pisarzy i poetów na Litwie” autorstwa Romualda Mieczkowskiego i Ewy Ziółkowskiej.



Dom Spotkań z Historią

Dom Spotkań z Historią w Warszawie oraz Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie zapraszają na spotkanie

04.05.2016
środa, 18.00
Wstęp wolny

z udziałem Ewy Ziółkowskiej i Romualda Mieczkowskiego

Dom Spotkań z Historią ul. Karowa 20 w Warszawie

Ziemia talentami bogata

Polskie dziedzictwo literackie na Litwie







Kartki z kalendarza

Andrzej Łukawski

Data 20-22 kwietnia 1944r. to 72. rocznica najkrwawszych walk 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

O tym okresie pisali żołnierze dywizji:

Józef Turowski ps. „Ziuk”:

Od początku kwietnia 1944 roku 27 WDP AK rozpoczęła okres ciężkich walk o charakterze frontowym, który trwał ponad trzy tygodnie. Bataliony „Gromady” krwawiły na przedpolach Sztunia, Zamłynia, Czmykosu, Pustynki, Stawek, Staweczek i Owloczym pod Lubomlem, zaś pod Włodzimierzem Wołyńskim bataliony „Osnowy” dały odpór niemieckim działaniom na południu.

Antoni Stępkowski ps. „Halicz”:
W kwietniu 1944 roku na naszym odcinku frontu nastąpiła duża intensyfikacja walk. Atakowały nas niemieckie jednostki pancerne.

Kazimiera Błaszczak-Lewenda ps. „Kicia”:
Bandaże trzeba było prac i używać kilkakrotnie. W takich coraz gorszych warunkach przybyliśmy do wsi Mosur. Właśnie od tej chwili zaczęły się dla szpitala dni tragiczne. Każdy dzień to oddzielny rozdział w życiu szpitala [...].

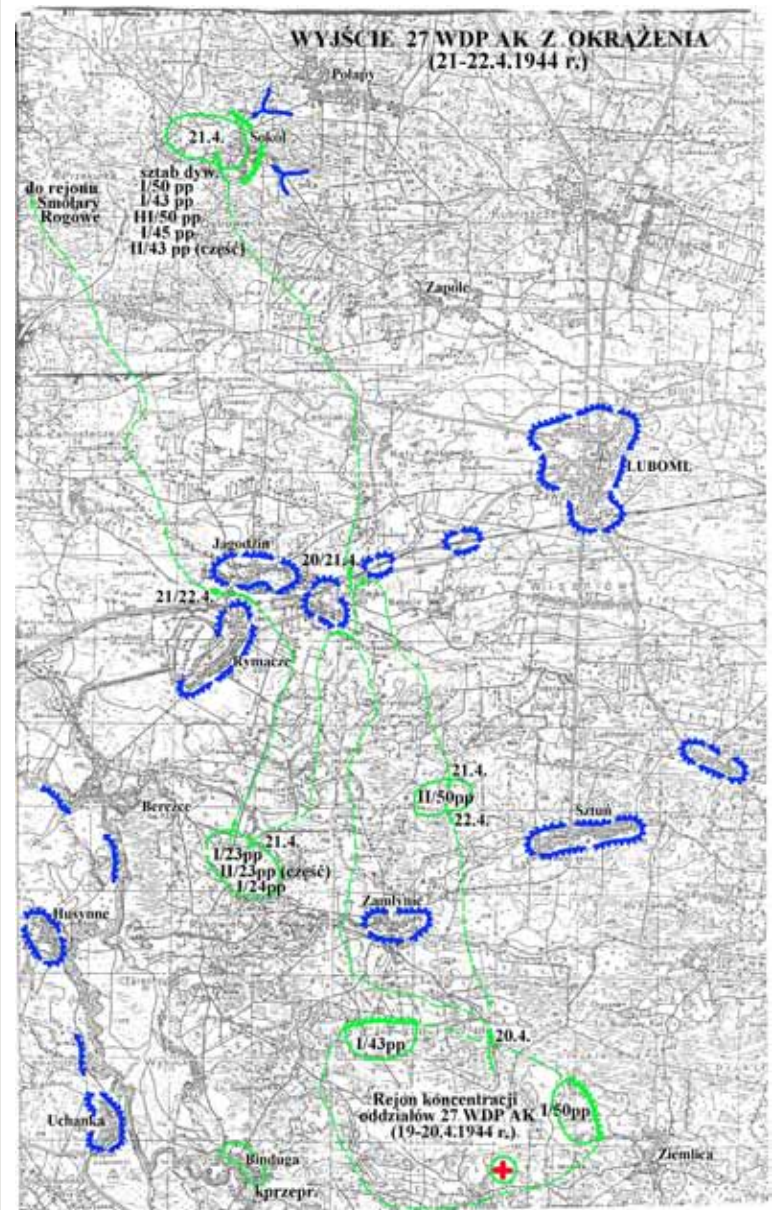
18 kwietnia 1944 roku dotarła do nas wiadomość o tragicznej śmierci naszego dowódcy 27 Wołyńskiej Dywizji AK płk „Oliwy” Wojciecha Kiwerskiego. To był cios dla wszystkich żołnierzy.

Piszemy o tym w dziale AKTUALNOŚCI - WYDARZENIA - INFORMACJE ponieważ nadal media przemilczają tak ważną dla kresowian rocznicę.

Po żonkilowej euforii i medialnym stołcu gadzinówek nie znalazł się odważny dziennikarz który wspominałby o tej nadal przemilczanej rocznicy.

Ciężkie walki 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK m.in. pod Jagodzinem, to część zapomnianego ale wielkiego powstania na Kresach II RP.

Zasięg tego powstania, liczba biorących w nim żołnierzy oraz olbrzymi dramat Akcji Burza swoją wielkością przyćmiewa mocno nagłaśniane inne powstanie, to „żonkilowe” i po raz kolejny wiadać „dbałość” władzy o pielęgnowanie narodowej historii.



Nie o zemstę a pamięć wołają ofiary

Eugeniusz Szewczuk



W zimną i deszczową niedzielę 12 kwietnia br. w pięknie położonej na terenie Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy wsi o nazwie Niezgodzie, odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika upamiętniającego bestialsko wymordowanie mieszkańców podlwońskich wsi Hucisko i Miedziaki. Patronat nad uroczystością objęli; Wojewoda Dolnośląski, Marszałek Województwa Dolnośląskiego, Poseł na Sejm RP Michał Jaros, Starosta Powiatu Trzebnickiego i Burmistrz Gminy Żmigród.

Głównym organizatorem było Towarzystwo Miłośników Kultury Kresowej we Wrocławiu przy wydatnej pomocy gminy Żmigród i sołtysa wsi Niezgodzie.

12 kwietnia 1944 roku w południe banderowcy spod znaku OUN – UPA zamordowali w obu wsiach 139 osób. Opisy i wspomnienia żyjących do dnia dzisiejszego świadków ludobójstwa mrożą krew w żyłach. Mord w 1944 roku dokonywał się na obejściu mego dziadka – Piotra Gierusa, wspomina sołtys wsi Niezgodzie – Dariusz Gierus. Zabierając głos Karolina Pękalska mówiła: „Jestem bezpośrednim świadkiem

ludobójstwa dokonanego przez banderowców we wsiach Hucisko i Miedziaki. Tydzień po świętach Wielkiej Nocy napadli na nas Ukraińcy z sąsiednich wsi, m.in. z Suchodołu. Bawiłam się wtedy u kuzynki Zyty. Tam usłyszałam trzy strzały od strony Miedziaków. Tato poszedł do sąsiadów Stankiewiczów ukryć się z nimi w stodole. Po chwili stodoła już płonęła, ale on uciekł ze stodoły w stronę lasu. Później dowiedziałam się, że został zastrzelony strzałem w plecy. Pamiętam też 12 – letniego Janka... uciekał... jego zastrzelili na łące.” Katarzyna Kozioł zd. Tarnowska dodaje; „ja z siostrą, mamą i sąsiadką schowane byliśmy na polu. U Boczana w piwnicy schowanych było 5 mężczyzn. Po wszystkim mama mówi chodźmy szybciej, bo tam jeszcze żyją. Dwóch z nich wyszło, jeden strasznie poparzony, pozostali spaleni”. Najstarszą uczestniczką uroczystości odsłonięcia pomnika pomordowanych była Rozalia Rybczyńska zd. Gierus urodzona w Miedziakach w 1920 roku. „W naszej wsi były 3 domy Ukraińców. Naszych pobili siekierami i pochowaliśmy ich razem z innymi 21 osobami



obok kościoła. Banderowcy kobiet od razu nie mordowali, jedynie mężczyzn i dzieci. Te kobiety co widziały pomordowane swoje rodziny wręcz prosiły ich, by zrobili z nimi to samo, gdyż nie mają już po co żyć. Mnie udało się ująć z życiem.”

Uroczystość uświetniły poczty sztandarowe, kompania honorowa Wojska Polskiego pod dowództwem kpt. Michała Karkowskiego, wystawiona przez 10 wrocławski pułk dowodzenia, która oddała salwę honorową. Także orkiestra dolnośląskiej Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu pod batutą kom. Adama Wittwa oraz Kurkowe Bractwo Strzeleckie z Jutrosina. Przybyli kresowianie ze Szczecina, Krakowa, Lwowa, Wrocławia, Świdnicy, Brzegu oraz licznie mieszkańcy okolicznych wsi gminy Żmigród i powiatu trzebnickiego. Obecni byli mieszkańcy wsi Huciska i Miedziaki oraz ich potomkowie wraz z kresowianami stowarzyszonymi w Towarzystwie Miłośników Kultury Kresowej we Wrocławiu oraz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK środowiska wrocławskiego i szczecińskiego na czele z prezesem Stowarzyszenia „Kresy Wschodnie – Dziedzictwo i Pamięć”.

Mszę świętą polową celebrował ksiądz proboszcz Krzysztof Bartoszek z parafii św. Karola Boromeusza w Radziedzu, na terenie której leży wieś Niezgodzie, w asyście zaproszonych księży Archidiecezji Wrocławskiej. Homilię wygłosił ks. Tadeusz Isakowicz – Zaleski, w trakcie której przywołał słowa św. Jana Pawła II: „Narody, które tracą pamięć, tracą swą tożsamość”. Zbrodnię w obu wsiach nazwał ludobójstwem. „Po 27 latach wolnej Polski nie można doczekać się prawdy politycznej o ludobójstwie na Kresach, 11 lipca Narodowy Dzień Męczeństwa”. Nie mogą doczekać się prawdy, cytował zapisy ewangelii „poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. „Wdzięczność i szacunek dla organizatorów dzisiejszej uroczystości za to co zrobili – nie



o zemstę, a pamięć wołają ofiary” – dodał.

To nasz obowiązek, ale także zaszczyt, by upamiętnić pomordowanych na dawnych terenach Rzeczypospolitej, mówił przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Kresów – poseł Michał Jaros.

Cel został osiągnięty – jest nim pamięć – dodał prezes Towarzystwa Miłośników Kultury Kresowej, Jerzy Rudnicki.

Za podsumowanie tej pięknej uroczystości niech posłużą słowa sołtysa wsi Niezgodzie. „Bardzo dziękujemy, że przyjęli Państwo nasze zaproszenie na tę specjalną, smutną, a zarazem pełną nadziei uroczystość. Smutną ze względu na 72 rocznicę wymordowania w okrutny i bestialski sposób naszych najbliższych. Dziś obu

wsi już nie ma. Pozostały ruiny kościoła i jedynie niewielki krzyż w miejscu gdzie znajdował się nasz rodzinny dom i miejsce kaźni naszych sąsiadów. Przez 72 lata nie mieliśmy miejsca na zapalenie znicza dla naszych ojców, matek, braci i sióstr. Dlatego dzisiejszy dzień jest dla nas dniem radosnym. Od dziś nasza pamięć o zamęczonych będzie częścią pamięci naszej gminy i Dolnego Śląska. Pomnik z wmurowaną urną i prochami naszych bliskich będzie znakiem pamięci dla nas wszystkich.

Równoległe do uroczystości otwarto wystawę pt. „Hucisko i Miedziaki w naszej pamięci i naszych sercach, nasza Niezgodzie dziś...”, której kuratorem był żmigródzki historyk Paweł Becela.

Zdjęcia: Eugeniusz Szewczuk



Stare Sióło

- historia (nie)jednego pomnika

Zbigniew Saganowski



/ Fot. 1 Widok cmentarza w Starym Sióło (maj 2009)

Do miejscowości Stare Sióło trafiliśmy w 2009 roku, za przyczyną pana Jerzego Doleczka, naszego wrocławskiego sąsiada, który każdorazowo, przy naszych wyjazdach na Ukrainę, w celu porządkowania tam cmentarzy kresowych, obdarowywał nas dużą ilością zniczy. Przekazywał je z myślą o uczczeniu naszych przodków, których mogiły odnajdywaliśmy wśród cmentarnych zarośli i po uporządkowaniu zapalaliśmy światło pamięci, łącząc je z modlitwą. W trakcie rozmów z panem Jerzym dowiedzieliśmy się, że jego przodkowie mieszkali przed wojną w Starym Sióło i gdzieś tam może znajdować się grób jego dziadka Franciszka.

Po sprawdzeniu geograficznej lokalizacji Starego Sióło okazało

się, że jest ono usytuowane niedaleko drogi łączącej Lwów z Bóbrką, w kierunku Kołomyi, do której wybieraliśmy się właśnie w długi weekend majowy 2009 roku, w celu przygotowania się organizacyjnego i logistycznego do lipcowego remontu tamtejszej wielkiej nekropolii rzymskokatolickiej. Lepszej okazji nie było trzeba. Zapadła decyzja o zajeźchaniu w trakcie podróży również do Starego Sióło i tak dotarliśmy tu w dniu 1 maja.

Od mieszkańców wioski dowiedzieliśmy się o istnieniu w Starym Sióło kilku starych cmentarzy. Odwiedzając je kolejno nie natrafiliśmy jednak na mogiłę Franciszka Doleczka.

Jadąc przez wieś, w kierunku drogi do Kołomyi, tak się jakoś



/ Fot. 2 Mogiła Franciszka Doleczka (w głębi, z aniołem Julia Ujejska)



/ Fot. 3 Czytelne napisy na pomniku Doleczka

stało (nie wiem już dziś z jakiego powodu, czy za czyją przyczyną), że ktoś z mijanych mieszkańców powiedział nam o jeszcze jednym starym („samym starym” – jak mówią Ukraińcy) cmentarzu, usytuowanym na drugim, górnym końcu Starego Sióło, niedaleko kościoła, który przed wojną był rzymskokatolicki, a dziś modlą się w nim grekokatolicy. Pojechaliśmy oczywiście we wskazane miejsce i tak się zaczęła nasza wieloletnia, dotychczas trwająca, przygoda z tym cmentarzem. Okazało się, że jest tam pochowany Franciszek i na jego mogile zachował się całkiem dobrze pomnik nagrobny.

Cmentarz niewielki, nadal czynny i kryjący w sobie nieco cennej dla nas Polaków historii. Po odnalezieniu grobu Doleczka postanowiliśmy zająć się nim w najbliższym możliwym czasie, aby go uporządkować i wyprostować z pochylenia, które osiągnął przez kilkadziesiąt lat stojący na nim pomnik. Podczas pierwszej wizyty na tym cmentarzu nie byliśmy jednak przygotowani czasowo i sprzętowo do takich działań. Zrobiliśmy więc trochę zdjęć, a po wstępnym oczyszczeniu otoczenia pomnika z największych chwastów zapaliliśmy przy nim znicz i odmówiliśmy w intencji zmarłego modlitwę.

Nie omieszkaliśmy również rozglądać się nieco po cmentarzu. Naszą uwagę przykuł pomnik z aniołem – jak się okazało Julii Ujejskiej – córki Romana Wybranowskiego i obok niego także wysoki pomnik jej ojca. Wówczas ani samo nazwisko Wybranowski, ani opisane na pomniku funkcje (Półkownik wojsk Polskich, Generał Dowódzca Gwardii Narodowej Galicyjskiej –pisownia oryginalna z pomnika) nie zwróciły naszej szczególnej uwagi na tą postać.

alnie tzn. w 2016 roku. Niemniej jednak wśród leżących w nieładzie elementów nagrobnych można było odczytać polskie nazwiska. Nie myśleliśmy wówczas, że będziemy po latach zajmować się także tą stertą elementów, gdyż plany nasze skierowane były na ratowanie cmentarza w Kołomyi i w Zimnej Wodzie pod Lwowem.

Zajmując się w kolejnych latach (2010-2015), w ramach działalności Towarzystwa Miłośników Kultury Kresowej, pracami remontowo-porządkowymi cmentarza kołomyjskiego i zimnowodziankiego, pamiętaliśmy o pomniku Doleczka w Starym Sióło. W trakcie każdego wyjazdu wstępowaliśmy do niego, aby stopniowo, małymi etapami, odnawiać tą mogiłę i poprawiać stan nagrobka. Odbywało się to w trakcie przejazdu do Kołomyi, na zasadzie wstąpienia na kilka godzin do Starego Sióło i wykonania kolejnych drobnych prac. W ten sposób dokonaliśmy w poszczególnych etapach oczyszczenia pomnika z mchu, glonów i porostów, wyprostowania całej bryły do pionu, usunięcia największych chwastów z jego otoczenia, oczyszczenia niewielkiego kawałka obszaru przed pomnikiem z wszystkich chwastów i posadzenia tam wieloletnich roślin ozdobnych, a wreszcie oczyszczenia czołowej powierzchni pomnika, odnowienia napisów i zaimpregnowania chemicznego tej powierzchni.

To wszystko nastąpiło do roku 2015, niejako przy okazji wyjazdów do Kołomyi Zimnej Wody.

W listopadzie 2013 roku na starsiolski cmentarz trafił z nami obecny prezes Towarzystwa, z wykształcenia historyk, Jerzy Rudnicki. Obejrzał pomnik będący pod naszą kilkuletnią opieką, jednak zawodowa wiedza i doświadczenie spowodowały, że zainteresował się szybko pomnikiem generała i jego córki (może bardziej postaciami, których dotyczyły pomniki), a jednocześnie natychmiast „wyłapał” wzrokiem jeszcze jeden ważny ślad – niewielki, ledwo wystający z chwastów, charakterystyczny ażurowy metalowy krzyż. Jego reakcją na to spostrzeżenie była natychmiastowa. Prezes krzyknął „Słuchaj-



/Fot. 4 Mogiły Ludwika Ujejskiej i Gen. Romana Wybranowskiego

Jedno jeszcze miejsce wzbudziło naszą ciekawość. Przy płocie zobaczyliśmy zbiór leżących w nieładzie różnych elementów kamiennych pomników – figury, postumenty, płyty nagrobne, tablice, krzyże itp.

Ponieważ w części cmentarza, na której znajdowały się m.in. mogiły Doleczka i Wybranowskich, było sporo wolnego miejsca, skojarzyliśmy, że być może obecni mieszkańcy Sióło zebrali część pomników z tego terenu, aby przygotować miejsce na kolejne, współczesne pochówki. Jak bardzo myliliśmy się w swojej ocenie okazało się dopiero aktu-



/ Fot. 5 Zbiór elementów pomnikowych przy ogrodzeniu cmentarnym (maj 2009)



/ Fot. 6 Efekt wielosezonowej pracy przy mogile Franciszka Doleczka

cie! Przecież to jest na pewno Orłęciu Lwowskiemu, bo Oni mieli na grobach takie krzyże”. Po odsunięciu zarośli i obejrzeniu żeliwnej tabliczki, ze słabo czytelnym napisem „Jerzy Leliwa-Żurowski” okazało się, że Prezes się nigdy nie myli.

W lipcu 2015 roku, podczas remontu cmentarza w Zimnej Wodzie, pojechaliśmy na jeden dzień do Starego Siola i pracowaliśmy przy mogiłach Jerzego Żurowskiego, gen. Romana Wybranowskiego i Ludwiki Ujejskiej, nie zaniebując również Franciszka Doleczka. Efektem prac było uporządkowanie grobu Orłęcia Żurowskiego, z wyczyszczeniem tablicy żeliwnej na krzyżu i odmalowaniem napisów oraz przygotowanie ziemi na mogile do nasadzeń wieloletnich roślin ozdobnych, a także odczyszczenie powierzchni z napisami na pomnikach generała i jego córki oraz odnowienie napisów i zaimpregnowanie chemiczne tej części pomników.



/Fot. 7 Odkryty z zarośli grób Orłęcia Jerzego Leliwy-Żurowskiego (listopad 2013)

Z nagrobkiem tym wiąże się późniejsza wzruszająca historia, gdyż po umieszczeniu informacji o takim odkryciu na stronie internetowej Towarzystwa (www.kresowianie.info) odezwała się do nas krewna Orłęcia. Bardzo ucieszyła się, że mogiła jej bliskiego została odnaleziona, gdyż do tej pory nic o niej nie wiedziała, choć próbowała ją odnaleźć. Przesłała nam również jego zdjęcie.

Skoro się już stało, tzn. Prezes odkrył groby i uświadomił nam to z jak znamienitymi postaciami z historii naszego narodu mamy do czynienia, nie pozostało nic innego jak rozszerzyć prace na cmentarzu w Starym Siolu o kolejne groby. Działania te prowadzi koło Wrocław Towarzystwa ze współpracującymi z nim wolontariuszami.



/Fot. 8 Końcowy efekt odnawiania pomnika Gen. Romana Wybranowskiego ...



/ Fot. 9 ... jego córki Ludwiki Ujejskiej...



Fot. 11 ... i Jerzego Leliwy-Żurowskiego

Ciągle jednak nie dawały nam spokoju zrzucone pod płotem „kamienie”, które poprzerastały wysokie chwasty i krzewy. W końcu, w 2015 roku, zapadła wśród nas decyzja o próbie uratowania ich poprzez wydobycie z zarośli, odczyszczenie i ustawienie na wydzielonym skrawku cmentarza, jako lapidarium. Pewien wzorzec takiego rozwiązania mieliśmy okazję zaobserwować na położonym niedaleko, przy wschodnich obrzeżach Lwowa, cmentarzu w miejscowości Czyszki. Próbowaliśmy więc, w trakcie pracy przy mogiłach generała, córki i Orłęcia, wykosić także chwasty ukrywające zrzucone w stertę elementy, ale okazało się to w lipcowy upał nieosiągalne. Pracę tą odłożyliśmy na wiosnę 2016 roku, licząc na to, że przyroda sama nam dopomoże poprzez to, że rośliny zeschną i na zimę zamrą, co samoistnie odsłoni skrywane elementy pomnikowe.



/ Fot. 12 Schowane w zaroślach i niedostępne elementy pomników (lipiec 2015)

Pracę w Starym Siolu wznowiliśmy w marcu br. kiedy to wyruszyliśmy tam kilkusobową ekipą. Podczas sobotniego dnia (11 marca) udało się nam, z pomocą wynajętego sprzętu z operatorem, dźwignąć i wyszarpnąć z ziemi i zarośli kilkadziesiąt elementów kamiennych pomników i



/ Fot. 14 Zespół wolontariuszy pracujących w Starym Siolu w marcu 2016 r. (wśród uczestników przedstawiciel patronującego medialnie przedsięwzięciu archidiecezjalnego Radia Rodzina z Wrocławia)



/ Fot. 13 Wydarte chwastom i ziemi elementy przyszłego lapidarium starosiolskiego (marzec 2016)

nagrobków, przygotowując je w ten sposób do dalszych działań. Należy teraz odczyścić wszystkie wydobyte elementy, odmalować możliwe do odszyfrowania napisy, przygotować odpowiedni fragment podłoża do stworzenia lapidarium i ułożyć na nim odzyskane elementy nagrobne tak, aby mogły stanowić ślad pamięci o byłych mieszkańcach tamtej ziemi. Być może ktoś z żyjących dziś potomków pochowanych tam osób, wśród odzyskanych pomników odnajdzie swoich krewnych i będzie miał możliwość i chęć pojechania do Starego Siola z motylką i zniczem.

W trakcie tych marcowych prac dowiedzieliśmy się także skąd pochodzą zrzucone w nieładzie na cmentarzu elementy. Otóż historia ich jest taka, że jeszcze w czasach powojennych istniał w Starym Siolu także inny, bardzo stary cmentarz, usytuowany w pobliżu kościoła. Zapadła jednak decyzja o jego likwidacji, na rzecz planowanej na jego miejsce budowy obiektu sportowego (basenu lub boiska). Wówczas to zlikwidowano cmentarz i część zabranych z niego pomników i nagrobków zwieziono i wysypało na cmentarzu, na którym obecnie się znajdują i tak do tej pory tam leżą. Jako informację uzupełniającą należy dodać, że planowany obiekt sportowy jednak nigdy nie powstał.

Jak przedstawiają się dalsze plany Towarzystwa Miłośników Kultury Kresowej odnośnie

cmentarza w Starym Siolu?

Chcielibyśmy kontynuować, zaczęte już prace, przy tworzeniu z odzyskanych elementów lapidarium.

Mamy zgodę na te prace miejscowych władz i obiecanie wydzielanie odpowiedniej powierzchni cmentarza na ułożenie wydobytych z zarośli płyt. Do kontynuacji prac będą potrzebne środki finansowe na zakup kruszywa do utwardzenia terenu, materiałów budowlanych (cement, piasek, żwir), opłacenie sprzętu z operatorem do przygotowania gruntu pod kruszywo, przewóz i zakwaterowanie wolontariuszy, którzy poświęcą swój wolny czas (wakacje, urlopy), aby wykonać konieczne prace fizyczne przy czyszczeniu i ustawianiu elementów oraz pracach porządkowych.

Myślimy także o granitowej płycie informacyjnej, mówiącej o stworzonym lapidarium (skąd pochodzą elementy, kogo upamiętniają).

Apelujemy więc do osób i instytucji, które mogłyby wspomóc nasze działania, o taką pomoc.

Wszelkie informacje związane z omawianą akcją udzielane są poprzez kontakt (mailowy, telefoniczny) z Towarzystwem Miłośników Kultury Kresowej (www.kresowianie.info).

Opracował: Zbigniew Saganowski wiceprezes Towarzystwa

„KAINIE, DLACZEGO ZABIŁEŚ BRATA SWEGO ABLA?”

ks. Vitold-Yosif Kovaliv



W sobotę, 23 kwietnia 2016 r., na Polskim Cmentarzu Wojskowym w Bielinie k. Włodzimierza Wołyńskiego zostało odprawione uroczyste nabożeństwo za zmar-

łych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK i mieszkańców wioski Bielin zamordowanych w latach 1943-1944 r. przez nacjonalistów ukraińskich. Mszy św. Przewodniczył

ks. prał. Andrzej Puzon z Hrubieszowa. Obecna była p. Beata Brzywczy, Konsul Generalna RP z Łucka, która wkrótce kończy swoją kadencję.

Nabożeństwo rozpoczęło się od złożenia meldunku oraz zapalenia zniczy na grobach żołnierzy. Okolicznościowe kazanie wygłosił ks. prał. Andrzej Puzon. Przypomniwał on słowa ze Starego Testamentu: „Kainie, dlaczego zabiłeś brata swego Abla?”. Po Mszy św. słowo do zebranych wygłosiła p. Konsul Beata Brzywczy, która powiedziała, że w czasie swej kadencji na Wołyniu „nauczyła się prawdziwego patriotyzmu polskiego”. Młodzież ze szkół z



Chelma przedstawiła wzruszający program artystyczny. Na koniec wszyscy zebrani konsumowali smaczny bigos i polski chleb. Trwały rodaków rozmowy.

Czułem moralny obowiązek wzięcia udziału w tym nabożeństwie, gdyż ostatnim duszpasterzem kaplicy w Bielinie był mój poprzednik w Kuniowie w 1914 r. ks. Stanisław Janaszek (1874-1944). Został on zastrzelony w dniu 14 kwietnia 1944 r. przez patrol węgierski w czasie ucieczki do Włodzimierza Wołyńskiego. W chwili śmierci miał 70 lat. Cześć Jego pamięci. R.I.P. [*]

Fot. Irena Dejneka
© „Wołanie z Wołynia”

Czy Kresowianie będą mieli swój dzień pamięci...???

Andrzej Łukawski



13 kwietnia odbyło się posiedzenie sejmowej podkomisji zajmującej się projektem Ustawy, w sprawie Narodowego Dnia Pamięci Męczeństwa Kresowian.

W spotkaniu udział wzięli zaproszeni na nie przedstawiciele tylko niektórych organizacji Kresowych a wśród nich żyjący jeszcze świadkowie tego, co działo się w okupowanej przez Sowietów i Niemców II Rzeczpospolitej, - Polski Kresowej.

Z przykrością trzeba stwierdzić, niską frekwencję w tym posiedzeniu kreatorów i animatorów działalności na rzecz Kresów, niezwykłych działaczy i wspinających ludzi o mocno bijących dla Kresów sercach, grup i grupki ludzi złożonych z potomków Kresowian, miłośników Kresów i patriotów którzy na co dzień, a nie tylko podczas medialnych wydarzeń pielęgnują pamięć o Kresach i Kresowianach.

Niemal natychmiast po złożeniu do łaski marszałkowskiej projektu tej ustawy, w sieci a zwłaszcza na społecznościowym portalu FB zarwało.

Pojawił się wpis uczestniczącego w posiedzeniu podkomisji Stanisława Srokowskiego, który w Środowiska Kresowe wbił klin dzielący Kresy na Wołyńsko-Małopolskie i resztę. Wszyscy znacząco głoszone przez P. Stanisława „larum” więc tylko podam jego tytuł:

„A L A R M UWAGA, ZNOWU PRZEKREĆ (udostępniajmy) Nie „męczeństwo”, tylko LUDOBÓJSTWO!”

I na głowę posła Dworczyka i PiS zaczęto wylewać kubły pomysł, które najlepiej widać i czuć na społecznościowym FB. Ale czy słusznie...? Przypomnę, że cztery lata temu powstał Komitet Inicjatywy Ustawodawczej, którego celem

było złożenie do Sejmu obywatelskiego projektu Ustawy w sprawie „11 lipca - Dnia Pamięci Męczeństwa Kresowian”. Przypomnę też słowa wnioskodawcy obecnego projektu posła Dworczyka, który na konferencji powiedział m.in.: „Ta data nie została wybrana ani przypadkowo, ani bez konsultacji. Tak naprawdę wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom środowisk kresowych i naszych rodaków na Wschodzie”.

To właśnie środowiska kresowe, cztery lata temu wyszły na ulice miast i wsi by zbierać podpisy pod obywatelską inicjatywą. W skład pierwszego KIU (było ich w sumie trzy) wchodziło:

Komitet Inicjatywy Ustawodawczej w sprawie ustanowienia dnia „11 lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian” Skład Komitetu 6 grudzień- 6 marzec:

- 1.Badowska – Buczak Jadwiga Oświęcim
- 2.Budysz Feliks Gdańsk
- 3.Cyra Adam Oświęcim
- 4.Danilewicz Kazimierz Warszawa
- 5.Dębki Krzesimir Warszawa
- 6.Faszcz Dariusz Rafał Szczecin
- 7.Filar Władysław Tadeusz Warszawa
- 8.Łukawski Andrzej Warszawa
- 9.Modła Halina Oświęcim
- 10.Paluch Włodzimierz Oświęcim
- 11.Paź Bogusław Wrocław
- 12.Piętka Bohdan Trzebinia
- 13.Prażmo Maciej Grzegorz Kozłowo
- 14.Siemaszko Ewa Warszawa
- 15.Słowiński Henryk Wrocław
- 16.Skalski Jan Bytom
- 17.Wojciechowska Zofia Mrągowo
- 18.Wernik Jan Osiek
- 19.Zaleski Tadeusz Radwanowie
- 20.Zapałowski Andrzej Tomasz Przemyśl

Ten alarm to nic innego jak wściekłość w środowiska kresowe kolejnego

klina rozbijającego i tak już pokiereszowaną i nadwyręzoną jedność kresową. Szkoda, że mając okazję uczestniczenia w sejmowym posiedzeniu, Pan Stanisław nie wykorzystał szansy by powiedzieć wnioskodawcy i zebranym Kresowianom tego, co z taką lekkością publikował w sieci, FB i Warszawskiej Gazecie. Cóż, nie pierwszy i zapewne nie po raz ostatni okazuje się, że nie zawsze to co publikujemy „z klawiatury” jest zgodne z tym co wyrażamy mową.

Lansowana przez P. Srokowskiego nazwa dla 11 lipca t.j. „Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa Kresowian Dokonanego Przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińską Powstańczą Armię jest selektywnym wartościowaniem śmierci Kresowian. Przypomnę, że Kresowianie ginęli nie tylko w wyniku śmierci zadanej przez OUN-UPA i nie tylko na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej, o czym mówiła m.in. Małgorzata Chilińska z Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. P. Małgosia wyobraża sobie święto 11 lipca jako święto obejmujące swoim zasięgiem wszystkich mieszkańców Kresów II RP, bez zbędnego „katalogu świąt” na którego tworzenie jest już za późno, a i organizowanie takiego katalogu byłoby zbyt męczące dla żyjących jeszcze ostatnich świadków tych okropności. Wrażenie na mnie zrobiło wezwanie-apel P. Małgosi o pokazanie jedności podczas organizowanych 11 lipca uroczystości. Ze wszech miar popieram, podpisuję się pod nim i niniejszym dołączam się do tego apelu.

Po Małgorzacie Chilińskiej głos w dyskusji zabrała dawno już przede mną niewidziana i niesłyszana red. Szakalicka ale ze względu na obszar tematyki jaką zaprezentowała nie znalazłem wyrażonej stycznej do tematu posiedzenia tej podkomisji i mam wrażenie, że p. Szakalicka pomyliła sale obrad.

Kolejne dwa wystąpienia to głosy świadków ludobójstwa na Wołyniu, Pani Janiny Kalinowskiej - Prezesa Stowarzyszenia Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu oraz Szczepana Siekierki -Prezesa Stowarzyszenia Upamiętnienia Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Znam ich historię jako świadków ludobójstwa Wołyńsko Małopolskiego, i dobrze się stało, że zastali zaproszeni do udziału w pracach nad projektem Ustawy. Nie mogę się jednak zgodzić z jej definicją słowa „męczeństwo” która P. Janina spłycała do pojęcia literackiego. Ta „literacka” interpretacja męczeństwa pojawia się też w polemikach S. Srokowskiego więc zajrzyjmy do kilku encyklopedii które podają takie oto definicje męczeństwa:

Męczeństwo: W chrześcijaństwie jest to śmierć (bądź cierpienie) z powodu wierności zasadom np. religii, rozumiana jako świadectwo wiary w Boga.

Męczeństwo, to cierpienie zadane przez grupę nie godząca się z przekonaniem męczonych. - np. działania współczesne ISIS

Męczennik (gr. μάρτυς, mártus, łac. martyr: „świadek”) – osoba, która zginęła lub cierpi albo cierpiała w obronie swoich wierzeń lub przekonań.

Działająca w Polsce Rada Ochrony Miejsc Walk i Męczeństwa brutalnie przeczy definicji P. Janiny (inspirowanej zapewne przez P. Srokowskiego) o literackiej definicji słowa „męczeństwo”. Osobiście nie wyobrażam sobie chrześcijanina który w kościele będzie modlił się do Jezusa który poniósł „literacką” śmierć.

Zacytowana powyżej i nieuprawniona manipulacja definicją „męczeństwa” nakazuje uważniej przysłuchiwać się wystąpieniom ludzi, którzy z racji upływu lat i bagażu -co zrozumiałe - przeżytych potworności mają już prawo do takich pomyłek. Do nas, do ich potomków należy jednak dbałość o to, by te drobne „przeinaczenia” nie stanowiły przyczynków do prawnych następstw.

Z niecierpliwością zatem czekałem na wystąpienie p. Ewy Siemaszko. Gdy wreszcie go zabrała, usłyszałem w nim precyzyjną analizę wniesionego przez posła Dworczyka projektu oraz wiele cennych i istotnych uwag. Nie pierwszy, i mam nadzieję że nie ostatni raz usłyszałem wyważony i przemyślany głos P. Ewy który z całą pewnością wniesie do projektu to na co wszyscy czekamy. To co warto podkreślić w wystąpieniu P. Ewy, to pochylenie się nad możliwością przedyskutowania święta 11 lipca jako Międzynarodowego Dnia Pamięci ofiar Ludobójstwa i Męczeństwa Kresowian.

Aleksander Szych zgłosił do projektu PiS propozycję, by w szerokim uzasadnieniu projektu Ustawy wyekspozować i postawić już na początku akcent ludobójstwa onowsko-banderowskiego, które -jak się domyślam- byłoby czynnikiem kreującym dalsze uzasadnienie.

Pani Małgorzata Gośniowska ze

Stowarzyszenia Huta Pieniacka słusznie zauważyła, że za terminem „Kresowianie” kryją się obywatel Polski którzy ginęli tylko dlatego, że byli Polakami.

Wojciech Buczyński ze Świątowego Kongresu Kresowian zaapelował, żeby zakończyć wreszcie spory i kłótnie i ustalić w końcu ten jeden dzień, dzień pamięci, bo za chwile nie będzie miał kto świętować podobne święto. Nie sposób nie zgodzić się z porównaniem pozytywnych skutków tego święta do pędzącej z góry kulki śniegu, która z każdym obrotem nabiera masy. To ma sens. Zaczniemy najpierw COŚ a dalej będzie jak z pędzącą śnieżną kulą.

Moje wrażenie po wysłuchaniu relacji z Sejmu jest takie, że mimo tragów, waśni kłótni i sporów, to wszystko jednak zmierza w dobrym kierunku.

Na zakończenie podaję skład podkomisji nadzwyczajnej do rozpatrzenia poselskiego projektu ustawy o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Męczeństwa Kresowian (druk nr 284) LPG02N (okres działalności: 12-04-2016 -)* VIII kadencja

Augustyn Urszula /PO/
Babinetz Piotr /PiS/ - zastępca przewodniczącego
Bakun Wojciech /Kukiz15/
Baszko Mieczysław Kazimierz /PSL/
Borowska Elżbieta /Kukiz15/
Dworczyk Michał /PiS/ - przewodniczący
Gryglas Zbigniew /N/
Krasulski Leonard /PiS/
Porzucek Marcin /PiS/
Puda Grzegorz /PiS/
Pyzik Piotr /PiS/
Rozpondek Halina /PO/
Schmidt-Rodziewicz Anna /PiS/
Sonik Bogusław /PO/
Śledzińska-Katarasińska Iwona /PO/ - zastępca przewodniczącego

* aktualny skład podkomisji - 15. posłów

Podkomisja Komisji Kultury i Środków Przekazu, Komisji Łączności z Polakami za Granicą

Każdy kto potrafi liczyć do 15 stwierdzi, że klub wnoszący projekt ustawy nie ma większości. PiS -7, opozycja -8.

W związku z powyższym należy dołożyć wszelkich starań by projekt wyszedł z tej podkomisji ale do tego potrzebny będzie ruch Kukiz'15 który wniósł oddzielny projekt.

Jeżeli P. Dworczyk wprowadzi propozycję i uwagi zgłoszone przez Kresowian a Kukiz'15 je zaakceptuje, wycofa swój projekt to jest wysoce prawdopodobne by w Sejmie uchwalono to tak długo oczekiwane przez kresowian święto.

Całość transmisji z sejmowego posiedzenia dostępna na:

<http://sejm.gov.pl/Sejm8.nsf/transmisje.xsp?unid=C4D97FD3936253AFC-1257F9300514BDD#>

Kolejny list czytelnika KSI, tym razem do Kaczyńskiego

Zygmunt Mendaluk

Nowa Sól 27.04.2016

Szanowny Panie Kaczyński

Ponad dwa lata temu wystąpił Pan gościnnie na kijowskim Majdanie. Wygłosił Pan z przyczepą z napisem „Ukrjina ce Jewropa” przemówienie do Ukraińców. Przywołał Pan jakiś fragment z twórczości Szewczenki, w pełni euroentuzjazmu pogroził Pan ogniem piekielnym „złym Ukrińcom”-eurosceptykom, powołał się Pan na brata, przywołał słowa św. Jana Pawła II i zakończył mowę pozdrowieniem / hasłem: „Sława Ukrainie”, a tłum odpowiedział: „herojam sława”. Do treści pańskiego przemówienia odniosę się w kolejnych listach. W niniejszym liście chciałbym odnieść się do kwestii herojów, których tłum wysławiał w obecności Pana i Pańskich towarzyszy (Czarnecki, Brudziński...) oraz Waszych przyjaciół (rozpoznałem Kliczkę, Tiahnyboka i Jaceniuka). Z przebiegu mityngu wnoszę, że tłum sławił herojów znanych pod tą nazwą na tzw. Zachodniej Ukrainie. Tak nazywają tam, i tym razem w Kijowie, (używając neobanderowskiego dialektu) zbrodniarzy-ukraińskich nacjonalistów. O tych herojach może Pan poczytać w lekturach, które gorąco na końcu listu polecam. Chciałbym podkreślić, że owi heroje działali na terenach okupowanej II Rzeczypospolitej, a teren ich „bohaterskich walk” nie ograniczał się jedynie do Wołynia, ale obejmował Małopolskę i Lubelszczyznę aż po Kieleckie. Brali oni udział w walkach z wrogimi im Powstańcami Warszawy, co należy upamiętnić odpowiednimi tablicami. Pełnili oni służbę w niemieckich obozach koncentracyjnych. Heroje w znacznym stopniu przyczynili się do zamordowania setek tysięcy Żydów w ramach holokaustu. Myślę, że porządna, w duchu

polskim napisana, lektura i szczerzy kontakt z Kresowianami uczyni Pana zdolnym do rozróżnienia banderowskiego heroja od ukraińskiego bohatera. Z takiej możliwości nie skorzystali gen. Anders i Jerzy Giedroyc. Gen. Anders raczył ułaskawić i puścić wolno, bez sądu, ukraińskich herojów, którym udało się przedrzeć do antyniemieckich koalicjantów. Zrobił to w imię przyjaźni do niemiecko-ukraińskiego generała Szandruka. Jerzy Giedroyc zaprzyjaźnił się Dmytro Doncowem, jednym z ojców ukraińskiego szowinizmu. W efekcie ich działań mamy na zachodzie Europy i w Ameryce silne ośrodki nacjonalizmu ukraińskiego, a w Polsce środowisko pobłażania ukraińskim nacjonalistom ich zbrodni i brak reakcji na poczynania współczesnych nam szowinistów, które są kierowane także przeciw Polsce.

Problemy polsko-ukraińskie należy rozwiązywać. Mogą tu się przydać Pana ukraińskie znajomości. Proponuję, aby Pana znajomi sporządzili pełne listy herojów oraz miejsc ich „bohaterskich” walk z „polskimi okupantami”, tj. ze starcami, niemowlętami, kobietami, całymi rodzinami zastanymi we śnie, z ludźmi modlącymi się w kościołach i będącymi w wielu innych sytuacjach opisanych w proponowanych Panu do przeczytania książkach. W miejscach „bohaterskich walk narodowowyzwoleńczych” należało by umieścić tablice z nazwiskami herojów i z opisem zastosowanej taktyki walki oraz użytej broni. Na tablicach obok należało by umieścić imiona i nazwiska pokonanych wrogów, np. Marysia Kowal lat 2. Wskazane było by też nazwanie oddziałów w jakich służyli heroje. My Polacy powinniśmy przy tablicach „pokonanych okupantów” postawić chrześcijańskie krzyże. Uprzejmie proszę Pana o odnie-

sienie się do mojego pomysłu. Liczę na współpracę. Proponowany wykaz lektur;

1. W. Siemaszko, E. Siemaszko, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945, Warszawa 2000.
2. H. Komański, S. Siekierka, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim w latach 1939-1946, Wrocław 2004.
3. S. Siekierka, H. Komański, K. Bulzacki, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim w latach 1939-1947, Wrocław 2006.
4. S. Siekierka, H. Komański, E. Różański, Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie stanisławowskim w latach 1939-1946, Wrocław 2007.
5. Wiktor Poliszczuk - cała twórczość
6. H. Komański, S. Siekierka, Ludobójstwo dokonane na duchownych obrządku łacińskiego przez OUN-UPA oraz zniszczenia obiektów sakralnych rzymskokatolickich na Kresach Południowo-Wschodnich 1939-1947.
7. Lucyna Kulińska - cała twórczość dot. stosunków polsko-ukraińskich.
8. Bogumił Grott - cała twórczość dot. stosunków polsko-ukraińskich.
9. Czesław Partacz - cała twórczość dot. stosunków polsko-ukraińskich.
10. Edward Prus - cała twórczość dot. stosunków polsko-ukraińskich.
11. Dmytro Doncow, Nacjonalizm, Kraków 2008.

Zygmunt Mendaluk

Adres do korespondencji w redakcji.

Borownica: tak wygląda śledztwo przeprowadzone przez IPN w Rzeszowie.

Wiesław Tokarczuk

A tak wygląda śledztwo przeprowadzone przez IPN w Rzeszowie. Tak, jakby im się nie chciało...

Wieś Borownica – zbrodnia UPA (Opublikowane na stronie IPN)

Śledztwo w sprawie:

- I. zabójstwa przy użyciu broni palnej księdza Józefa K. w dniu 12 lipca 1944r. w Borownicy woj. podkarpackiego,
- II. zabójstwa Feliksa Ś. w grudniu 1944r. w nieustalonym miejscu, na terenie woj. podkarpackiego,
- III. zabójstwa Franciszka B., Jana M. i Jana P. w lutym 1945r., w nieustalonym miejscu, na terenie woj. podkarpackiego,
- IV. zabójstwa sześcioposobowej rodziny o nazwisku P. o nieustalonych imionach w 1945r. w Borownicy woj. podkarpackiego,
- V. zabójstwa przy użyciu broni palnej Edwarda C. w dniu 20 kwietnia 1945r. w Borownicy woj. podkarpackiego,
- VI. napadu pododdziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii na wieś Borownica woj. podkarpackiego w dniu 20 kwietnia 1945r., w trakcie którego sprawcy dokonali zabójstwa co najmniej 40 ustalonych z nazwiska osób, umyślnie zranili co najmniej 6 ustalonych z nazwiska osób, dokonali zniszczenia w wyniku podpalenia co najmniej 100 budynków mieszkalnych i gospodarczych należących do mieszkańców wsi Borownica oraz dopuścili się rabunku mienia ruchomego o nieustalonej wartości na szkodę mieszkańców wsi Borownica,
- VII. zniszczenia mienia poprzez umyślnie podpalenie około 30 budynków mieszkalnych w Borownicy woj. podkarpackiego w dniu 22 kwietnia 1945r., w szczególności na szkodę Henryka T., Juliana R. i Eugeniusza Z. stanowiącego zbrodnię przeciwko ludzkości (S 44/09/Zi). Materiały dotyczące tych czynów wyłączono z akt innego śledztwa 29 maja 2009 r.

Śledztwo to umorzono 5 czerwca 2009r. w odniesieniu do czynu opisanego w punkcie I wobec przeprowadzenia postępowania karnego w tej sprawie w przeszłości, w odniesieniu do czynów opisanych w punkcie II, III i IV wobec braku ustawowych znamion zbrodni lu-

dobójstwa i przedawnienia karalności, w odniesieniu do zbrodni opisanej w punkcie VI wobec śmierci ustalonego sprawcy Michała N. oraz wobec niewykrycia pozostałych sprawców przestępstwa, zaś w odniesieniu do czynu opisanego w punkcie VII wobec niewykrycia sprawców przestępstwa.

W odniesieniu do czynu opisanego w punkcie V śledztwo umorzono wobec braku ustawowych znamion czynu zabronionego bowiem ustalono, że Edward C. poniósł śmierć w następstwie nieszczęśliwego wypadku gdyż postrzelił się z broni palnej. W wątku opisanym w punkcie II dotyczącym zabójstwa Feliksa Ś. przyjęto na podstawie wykazu osób zamordowanych z terenu dawnej gminy Zohatyn, iż do zbrodni doszło w grudniu 1944r. Czynności śledcze nie doprowadziły jednak do ustalenia dokładnego czasu, miejsca i okoliczności zabójstwa tej osoby. Nie ustalono również konkretnych sprawców oraz motywów i pobudek jakimi się oni kierowali. Ze względu na to brak było podstaw do przyjęcia, iż Feliks Ś. był ofiarą zbrodni ludobójstwa.

Także śledztwo prowadzone w zakresie zabójstwa Franciszka B., Jana M. i Jana P. opisanego w punkcie III nie doprowadziło do wyjaśnienia wszystkich okoliczności tego zdarzenia. Ustalono jedynie, iż zaginęli oni wraz z wozem konnym, którym podróżowali 2 lutego 1945 r. w drodze do Borownicy. Nie ustalono w szczególności dokładnej daty, miejsca, okoliczności zdarzenia oraz sprawców zbrodni. Nie ustalono również tym samym motywów i pobudek jakimi kierowali się sprawcy.

W odniesieniu do czynu opisanego w punkcie IV to jest zabójstwa sześcioposobowej rodziny o nazwisku P. uzyskano jedynie zeznania świadka z których wynikało, że będąc w zabudowaniach tej rodziny widział na podłodze i drzwiach krew. Potem uzyskał on wiadomość, że ujawniono zwłoki tych osób. Pozostałe dowody przeprowadzone w śledztwie nie doprowadziły do uzyskania jakichkolwiek dalszych informacji na temat tego zdarzenia.

Lwowska Fala - autorska audycja Danuty Skalskiej



Lwowska Fala

- autorska audycja Danuty Skal-

skiej na antenie Polskiego Radia Katowice

(UKF 102,2 MHz) w każdą niedzielę o godz. 8.10.

Dla Polaków za oceanem powtórka audycji o 1.00 w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Audycje archiwalne do pobrania na stronie PR Katowice:

www.radio.katowice.pl

i Światowego Kongresu Kresowian:

www.kresowianie.com

ZWYCIĘSKI POWRÓT PŁK. SZENDZIELARZA

„ŁUPASZKI” - fotorelacja.

Paweł Bendkowski



„My jesteśmy z miast i wiosek polskich. My chcemy, by Polska była rządzona przez Polaków oddanych sprawie i wybranych przez cały Naród. Wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za pieniądze, orderzy lub stanowiska z rąk sowieckich mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości.” To słowa Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę” stanowiące credo jednego z najbardziej znanych dowódców polskiego podziemia niepodległościowego. Zamordowany 8 lutego 1951 r. w ubeckim więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie, pochowany w beziemiennym dole śmierci, odnaleziony wiosną 2013 r. w pobliżu „Łączki” na warszawskich wojskowych Powązkach, po 65 latach powraca w glorii i chwale.

Panie Pułkowniku Szendzielarz, Panie Komendancie !

Na Boga, „Te Deum grają”. Prawdziwie radosny nam dziś dzień nam nastał. Chrystus resurrexit est. Polonia resurrexit est. I wychodzą z cienia prawdziwi Bohaterowie Rzeczypospolitej. Patrz, patrz „Łupaszkę na nas z nieba, jak w Twej chwale będziemy brodzić. Twego ducha było trzeba, by Ojczyznę oswojodzić. Wyzwolić z więzów niepra-

wości, zła, kłamstwa, poddaństwa, zaprzaństwa. By pozbyć się fałszywych przyjaciół i zdjąć z cokołów obcych bohaterów. Tymi słowami rozpoczął swą pożegnalną przemowę u trumny Pułkownika przedstawiciel rodziny „Łupaszkę” pan Bogdan Kasprowicz.

Zazwyczaj ceremonia pogrzebowa jest wydarzeniem pełnym smutku i zadumy. Ta, której byliśmy świadkami w niedzielę 24 kwietnia 2016 r. na warszawskich Powązkach była jednak inna, niezwykła. Tysiące Polaków i setki sztandarów przybyło z całej Polski by po 65 latach pożegnać symbol żołnierskiej niezłomności i wierności złożonej przysiędze – wybitnego i walecznego dowódcę wojskowego, ułana i partyzanta, kawalera Krzyża Virtuti Militari V klasy - majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, tuż przed pogrzebem awansowanego do stopnia pułkownika.

Głównymi uczuciami uczestników tej pożegnalnej ceremonii była satysfakcja i duma, że doprowadzony na wieczną wartę ułan 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich, w stopniu porucznika 4. Pułku Wileńskiej Brygady Kawalerii walczącej w wojnie 1939 r., dowódca Wileńskiej 5 Bryga-

dy AK jest żegnany z honorami na jakie po wielokroć sobie zasłużył. Państwowy pogrzeb z pełnym ceremoniałem wojskowym i udział najwyższych władz państwowych z Prezydentem RP, członkami Rządu i Parlamentu były wyrazem suwerennej decyzji państwa, które swoich Bohaterów otacza czcią i szacunkiem. Wyrazem tego także, że szanuje tradycje chrześcijańskiego pochówku.

To dlatego, Prezydent Andrzej Duda w kościele p.w. św. Karola Boromeusza w Warszawie, gdzie



pod przewodnictwem Biskupa Polowego WP ks. Józefa Guzodka odbyła się liturgia pogrzebowa mógł powiedzieć, że w ten dzień Polska odzyskuje godność : „ Poprzez odnalezienie doczesnych szczątków pana pułkownika, poprzez pamięć o bohaterstwie Żołnierzy Niezłomnych przywracamy godność Polsce. Godność, którą kiedyś ci, którzy katowali i zamordowali wtedy majora Zygmunta „Łupaszkę” podeptali. Godność, którą poprzez zacieranie pamięci, razem z Żołnierzami Niezłomnymi wrzucili do beziemiennych dołów. Dziś ta godność

wraca wraz z dumną Polską, która pochyla nisko głowę i oddaje hołd swojemu wielkiemu synowi, bohaterowi niezłomnemu do samego końca.

To nie jest przywracanie godności płk Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszkę” bo On tę godność zawsze posiadał i nigdy jej nie stracił. To była godność Żołnierza trzymającego się niezłomnie swoich zasad i wartości jakich nauczyła go przedwojenna niepodległa Polska i Jego rodzina. Zasady obowiązku walki o suwerenność i niepodległość Oj-





czynny, aż do złożenia najwyższej ofiary – swego życia.

Tragedią nas Polaków było, to w jaki sposób życie tego niezłomnego żołnierza zostało Mu 65 lat temu odebrane. Pojmamy i zhańbiony pokazowym procesem zarzucającym Mu współpracę z wrogiem, skazany na 18-krotną karę śmierci został przez komunistycznego kata zabity katyńskim strzałem w tył głowy. Dopelnieniem pohańbienia wg. sowieckiego państwa mieniącego się Polską miało być nie oddanie ciała rodzinie i brak chrześcijańskiego pochówku. Potajemne pogrzebanie zamordowanego i wyklętego przez komunistów Żołnierza jak i tysiący Jemu podobnych w nieznanych miejscach miało służyć wymazaniu Jego i Jemu podobnych z polskiej pamięci. To był element inżynierii społecznej mającej za cel stworzenie w nowym sowieckim ustroju przyniesionym ze Wschodu na bagnietach modelu nowego Polaka – Polaka uległego szalonej komunistycznej idei. Idei porzucenia dotychczasowych wartości, które określają trzy słowa : Bóg – Honor – Ojczyzna , co równać się miało odrzuceniu dotychczasowej historii i tradycji . A przecież one przez całą 1050 – letnią historię stanowią fundament naszej tożsamości i naszego niepodległego bytu.

ZWYCIĘSTWO DOBRA NAD ZŁEM

O wierze w Boga jako źródle siły moralnej Żołnierzy Wyklętych mówił biskup Józef Guzek w czasie mszy św. jak i na cmentarzu minister obrony narodowej Antoni Maciarenko.

W swej homilii bp. Guzek przyrównał życie człowieka do ziarna, które wydaje plon. Powiedział m.in. „Człowieka można porównać do ziarna. Całe jego życie od chwili narodzin aż po grób jest obumieraniem. Jednocześnie obumierając przynosi owoc. Istnieje jednak zasadnicza różnica między obumieraniem ziarna a obumieraniem człowieka. Ziarno obumiera zgodnie z prawami natury, nie z własnej woli. Człowiek inaczej, on sam może wybrać i zdecydować dla jakich wartości poświęci swoje życie, jaki sens będzie miało jego obumieranie. Na Golgocie stały trzy krzyże, a na nich trzech skazańców. Każdy z nich umierał inaczej. Jeden umierając przeklinał wszystko i wszystkich, drugi zwany dobrym łotrem ostatniej chwili ziemskiego życia pomyślał o wieczności i prosił Jezusa o miłosierdzie, Chrystus zaś

ofiarował swoje życie aby innych ocalić. Tym samym potwierdził, że nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich. Owocem Jego śmierci i zmartwychwstania jest zwycięstwo dobra nad złem, prawdy nad fałszem, życia nad śmiercią. Zmieniają się epoki, ale ocena śmierci Jezusa pozostaje zawsze ta sama: oddał swoje życie aby otworzyć ludziom bramy do nieba. Bracia i siostry, wiosną 1945 roku wielka zawierucha wojenna dobiegła kresu. Narody Zachodniej Europy cieszyły się z odzyskanej wolności, jednak cena jaką zapłaciła ludzkość za pokonanie faszystowskich Niemiec była olbrzymia. Na wielu cmentarzach wojennych jak pędy młodych zbóż lśniły w wiosennym słońcu tysiące krzyży na grobach żołnierzy poległych w walce o wolność. Obumarły dorodne ziarna, tysiące ziaren, aby z ofiary ich życia narodziła się wolna Europa i nastał błogosławiony czas pokoju. Jednak dla Polski wojna się jeszcze nie skończyła, narzucane siłą rządy sowieckiej Rosji budziły opór zdecydowanej większości polskiego narodu. Generał Okulicki w styczniu 1945 roku w ostatnim rozkazie napisał : „Nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym państwie. Wielu z naszych rodaków zahartowanych w wojnie obronnej 1939 roku, w podziemnym ruchu oporu w szeregach Armii Krajowej oraz doświadczonych w Powstaniu Warszawskim nie złożyło broni ale podjęło walkę zbrojną z nowym okupantem. **Wolność i niezawisłość umiłowali nade wszystko, wierność Polsce uznali za wartość najwyższą. Nie dali się przekupić żadną obietnicą ani przywilejem. Honor im na to nie pozwalał. Jednym z nich był pułkownik Szendzielarz „Łupaszka”, który tak uzasadniał decyzję wielu rodaków o kontynuowaniu walki zbrojnej: My jesteśmy z miast i wiosek polskich. My chcemy, by Polska była rządzona przez Polaków oddanych sprawie i wybranych przez cały Naród. Wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie tym, którzy za pieniądze, ordery lub stanowiska z rąk sowieckich mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości.**”

WIerność RZECZYPOSPOLITEJ

Pułkownik „Łupaszka” dwa razy składał przysięgę na wierność Rzeczypospolitej za każdym ra-

zem pozostał jej wierny. Choć została rozwiązana Armia Krajowa nadal kontynuował walkę będąc przekonany, że jeśli zajdzie taka potrzeba, trzeba umierać za Polskę. Bracia i Siostry, kardynał Stefan Wyszyński uwięziony w Stoczku Warmińskim przez ówczesną, komunistyczną władzę, w „Zapiskach więziennych” zanotował niezwykle trafne spostrzeżenie: Czyn ma miejsce raz i już się nie odменя, pozostanie taki na wieczność. Ale ocena czynu zmienia się każdym dziesięcioleciem. I to jest straszne. Jak bardzo doskonały musi być czyn by wyszedł zwycięsko z tych opresji tej zmiennej w swych upodobaniach historii.”

Kontynuując biskup stwierdził: Czyn płk. „Łupaszki” jest nam wszystkim dobrze znany. Jednak ocena jego w okresie ostatnich dziesięcioleci lat w sercach i umysłach wielu ludzi się zmieniała. Przez ówczesną władzę komunistyczną został on skazany nie tylko na wielokrotną karę śmierci ale także na wieczne zapomnienie. Parafrazując słowa Prymasa Tysiąclecia można powiedzieć, że czyn płk. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” był tak doskonały, że wyszedł zwycięsko z opresji zmiennej w swych upodobaniach historii. Minęło ponad pół wieku a Żołnierz Niezłomny odzyskał imię i znalazł miejsce wśród umiłowanych synów Ojczyzny i bohaterów narodowych. Nie było by wolnej Polski gdyby zabrakło czynu zbrojnego „rycerzy wolności” w powojennej Polsce. Nie byli oni straceńcami pragnącymi za wszelką cenę umrzeć. Byli żołnierzami wiernymi przysiędze. Żołnierze Niezłomni przypominali społeczeństwu, że trzeba wyprostować kark i powstać z klęsk. Poświęcili swoje życie za wolność Ojczyzny, której nie doczekali.” I dalej :

„Od mogiły żołnierza nie odchodzi się ze złamaną duszą, nie odchodzi się z poczuciem klęski, beznadziejności, ale niezbitym przekonaniem, że oto wyrosła nowa wartość ducha, wartość nie moja, nie twoja ale nas wszystkich, wartość należąca do całego narodu. Śp. płk. „Łupaszka” jak ziarno pszeniczne siane w glebę obumarł aby żyła wolna Polska , aby się narodził wolny kraj. Do przemian roku 1989 zginęło jeszcze wielu rycerzy wolności, ale ich ofiara nie poszła na marne. Stojąc przy trumnie jednego z nich pragniemy dziękować Bogu za ich świadectwo umiłowania Ojczyzny ponad swoje życie. Czujemy się zobowiązani dołożyć wszelkich starań aby żaden z Żołnierzy Wyklętych – Niezłomnych nie pozostał bezimienny. Oni stanowią bowiem jedno z ogniw w łańcuchu pokoleń, które walczyły o niepodległą Polskę w minionym stuleciu. Musimy uczynić wszystko aby do świadomości całego społeczeństwa przebiła się prawda, że czyni Żołnierzy Wyklętych zasługują na pamięć i wdzięczność całego narodu.

KONDUKT ZWYCIĘZCY

„Gloria Victis” - Chwała Zwycięzcom ma w domyśle sens : Pokonany ale niezwyjęty, bo Jego zwycięstwo przychodzi po



czasie. I ono przyszło. I było to widać w kondukcje żałobnym, w którym dominował nastrój radości, że wreszcie stało się to co powinno być się stać. Tysiące ludzi przeszło ponad 2 kilometry ulicą

Powązkowską w spokojnym i dumnym marszu idąc z kościoła na cmentarz na Wojskowe Powązki. Na czele pluton kawalerii konnej i oddziały kalwarii spieszonoj

Przygotowanie tej imponującej oprawy wymagało dużego wysiłku organizacyjnego, dlatego należy w tym miejscu przypomnieć, że obok Ministerstwa Obrony Narodowej, które zapewniło państwowy i wojskowy charakter uroczystości współorganizatorem uroczystości była Fundacja „Niezlomni” ze Szczecina, której patronem jest płk. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”. Jej prezes Wojciech Łuczak wspomagał rodzinę patrona jego fundacji w przygotowaniach do uroczystości żałobnych w Łodzi i brał w nich udział. Dzięki jego operatywności i kontaktom do Warszawy przybyły liczne grupy rekonstrukcyjne i ułani na koniach towarzyszący konduktowi żałobnemu. Wzięły w nim udział pododdziały pod dowództwem pana Dionizego Krawczyńskiego: pododdział Piechota II RP, d-ca Andrzej Rudziński, pododdział wystawiony przez GRH 37 Pułku im ks. Józefa Poniatowskiego i Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej 4 Pułku Piechoty Legionów, pododdział Podziemie Antykomunistyczne po 1945 r., d-ca Wojciech Konarski, pododdziały GRH Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, GRH Wolność i Niezawisłość, Stowarzyszenia Jednostka Strzelecka 2036 im. O.P. AK „Błysk” w Paradyżu oraz Pododdział honorowy do ławety wystawiony przez pododdziały odtwarzające 27 Pułku Ułanów, d-ca Dionizy Krawczyk. Pododdziały wystawiły: Stowarzyszenie RH „JODŁA”, Strzelecki Oddział Kawaleryjski „Beliniak”, Szwadron Kawalerii Żyrardów. Kondukt otwierał pluton ułanów na koniach, pierwszy w mundurach macierzystego 4. pułku Ułanów Zaniemeńskich, za nimi szły oddziały ułanów spieszonych, potem orkiestra reprezentacyjna Wojska Polskiego przygrywająca maszerującym uczestnikom tej patriotycznej manifestacji. W zwartym szyku szła następnie Kompania Honorowa WP a za nią sztandary umundurowanych organizacji wojskowych i kombatanckich, harcerzy z całego kraju, oddziały rekonstrukcyjne. Przed trumną spowitą biało-czerwoną flagą, na lawecie ciągniętej przez szóstkę koni siedł jeszcze biskup polowy ks. J. Guzdek z towarzyszącymi

mu księżmi. Czapkę ułana macierzystej jednostki „Łupaszki” niósł pojedynczy żołnierz. Za trumną szła rodzina Pułkownika i przybyli na uroczystość politycy i przedstawiciele organizatorów oraz tłumy, wielotysięczne tłumy ludzi wśród morza biało-czerwonych flag, widoczne były liczne transparenty. Tłum musiał się zatrzymać przed bramą by przepuścić tzw. VIP-y, które mogły dostać się w pobliże grobu, gdzie złożona została trumna ze szczątkami płk. Szendzielarza „Łupaszki”. Cała ceremonia odbyła się z pełnym ceremoniałem wojskowym i z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, ministra obrony Antoniego Macierewicza (który przemawiał) i innych przedstawicieli rządu. Obrządek pogrzebowy pełnił bp polowy ks. Józef Guzdek, który też wygłosił ciekawe i mądre słowa pożegnania śp. płk. Szendzielarza „Łupaszki”. Kompania Honorowa oddała salwę honorową. Przy składaniu trumny do grobu Pułkownika czekała niespodzianka: pan Maciej Prażmo z Okręgu AK Warmii i Mazur z siedzibą w Olsztynie wspiął do grobu grudki ziemi przywiezione ze Stryj i Wilna. Pułkownik „Łupaszka” urodził się w Stryju w 1910 roku – wtedy miejscowość w zaborze austriackim potem, w woj. stanisławowskim, a potem związał się z Wilnem. Niech więc w tej warszawskiej ziemi grudy ziemi ze stron rodzinnych pozwolą Mu spać spokojnie. Przemówienie z podziękowaniem wobec zgromadzonych władz i społeczeństwa wygłosiła w imieniu rodziny płk. „Łupaszki” – Jego siostrzenica, pani Halina Morawska. Ona też przyjęła z rąk pana prezydenta Dudy polską flagę narodową, która podczas całej uroczystości spowijała trumnę. Piękny pomnik nagrobny wystawiony temu wybitnemu Polakowi i wojskowemu dowódcy, stworzył artysta rzeźbiarz prof. Karol Badya z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Złożone na tym pomniku, niezliczone wieńce i kwiaty stanowiły wieńczący laur dla Bohatera tej niezwyklej i historycznej uroczystości.

UŁAŃSKIE POŻEGNANIE W ŁODZI

Prezes Fundacji Niezlomni Woj-

ciecha Łuczak, tak opowiada o swoich kontaktach z rodziną patrona: „Zgodnie z sugestią pana Jerzego Lichtarowicza, siostrzeńca żony „Łupaszki” – Anny z d. Swolkień, mieszkającego w Szczecinie, który przez długie lata opiekował się ich córką Barbarą, rozmawiałem z wszystkimi krewnymi płk. Szendzielarza „Łupaszki”, to było kilkanaście rozmów. W ich trakcie wszyscy wyrażali życzenie by stało się zaślubiną ostatniej woli córki, która życzyła sobie być pochowaną we wspólnym grobie obok Ojca. Dotąd był symboliczny grób „Łupaszki” na Powązkach, choć w niedogodnym miejscu i tam była pochowana w 2012 r. Jego córka. Ciekawym i wartym powiedzenia jest fakt, że wolę bezpłatnej pomocy w tamtej uroczystości zgłosił prywatny przedsiębiorca pogrzebowy z Łodzi – pan Witold Skrzydlewski, którego firma sfinansowała wtedy pochówek. Także teraz ta firma zajęła się pogrzebem samego „Łupaszki”, dzięki czemu uroczystości zaczęły się w Łodzi i trwały tam dwa dni – 21 i 22 kwietnia b.r. Zanim to się stało, w przeddzień w gronie rodziny płk. Szendzielarza „Łupaszki” złożono Jego szczątki do trumny do której włożono też specjalnie uszyty mundur ułana 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich, szablę i ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Pierwszy dzień rozpoczął się czuwaniem modlitewnym w łódzkiej archikatedrze, gdzie wystawiona była trumna ze szczątkami Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Przybyła licznie młodzież szkolna szkół podstawowych i średnich z nauczycielami, liczne organizacje patriotyczne i oraz mieszkańcy Łodzi. Wartę honorową przy trumnie pełnili harcerze, uczniowie, żołnierze, leśnicy, straż miejska i przedstawiciele organizacji patriotycznych. Po południu odbyły się w katedrze Nieszpory żałobne pod przewodnictwem ks. bp. Marka Marcza, biskupa pomocniczego archidiecezji łódzkiej z udziałem kleryków Wyższego Seminarium Duchownego. Przed katedrą była ekspozycja wystawy szczecińskiego IPN zatytułowana „Niech polska ziemia utuli ich do spokojnego



snu ... Ekshumacje i identyfikacje ofiar terroru komunistycznego”. Przedstawia ona wszystkie zidentyfikowane już ofiary reżimu, które zostały odnalezione na kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach. Pełna archikatedra ludzi z całego kraju, liczne poczty sztandarowe, grupy rekonstrukcji historycznej, żołnierze, harcerze w mundurach – to robiło wrażenie. Jeszcze większe wrażenie robiło nabożeństwo żałobne któremu przewodniczył na drugi dzień ks. abp. Marek Jędraszewski. Doczesne szczątki legendarnego dowódcy 5. Brygady Wileńskiej AK powitały dźwięki dzwonu „Serce Łodzi”, który rozbrzmiewa tylko przy szczególnych okazjach. Wartę honorową przy trumnie pełnili komandosi w czerwonych беретach, a udział wzięli we mszy św.

obok mieszkańców Łodzi i z wielu miast w kraju przedstawiciele władz państwowych. Ksiądz arcybiskup Marek Jędraszewski w swojej homilii powiedział m.in. iż „W roku Jubileuszu 1050. lecia Chrztu Polski uświadamiamy sobie, że „Łupaszko”, Żołnierze Wyklęci to element naszej tożsamości. Chcemy dziś pochylić się nad Jego postacią z najwyższą czcią. Chcemy przez to zrozumieć kim jesteśmy, jak historia nas tworzyła i jakie na nas spoczywa wielkie zobowiązanie

foto:
ppor. Robert Suchy / CO MON
Grzegorz Jakubowski / KPRP
Paweł Bendkowski
www.facebook.com/fundacjanie-zlomni

Z prasy polonijnej

Coraz więcej mieszkańców Litwy zna język polski

L24

25 kwietnia, w poniedziałek, w Instytucie Polskim w Wilnie odbyło się uroczyste zakończenie kursów języka polskiego.

W wiosennym semestrze na kursy uczęszczały 43 osoby w 5 grupach początkujących i średniozaawansowanych.

Wszyscy studenci otrzymali z rąk dyrektora Instytutu Marcina Łapczyńskiego zaświadczenia o ukończeniu kursów oraz książki Rimvydas Valatki „Polska – kamień Jagielly”, wydane we współpracy z Instytutem.

Lektorki podkreśliły, że kursy języka polskiego wybierają studenci



zmotywowani do nauki, zainteresowani Polską, jej historią i kulturą. Oprócz motywacji czysto prywatnych język polski coraz częściej

przydaje się im także w pracy.

Na kolejny semestr kursów Instytut zaprosi od września.

Klub rekonstrukcji historycznej - historia w 5D

WILNOTEKA



Można powiedzieć, że jest to historia w 5D - kiedy się zakłada historyczny mundur, uczestniczy w rekonstrukcji jakiejś bitwy, manewrów czy na przykład balu oficerów, działa to na wyobraźnię lepiej niż jakiś film czy książka - tak o tym, czym jest przynależność do klubu rekonstrukcji historycznej mówi Waldemar Szełkowski, jeden z inicjatorów powstania Wileńskiego Klubu Rekonstrukcji Historycznej Garnizonu w Nowej Wilejce, nauczyciel historii w Gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego w Nowej Wilejce. Klub, który działa od jesieni 2014 r., zorganizował w Domu Kultury Polskiej w Wilnie prezentację swojej działalności. Podczas spotkania w Domu Kultury Polskiej w Wilnie zaprezentowane zostały mundury formacji wojskowych, które w okresie międzywojennym XX wieku stacjonowały w Nowej Wilejce. Jeden z członków klubu miał na sobie mundur uczestnika polskiej Samoobrony Wileńskiej, która broniła miasto przed bolszewikami na przełomie 1918 i 1919 roku. Polskie oddziały

ochotnicze składały się z żołnierzy I Korpusu pod dowództwem gen. J. Dowbora-Muśnickiego, którzy służyli w armii carskiej, ich umundurowanie było więc skromne. Żołnierzem Samoobrony był między innymi Antoni Wilewski, architekt, rzeźbiarz, autor Trzech Krzyży.

Zostały również zaprezentowane mundury ułanów 13 Pułku Ułanów Wileńskich oraz mundur żołnierza AK. Członkowie Wileńskiego Klubu Rekonstrukcji Historycznej Garnizonu w Nowej Wilejce opowiedzieli nie tylko o mundurach - również o formacjach wojskowych, które stacjonowały w Nowej Wilejce. Reprezentanci klubu przedstawili także działalność swojej organizacji.

Kluby rekonstrukcji historycznej są bardzo popularne w Polsce. Na Litwie jest to pierwsza tego typu inicjatywa podjęta przez pasjonatów historii, a przede wszystkim dziejów polskiej wojskowości. Klub powstał jesienią 2014 r.

„Od kilku lat mam kontakt z

Kieleckim Ochotniczym Szwadronem Kawalerii im. 13 Pułku Ułanów Wileńskich i myślałem o tym, że warto za ich przykładem założyć podobną organizację w Wilnie. O kierunku działalności naszego klubu zdecydował fakt, że większość członków-założycieli mieszka w Nowej Wilejce - postanowiliśmy skupić się na działalności Garnizonu Nowa Wilejka. Przed II wojną w Nowej Wilejce stacjonowały trzy pułki, tworzące garnizon. Były to: 13 Pułk Ułanów Wileńskich, 85 Wileński Pułk Piechoty i 19 Pułk Artylerii Lekkiej. Samoobrona Wileńska jest o tyle ważna, że pułki te właśnie z niej się wywodzą. Z kolei jeśli chodzi o AK, niektóre brygady nawiązywały do tradycji 13 Pułku Ułanów Wileńskich” - w rozmowie z Wilnoteką powiedział Waldemar Szełkowski, jeden z inicjatorów powstania organizacji, nauczyciel historii w Gimnazjum im. J.I. Kraszewskiego w Nowej Wilejce.

Zdaniem Szełkowskiego, działalność w klubie rekonstrukcji historycznej to świetny sposób poznawania historii. Równie ważne jest utrzymanie i zachowanie tradycji polskiej wojskowości. Ponadto klub zajmuje się gromadzeniem dokumentacji, poszukiwaniem informacji w archiwach o żołnierzach Garnizonu Nowa Wilejka, organizuje rajdy szlakiem bojowym polskich formacji oraz spotkania, podczas których miłośnicy historii dzielą się swoją wiedzą z osobami o podobnych zainteresowaniach.

Rząd odrzucił oryginalny zapis nazwisk na 2. stronie paszportu

KURIER WILEŃSKI

Rząd nie zaaprobował w środę, 27 kwietnia, projektu ustawy, który miał zezwolić na oryginalny zapis nielitewskich imion i nazwisk na drugiej stronie paszportu.



Gabinet ministrów swoją odmowną decyzję uzasadnił tym, że nowa regulacja spowoduje chaos, bowiem, tak przynajmniej uważa, stworzy przesłanki do stworzenia dwóch i więcej tożsamości w rejestrach urzędowych Litwy i innych państw.

Rząd, jak twierdzi, nie widzi zasadności poprawek, bowiem oryginalny zapis nazwiska nie będzie miał mocy prawnej, co wynika z wykładni Sądu Konstytucyjnego. Projekt autorstwa posłów — Gediminas Kirkilasa, socjaldemokrata, wiceprzewodniczącego Sejmu i Ireny Šiaulienė, starosty frakcji Partii Socjaldemokratycznej w Sejmie — zezwalałby przedstawicielom mniejszości narodowych oraz Litwinkom, które wyszły za mąż za obcokrajowców, na zapisywanie ich nazwisk w litewskich paszportach w formie nielitewskiej. — Nie zdziwiła mnie decyzja rządu. Ona musiała

być negatywna. Mniejszości narodowe oraz kobiety, które wyszły za mąż za obcokrajowców, nie zgadzają się na zapis w oryginalne imion i nazwisk na drugiej stronie paszportu i na rewersie dowodu osobistego. To i tak nie miałyby żadnego znaczenia prawnego, nie rozwiązałyby żadnych problemów administracyjnych. Mam nadzieję, że rząd wkrótce przyjmie odpowiednią decyzję i pozwoli na zapis imion i nazwisk w oryginale na pierwszej stronie paszportu — powiedział „Kurierowi” Gediminas Kirkilas.

Tymczasem Wanda Krawczonok, wicestarosta frakcji Akcji Wyborczej Polaków na Litwie, podczas rozmowy z „Kurierem” powiedziała, że bardzo wątpi, iż rząd pozwoli na oryginalny zapis imion i nazwisk na pierwszej stronie paszportu.

Zwiększyła się liczba osób ubiegających się o wizę do Polski

MONITOR WOŁYŃSKI

Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku odnotował w ostatnich miesiącach wzrost liczby zażaleń i uwag od obywateli Ukrainy – podano na stronie placówki.



Obywatele Ukrainy wyrażają niezadowolenie z powodu zbyt długiego oczekiwania na możliwość zarejestrowania się na stronie Konsulatu lub punktów przyjmowania wniosków wizowych w celu złożenia wniosków. Jedną z przyczyn tej sytuacji jest skokowy wzrost liczby wnioskodawców i składanych wniosków wizowych

– w pierwszym kwartale 2016 r. Konsulat RP w Łucku przyjął o jedną piątą wniosków wizowych więcej niż w analogicznym okresie w latach ubiegłych. Konsulat RP w Łucku i cała służba konsularno-dyplomatyczna dostrzega problem i podejmuje działania, które powinny przynieść rozwiązanie występujących trudności, w tym działania doraźne.

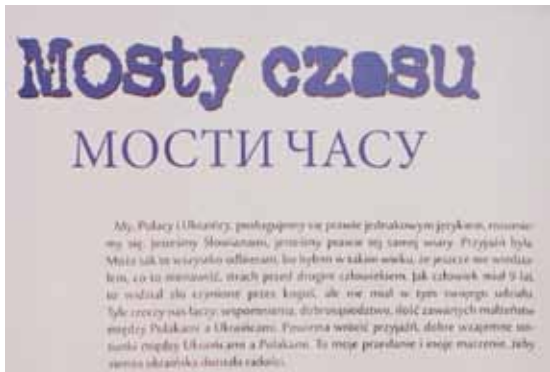
W Tarnopolu zaprezentowano projekt „Pojednanie przez trudną pamięć”

MONITOR WOŁYŃSKI

15 kwietnia w Galerii BunkerMuz w Tarnopolu odbyło się spotkanie z przedstawicielami projektu «Pojednanie przez trudną pamięć» zorganizowane przez Konsulat Generalny RP w Łucku oraz Fundację Teren Otwarty.

W wydarzeniu uczestniczyli członkowie Polskiego Kulturalno-Oświatowego Towarzystwa Obwodu Tarnopolskiego oraz uczniowie Szkoły Języka Polskiego razem z nauczycielką Marianną Seroką. Spotkanie rozpoczął konsul Krzysztof Sawicki. Następnie Aleksandra Zińczuk zaprezentowała projekt, podarowała także bibliotecę działającą przy Towarzystwie książkę «Pojednanie przez trudną pamięć».

Uczestnicy prezentacji usłyszeli wiele różnych historii, m.in. o wspólnocie Ukraińców, Polaków



oraz Żydów do wybuchu wojny i ich zgodnym funkcjonowaniu, a potem o zbrodni w Iłhrowicy, kiedy w wigilijną noc 24 grudnia 1944 r. zamordowano 96 Polaków, o przypadkach ratowania Polaków przez Ukraińców oraz Ukraińców przez Polaków. Szczególnie ciekawy był film, w którym Polacy pochodzący z Tarnopolszczyzny, zwłaszcza z miejscowości Strusów, Bajkowce, Berezowica, opowiadali jak wywożono ich z rodzinnych stron oraz wspominali o wzajemnych relacjach Ukraińców i Polaków.

Znamy laureatów konkursu rshu historycznego

WILNOTEKA

Poznaliśmy imiona i nazwiska laureatów konkursu historycznego „Czy znam historię Polski?”. Komisja w składzie: przewodniczący Roman Lachowicz (starszy nauczyciel historii), Bożena Sienkiewicz (starszy nauczyciel historii) oraz Krystyna Dzierżyńska (wiceprezes Polskiej Macierzy Szkolnej na Litwie) sprawdziła prace testowe 36 uczestników konkursu historycznego „Czy znam historię Polski?” i postanowiła wyróżnić 10 osób, które zdobyły największą liczbę punktów - na 57 możliwych. Laureatami tegorocznego konkursu zostali:

1. Sebastian Salwiński – Gimnazjum im. Jana Pawła II w Wilnie - 50 pkt.
2. Ewelina Mikoleiko – Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie - 48 pkt.
3. Donat Jurewicz - Gimnazjum

- im. J. I. Kraszewskiego w Wilnie - 47,5 pkt.
4. Inesa Buckute - Gimnazjum w Grygizkach - 47,5 pkt.
5. Daniel Bogdiewicz – Gimnazjum w Ejszyszkach - 45 pkt.
6. Łukasz Michniewicz – Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego w Wilnie - 44,5 pkt.
7. Saulius Andrukonis – Gimnazjum w Ejszyszkach - 44,5 pkt.
8. Łukasz Baniukiewicz – Szkoła Średnia im. Sz. Konarskiego w Wilnie - 43 pkt.
9. Justyna Leonowicz - Gimnazjum im. ks. J. Obrebskiego w Mejszagole - 40,5 pkt.
10. Karolina Bogdziewicz – Gimnazjum im. M. Balińskiego w Jaszunach - 40,5 pkt.



Skvernelis poda się do dymisji

KURIER WILEŃSKI

Cmentarz „na Spokojnej” — tak się najczęściej określa od nazwy ulicy stary (zał. na początku XIX w.) cmentarz w Pińsku nieopodal dworca kolejowego. Na cmentarzu oczywiście spokojnie, rzadko ktoś zagląda do uporządkowania grobów, najwyżej w części prawosławnej, gdzie widać więcej późniejszych pochówków.

W katolickiej części niedużo grobów się zachowało, a po kościółku pozostały jeno fundament i fragmenty kolumn, podobnie zresztą jak po cerkwi. Groziło nawet całkowite unicestwienie tej części, gdyż w latach 50. władze planowały zbudować tam stadion. Uchroniła propozycja biskupa Kazimierza Świątka, aby na cmentarzu rzymsko-katolickim, grzebać również wyznawców judaizmu.

Cmentarz połączył i pogodził wszystkich, niezależnie od wyznania i armii. Są tam też mogiły żołnierzy radzieckich z ostatniej wojny, a dalej okazała kwatera żołnierzy niemieckich i rosyjskich z I wojny światowej.

Po tamtej wojnie władze polskie zobowiązane były zadbać o groby wszystkich armii. Dlatego zachowały się groby niemieckie i rosyjskie również w Wilnie na Cmentarzu Antokolskim, a były też w Zakrecie (Park Vingis) oraz w wielu innych miejscach II Rzeczypospolitej.

W Pińsku najlepiej zachował się mur wokół kwatery, ale wewnątrz jest tylko 20 nagrobnych płyt.

O wiele gorzej stało się z polskim wojskowym cmentarzem. Na jego miejscu w latach 60. pozwolono grzebać, poszerzając w ten sposób cmentarz komunalny, a nagrobki nie zabraniano wykorzystywać jako budulec. Były jednakowej formy jak niedawno odnalezione w jednym z murów w Wilnie. W Pińsku są chyba w fundamentach niejednej powojennej budowli.

- Polskich żołnierzy mogiły były od tej suchej jodły w prawo jakieś 200 metrów, ogółem chyba parę hektarów - rzekł nasz przewodnik Edward Złobin, a następnie wskazał żołnierskie groby, które się zachowa-

ły. Tylko tyle. Im dalej od granicy z Polską, tym gorzej jest ze stanem polskich wojskowych cmentarzy i ogólnie katolickich.

Zachowało się 20 nagrobnych płyt żołnierzy niemieckich i rosyjskich, kształtem identycznych do odnalezionych niedawno w Wilnie.

- W prawosławnej części spoczywają Fiodor i Julija Rusieccy, rodzice autora książki „Długi marsz” znanego ogólnie jako Sławomir Rawicz - opowiadał dalej Edward Złobin. A tutaj groby rodziny Ordów. Z Polesia przecież pochodzą artysta malarz Napoleon Orda oraz Jerzy Orda, zasłużony dla Wilna historyk sztuki, pochowany na wileńskiej Rossie. Następne groby Korsaków i Skirmuntów. Konstancja Skirmuntt była publicystką i znaną działaczką o ideologii „krajowców” wspierała litewski ruch narodowy, stawała w obronie Litwinów na łamach prasy i utrzymywała kontakty z Jonasem Basanavičiusem, nie zaakceptowała inkorporacji Wileńszczyzny do Polski. Są też krewni Józefa Ignacego Kraszewskiego, który lubował się w podróżach po Polesiu i podobno powiedział kiedyś: „Ja nie człowiek, ja Pińczuk...”. Polesie jawi się Kraszewskiemu przede wszystkim jako „terra incognita”, fascynująca swą egzotyką niezbadana kraina.

Na cmentarzu w gorszym lub lepszym stanie zachowało się część grobów zasłużonych dla Pińska obywateli.

„Co nie morda - to Orda, co nie oguncio - to Skirmuncio, co nie krazczek - to Korsaczek” - z humorem podsumował pan Edward



zwiedzanie cmentarza znanym kiedyś w Pińsku powiedzonkiem.

Pan Edward pokazał nieliczne żołnierskie polskie groby, które się zachowały.

W historii Pińska nie ma się zasługi królowej Bony, w owym czasie właścicielki tego miasta. Według jej zarządzeń, rozpoczęto kopać kanały i budować nowe drogi. Batory 1581 r. nadał miastu prawo magdeburskie z herbem: w czerwonym kole napięty złoty łuk ze srebrną strzałą o stalowym ostrzu.

Znaczenie handlowe Pińska bardzo wzrosło w XVIII w. — po zbudowaniu kanałów Królewskiego (Dniepr - Bug) i Ogińskiego.

„Pińsk - to Żyd siedzący na worku soli” lub „litewski Liverpool” - tak kiedyś Kraszewski określił bogaczącą się na handlu nieformalną stolicę Polesia.

Nie tylko Żydzi się bogacili. W handel solą inwestował również znany przemysłowiec hrabia Wandalin Pusłowski, który później wybudował imponującą neogotycką rezydencję w uroczysku Mereczewszczyzna, należąca kiedyś do ojca Tadeusza Kościuszki. Będąc gorącym patriotą, Pusłowski odbudował spalony dworek wodza powstania.

Handel bardzo przyśpieszył rozwój miasta. Z 4 tys. mieszkańców na początku XIX w., po stu latach było już 36 tys., a obecnie ponad 130 tys. Pińsk i okolice były niezwykle zróżnicowane narodowościowo i religijnie. Zamieszkiwali prawosławni, katolicy, duży wpływ na Polesiu posiadali baptyści.

Wileńszczyzna pożegnała patriotę

L24

11 listopada, w Dniu Niepodległości Polski, obchodziłby 102. urodziny. Stanisław Wierciński, uczestnik kampanii wrześniowej 1939 roku, żołnierz AK, więzień Łukiszek, zesłaniec syberyjski z rejonu solecznickiego, odszedł do Domu Pana. Miał 101 lat. Pogrzeb odbył się w poniedziałek.

W 2014 roku, w przededniu obchodów Święta Niepodległości Polski, Stanisław Wierciński z rąk przedstawicieli Ambasady RP w Wilnie odebrał akt mianowania na stopień podporucznika. Akt mianowania podpisał ówczesny Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski.



11 listopada 2015 roku w domu Państwa Wiercińskich w Taboryszkach (gmina turgielska, rejon solecznicki) obchodzono podwójny jubileusz - Stanisław Wierciński obchodził swoje 101. urodziny, a w

małżeństwie z żoną Reginą przeżyli 75 lat. Państwo Regina i Stanisław wychowali trzech synów i córkę.

Wileńszczyzna straciła kolejnego patriotę.



DZIEJE POLAKÓW NA BUKOWINIE (DZISIEJSZEJ RUMUŃSKIEJ) -cz.2

Cykl artykułów poświęconych mniejszości polskiej na bukowinie rumuńskiej.

Jerzy Mużyło na podstawie materiałów: Alfonsa Eugeniusza Zelionca

Wędrowali górami Po caluńskiej krainie

Aż się w końcu osiedlili W rumuńskiej Bukowinie...

Rozalia Swancar

Migracje Górali Czadeckich. Stanowiąc w przeszłości integralną część terytorium Księstwa Cieszyńskiego, osadnictwo ziemi czadeckiej, które przypada na okres XV i XVII w., szło dwiema drogami: zachodnią i środkową część zaludniona została przez polskich osadników ze Śląska, zaś wschodnią część zasiedlili polscy koloniści z Żywiecczyzny. Ustaloną jeszcze w 1417r. granicę między Śląskiem a Węgrami nad rzeką Kisucą i jej lewobrzeżnym dopływem Czadeczką, Węgrzy przesunęli w XVIII w. aż po przełęcz Jabłonkowską, zaś górny odcinek dolinki potoku Czadeczki pozostał po stronie Śląska Cieszyńskiego. Stan ten pozostał do upadku monarchii habsburskiej, zaś Czechosłowacja później przejęła w spadku tę sporną granicę. Za sprawą polskich górali wywodzących się z południowej części Beskidu, obszary południowe Księstwa Cieszyńskiego, sięgające aż do Czadecy, zostały zaludnione z końcem XVII i na początku XVIII w., gdzie powstały w tym czasie liczne wioski o charakterze polskim. Główną przyczyną zbiegania w tę okolicę polskich osadników była po pierwsze religijna wojna trzydziestoletnia, podczas której śląskich mieszkańców odstraszały protestanckie Niemcy, oraz potop szwedzki, który spychał ubogą ludność w poszukiwaniu schronienia w niezaludnionych górach.

W takim kontekście powstały następujące wioski: Czadca, Czarne, Gorzelica, Maków, Oleśna, Oszczadnica, Rakowa, Skalite, Staszów, Świerczynowiec, Tu-

rzówka, Wysoka i Zakopce. Wydarzenia te mają swoje potwierdzenie w zachowanym sprawozdaniu komendanta załogi austriackiej o nazwisku Thim, który ok. 1680r nadzorował budowę szańca w Jaworzynce. Odnośnie zamieszkujących tam osadników napisał:

Nad rzeką Świerczynowcem, dzielącą Śląsk od Węgier, na przestrzeni 2 mil, zwaną dawniej Czaca, zbudował hr. Władysław Wesseleny wieś Skalite, której jedna połowa stoi na gruncie polskim, a rozciąga się od granicy polskiej aż do szańca w Jaworzynce. Ta wieś wyrządziła Śląskowi dużą szkodę, zniszczyła lasy na przestrzeni jednej mili, przerobiła nowe drogi i przemocą spędzała poddanych kameralnych z ich łąk i szafasów. To samo odnosi się do wsi Czernego, gdzie obecnie jest 30 chłopów, oraz do wsi leżących nad Kissucą, Rakowej i Miłoszowej, gdzie jest 7 chłopów. Te wsie założyli zbiegowie ze Śląska, Czech, Moraw i Polski, z nich spławili dużo drzewa dla Turków. W większości wsie te charakteryzowały się specyficzną fizjonomią osadniczą, albowiem były to tzw. łańcuchówki, ale także osadnictwo rozproszone w formie przysiółków, tzw. kopanic, położonych wysoko nad doliną, zamieszkałych przez kilka do kilkudziesięciu osób, a nazwy patronimiczne wskazują na nazwiska osadników lub miejsca ich pochodzenia. Dla przykładu podamy za Marianem Gotkiewiczem kilka charakterystycznych nazw takich polskich „przysiółków” ; „Do Bielsza”, „U Sikory”,

„Papicy”, „Polaczkowie”, „Do Swancara”, „Do Kohuta”, „U Komanów”, „U Zielonków”, „U Smolków”, „Gajdoszowie”, „U Majaków”, czy „Strokowie”. Nazwiska te dzisiaj są powszechne na Bukowinie wśród górali czadeckich, a przede wszystkim wśród interesujących nas w niniejszej pracy nowosolonczan, gdzie po dzień dzisiejszy niemalże każdy odkryć może czadecki „przysiółek” jako odpowiednik swojego nazwiska. O tym, że była to liczna grupa dowiadujemy się na podstawie zapisków jezuitę Tannerta z Ołomuńca, który docierał z misją ewangelizacyjną do ziemi cieszyńskiej. Sporządzony 9 listopada 1699r. raport ołomunieckiego jezuitę zawiera następującą notkę:

„Z Polski wyemigrowało około 20 tysięcy ludzi w czasie niedawnej wojny szwedzkiej do Węgier, gdzie zajęło opuszczone miejsca, ale nie dano im katolickiego księdza ani jezuitę. Narzekające matki przynoszą swoje niemowlęta do chrztu do katolików, idąc nawet 2 mile drogi”

W broszurce, która ukazała się w 1937r. w Pradze pod tytułem „Kisuce” nieznanemu autorowi nakreślił nam dokładny obraz rozmieszczenia przysiółków, opisując ubogi stan kisuckich gospodarstw: Do kopanic, potraconych daleko po wierchach, wiodły strome, dziwnie poplatane i trudno dostępne ścieżki- „chodniki”. Stanowiły one jedyną łączność ze światem...

Ściany drewnianych chałup z okienkami, które można było przykryć kisuckim kłobukiem,



podwórka z bezdomnym błotem i z oborami, z których zapach łągodziła zeschnięta cetyna, służąca zazwyczaj za ścieliwo zamiast słomy. Chaty tu i tam jeszcze dymne, to jest takie, gdzie nie było pieca ani komina, tylko proste palenisko w pośrodku izby, nad którym zawisał z powału kocioł na łańcuchu. Wewnątrz izby dym szczywał w oczy, osadził kopcę na trawach, powalach i ścianach. Od czasu do czasu odpadały ze stropu płaty sadzy, wielkie jak czopa barania. Wieczorami oświetlano izbę kopcącym olejnym kagankiem Lu tylko smolnymi szczopami.

Należy dodać, że w tym czasie, pod naporem zagrażającej potęgi tureckiej, ziemia czadecka stała się schronieniem dla wielu osadników słowackich, szukających spokojnego życia na rubieżach monarchii węgierskiej, gdzie stykając się z ludnością polską zaczęli się wzajemnie przenikać, przede wszystkim w aspekcie językowo kulturowym.

Po przyłączeniu ziemi czadeckiej w 1770r. na stałe do królestwa Habsburgów i wskutek rozbiórów Polski, stan materialny polskich górali znacznie się pogorszył, co było częściowo spowodowane zarówno nowym uciążliwym systemem podatkowym, jak i naturalnym przyrostem liczby ludności. Pod koniec XVIII w. nastąpiła

pierwsza fala migracyjna górali czadeckich o charakterze sezonowym w celach zarobkowych, co nie zaradzało biedzie, która zaglądała do ich przeludnionych „przysiółków”. Ponadto, ludność czadecka, będąc pochodzenia polskiego, nie mogła skorzystać z przywilejów, jakie dawał dekret kolonizacyjny cesarza Józefa II z 19 czerwca 1783r., bo obejmował on jedynie żywoł niemiecki, w celu osłabienia polskości w nowo anektowanych dystryktach galicyjskich. Stąd dopiero po trzecim rozbiórze Polski (1796 r.), ok. 1800 r., znaczna grupa, w skład której wchodził także górale czadecy, opuściła czadeczkę, wędrując jak podają źródła, przez okres ośmiu tygodni przez Kraków i Lwów do ziemi brzeżańskiej, gdzie księżna marszałkowa Izabela Lubomirska z rodu Czartoryskich obiecywała im uwłaszczenie. Zarówno księgi parafialne, faszje podatkowe, jak i spisy urzędowe z tego okresu zawierają wiele nazwisk członków grupy emigrującej z czadeckiego. Dla przykładu podamy, że niejaki Szymon Majak, pochodzący z Czarnej (de Villa Czarne, comitatus Trenczyn), 11 maja 1806r. brał ślub w Narajowie z Zofią Sterculową, a asystowali im świadkowie Szymon Wawrzek z Ceniowa i Jakub Myszak z Dulanowa. Nie mamy cienia wątpliwości, że z czadeckiego pochodził również





Michał Kohut, który 5 listopada 1809 r. zawarł związek małżeński z Anną Pałkową, w obecności świadków- Jerzego Gumoły i Jakuba Kohuta z Ceniowa.

Ponieważ od lutego 1787 r. Bukowina należała administracyjnie do Galicji, jako powiat czerniowiecki, przed naszymi góralami otworzyła się nowa droga w poszukiwaniu miejsca na lepsze życie. Powiat czerniowiecki, obejmujący cały obszar Bukowiny, był już w dużej mierze zaludniony przez rodzimych Rumunów, którzy pod względem wyznaniowym byli prawosławnymi, w znacznej mierze przez kolonistów niemieckich i częściowo węgierskich, ormiańskich, żydowskich oraz polskich. Polacy przybywali systematycznie na Bukowinę, której fenomen po wcieleniu do Austrii wzrósł do rangi „ziemi obiecanej”, ale wśród przybywających szczególne miejsce zajmują górnicy sprowadzeni ok. 1790 r. do Kaczyki oraz górale czadeckie, którzy emigrowali z Kisyucy w latach 1800- 1805, stanowiąc drugą falę migracji Kisucan na

Bukowinę. Korzystne warunki, jakie oferował rząd wiedeński dla niemieckich osadników, sprowadziły na Bukowinę nie tylko ludność poszukującą lepszego bytu, ale także licznych przedstawicieli magnaterii niemieckiej, wśród których od 1791 r. rozwijał swoją działalność niejaki Abraham Kriegshaber,. Przedsiębiorca ten, dzierżawca majątku funduszu religijnego, założył w 1793 r. w miejscowości Stara Huta – Krasna hutę szkła, w której znalazło zatrudnienie 30 niemieckich rodzin z Bohmerwaldu, zaś po opuszczeniu niektórych miejscowości na Bukowinie przez ludność Mołdawską, na ich miejsce administracja czerniowiecka zaczęła systematycznie sprowadzać nowych kolonistów, którzy mieli dostarczać drzewa opałowego dla powstałej huty szkła. Jak się okazało , chętnymi robotnikami leśnymi byli właśnie Kisucanie, którzy ok. 1803 r. osiedlili się w Kaliczance , na przedmieściach Czerniowiec , w liczbie ok. 30 rodzin, natomiast w opuszczonych przez Mołdawian Tereblesztach

osiedliło się 11 rodzin, liczących ogółem 67 osób.

Najliczniejsza grupa górali czadeckich osiedliła się w Starej Hucie- Krasnej, gdzie obok zamieszkałych już Niemców przybyła także liczna grupa rodaków z Polski niżowej, wśród których należy wymienić posiadaczy takich nazwisk jak: Ostrowski, Piotrowski, Szymański i In. Księgi metrykalne parafii czerniowieckiej, jak i serockiej z lat 1804-1805 zawierają nazwiska czadeckich osadników, którzy tutaj zawierali śluby i chrzcili swoje dzieci. Podane niżej występowały w tym okresie zarówno na Śląsku Cieszyńskim, jak i na Żywiecczyźnie oraz wśród górali zamieszkałych w dobrach brzezańskich. Spotykamy tutaj między innymi: Najdków, Polacków, Swancarów, Kuczaków, Urszulaków, Sygutów, Stroków, Szuków, Drozdów, Majeryków, Longerów, Chachułów, Zielonków i innych. Istnieje też legenda, która głosi, że jako bardzo wierzący władca cesarz Franciszek II miał zwyczaj przebierać się za ubożego

wędrownika , żeby tym sposobem zbadać, w jakich warunkach żyją jego poddani . Tym sposobem trafił pewnego razu na ziemię czadecką i zauważywszy biedę i nędzę tych mieszkańców, natychmiast zarządził, by uruchomiono wędrowkę w stronę Bukowiny dla polepszenia warunków życia. W latach 1814-1819 liczba górali czadeckich znacznie wzrosła, albowiem do swoich rodaków dołączyli górale zamieszkujący od kilku lat w okolicach Brzeżan. Według relacji Tadeusza Zubrzyckiego z 1911 r. pod tytułem „Przez Brzeżany i Dolinę na Bukowinę”, w latach 1806-1809 liczne grupy górali czadeckich zamieszkiwały w Narajowie koło Brzeżan, w Ceniowie, Koniuchach i Dunajowie. Gwoli egemplifikacji służą fasje podatkowe dóbr brzezańskich, które jeszcze w 1819 r. wymieniają liczne nazwiska , podobne do nazwisk czadeckich . W 1818 r. w Ceniowie spotykamy licznych Kisucan ze zruszczonymi imionami, jak np. Jedynek Iwan(Jan), Doroszczak Iwan, Wawrzyk Szymek, Gomuła

Iwan i inni. Możemy zauważyć na podstawie tych wykazów, że „brzeżańscy osadnicy pozostali w dobrach Lubomirskich zaledwie kilkanaście lat, albowiem późniejszy właściciel dóbr brzezańskich, hrabia Artur Potocki, oświadczając swoim poddanym góralom czadeckim, że obiecanego przez swojego poprzednika uwłaszczenia nie spełni, pozwolił tym samym na poszukiwania nowego miejsca dla tułacej ludności. Wiosną 1814 r. na Bukowinę udała się grupa pełnomocników, którzy mieli zbadać możliwości przesiedleńcze i warunki dla naszych górali. Znalazłszy na Bukowinie swoich rodaków, natychmiast udali się w drogę powrotną, by oznajmić oczekującym nie tylko o tym , że w okolicy Czerniowiec są dla nich warunki, ale także o zamieszkałych tam od kilku lat ich rodzin.

W następnym odcinie(III) o powstawaniu wsi Nowy Sołonec (Soloetu Nou)

foto. Kronika Kresowa

Sprawy z za żelaznej kurtyny

Bożena Ratter

Działalność Witolda Zahorskiego we Włoszech w latach 1952-1962 dotycząca „sprawy z za żelaznej kurtyny” została przedstawiona przez jego syna, dr Witolda Zahorskiego, podczas zorganizowanej przez IPN konferencji „Polonica w instytucjach zagranicznych. Badanie dziejów polskiej emigracji politycznej”.

Witold Zahorski, urodzony w 1912 roku w Wilnie, w czasie okupacji sowieckiej wywieziony z Wilna w głąb Rosji, jako żołnierz II Korpusu WP przeszedł cały szlak bojowy z armią gen. Andersa. Po II wojnie pozostał w Rzymie, jako prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Włoszech przez długie lata troszczył się o polskie cmentarze wojenne we Włoszech i stał na czele komitetu zajmującego się polskimi uchodźcami, którzy z powodów politycznych chcieli wyemigrować. Witold Zahorski jako emigrant nigdy nie przyjął obywatelstwa włoskiego pozostając uchodźcą politycznym, pro-

testując w ten sposób przeciwko reżimowi warszawskiemu.

Prowadził ożywioną działalność we Włoszech również dla Włochów, i to stanowiło temat odczytu jego syna podczas tegorocznej konferencji . W archiwach syn Witolda Zahorskiego znalazł wiele wątków dotyczących wkładu ojca na rzecz walki o wolność i niepodległości Polski w czasie, gdy we Włoszech działała największa partia komunistyczna. Starcia ideologiczne między partią komunistyczną i demokracją chrześcijańską były regularne.

„Jednym z wątków akcji politycznych Witolda Zahorskiego było przedstawienie Włochom rzeczywistości jaka istniała za tzw. żelazną kurtyną. Chodziło o uświadomienie poprzez użycie specyficznej broni pokojowej w formie odczytów, co się działo w krajach Europy środkowo wschodniej i Azji”. Inicjatywa została rozwinięta przez koła katolickie zgromadzone wokół stowarzyszenia

dypłomowanej Akcji Katolickiej, organizacji powstałej jeszcze w 1933r. dzięki woli przyszłego papieża Pawła VI.

Akcja odczytowa zapoczątkowana została w 1952 roku przez 2-ch Polaków, kombatantów, przez ks. Stanisława Suwałę (w czasie wojny ks. Stanisław Suwała był kapłanem II Batalionu Strzelców Karpackich w 2. Korpusie Polskim, współpracownikiem Dzieła św. Rafała, które w latach 1940-44 udzieliło pomocy 25 000 ludzi, z których 2000 wyjechało do Ameryki Północnej lub Południowej (w tej liczbie było 1500 Żydów) i Witolda Zahorskiego. Rozszerzyła się ona do rozmiarów, których nie przewidywali nawet organizatorzy tej akcji, doszli do niej nowi prelegenci, Słowacy, Albańczycy, Rumuni, Litwini, Czesi, Ukraińcy, Chińczycy. Byli też „gościnnie występujący” prelegenci jak ksiądz Władysław Rubin, który w czasie okupacji sowieckiej przeżył zesłanie do Archangielska. Został przydzielony do ciężkiej

pracy przy karczowaniu lasu. Tam dowiedział się o powstaniu Armii Andersa i dzięki niej opuścił „nieludzką ziemię”. Był duszpasterzem uchodźców polskich, a szczególnie młodzieży i studentów. W książce „Pod cedrami Libanu”, Waclaw Netter, towarzysz niedoli kardynała, pisze: „Znane nam dobrze przysłówie mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale rzadko się zdarza, że prowadzą przez Sybir. Taką właśnie drogę odbył w swej życiowej wędrówce do godności kardynalskiej ks. Władysław Rubin. Życie Jego kształtowało się niejako pod znakiem Świętej Trójcy, w trzech głównych etapach, które wywarły wpływ na Jego szeroką działalność duszpasterską, biskupią i kardynalską. Trzy główne miasta wyznaczyły Jego szlak życia: Lwów, Bejrut i Rzym”.

Tylko w pierwszej połowie 1952 roku wygłoszono we Włoszech 660 odczytów. Od lutego do kwietnia 1952 roku sam ks. Stanisław Suwała wygłosił ponad

70 odczytów (nie licząc mszy św. i kazań) a Witold Zahorski 120 odczytów. Objęły one prawie całe Włochy, 15 z 20 regionów. Nie miały posiadać charakteru politycznego a miały przedstawiać jedynie fakty, „posłuchajmy jednego, który pochodzi stamtąd”. Niektórzy prelegenci z uwagi na bezpieczeństwo rodzin, które pozostały za żelazną kurtyną występowali pod fałszywymi nazwiskami. Odczyty wygłaszano po włosku, po nich wywiązywały się gorące dyskusje. Były sesje dla studentów, dla rolników, dla kobiet i dla mężczyzn osobno, dla robotników a nawet wyłącznie dla kobiet wykształconych. Biskup włoski napisał 12 marca 1953 roku do prezesa Akcji Katolickiej, zaledwie tydzień po śmierci Stalina, iż Ojciec św. chwali inicjatywę , która już tak dobrze zaowocowała i namawia do kontynuowania tego dzieła duchowej dobroczynności i prawidłowej informacji, którego celem jest oświecanie publiczności na bardzo ważne tema-

ty. Przykłady tytułów odczytów Witolda Zahorskiego: 2 lata w sowieckich więzieniach, sprawiedliwość sowiecka i sprawiedliwość zachodnia, sprawiedliwość a więzienia w krajach sowieckich, polski katolik w więzieniach sowieckich, sytuacja robotników za kurtyną, prześladowania religijne w Polsce, edukacja młodzieży w krajach komunistycznych, kwestie kulturalne i ekonomiczne za kurtyną, sytuacja robotników w krajach demokracji ludowej w świetle ustawodawstwa pracy, jak jest wyobrażana wolność za kurtyną, chrześcijaństwo, które cierpi walczy i modli się w Europie wschodniej i Azji...

A jaka była reakcja prasy komunistycznej (w przeciwieństwie do prasy lewicowej, która obiektywnie i rzetelnie informowała o tym, co Witold Zahorski mówił)? Jako przykład prelegent przeczytał artykuł z komunistycznej gazety z listopada 1953 roku, w którym po pierwsze, przekreślano umyślnie w niesmaczny i obraźliwy sposób nazwiska prelegentów, prelegenci zostali przedstawieni jako „fałszywi cudzoziemcy i renegaci, którzy tęsknią za krematoriami i za komorami nazistów w Polsce”. W archiwach IPN znajdują się materiały agentów śledzących działalność Witolda Zahorskiego: „zydel z ramienia akcji w 1954 wygłaszał odczyty przeciw ZSRR”, „1964 rok (donosi kapitan TF) to aktywna propaganda wśród miejscowej Polonii przeciw krajom socjalistycznym. Stąd niezliczone prelekcje, organizowanie pokazów filmowych w rodzaju Katynia, organizowanie wycieczek na Monte Cassino”.

Witold Zahorski dodawał często do odczytów temat katyński, prawie za każdym razem pokazywano film o Katyniu. I z tego powodu dotarł do niego anonim, nie napisany przez Polaka ale podpisany „zycziwy Polak”:

„Szanowny panie Zahorski, chciałbym pana prosić aby przestał pan być faszystowskim sługusem, schowaj pan ten swój film o Katyniu, bo każdemu uczciwemu człowiekowi wiadomo, że Polaków tam pobili faszyci, Niemcy. Tylko pan nie chce o tym wiedzieć ale to gorzej dla pana, bo pan jeszcze bałamuci drugich. Schowaj pan ten film dla swojego dobra bo **inaczej pan możesz być schowany**. Bądź pan Polakiem a nie faszystą”.

Minęło prawie 65 lat od momentu gdy „żołnierze niezłomni” polskiej sprawy, których komunistycznym zbrodniarzom nie udało się zamordować, rozpoczęli swą działalność na rzecz wolnej i demokratycznej Polski nie tylko we Włoszech. Prowadzili ją w czasach, gdy telewizja nie była jeszcze tak powszechnym medium. To były czasy emigracji „żołnierzy niezłomnych” polskiej sprawy, wychowanych do pełnienia służby na rzecz państwa, wykształconych i docenianych

w wielu dziedzinach, z których słynęła Polska w Europie i świecie w czasach II RP. Wypędzeni, szkalowani w PRL, inwigilowani przez setki wysłanych za nimi agentów urzędu bezpieczeństwa, a czasami skrytobójczo mordowani przez nich, okradani z majątku odziedziczonego po przodkach, na którym to majątku wzbogacili się ci, którzy im ten majątek zabrali w imię „wspólnego” interesu i szczęścia „socjalistycznego narodu polskiego”. I swoją wiedzą, inteligencją, talentami służą oni i ich dzieci jako architekci, artyści, przedsiębiorcy, wynalazcy, naukowcy czy rzetelnie wykonując swoją pracę w różnych zakątkach świata. Wystarczy przeczytać książkę Moniki Rogozińskiej „Lot koło Nagiej Damy” ale to będzie tylko drobina tego, co jest tak polskie i tak zbrodniczo zostało nam zabrane. A jak dzisiaj byłoby przydatne.

„Zmieniają się epoki ale ocena śmierci Jezusa pozostaje zawsze ta sama, oddał swoje życie aby otworzyć ludziom bramy do nieba. Wiosną 1945 roku wielka zawierucha wojenna dobiegała kresu, narody zachodniej Europy cieszyły się z odzyskanej wolności. Jednak cena jaką zapłaciła ludzkość za pokonanie faszystowskich Niemiec była olbrzymia (...). Na wielu cmentarzach lśniły tysiące krzyży na grobach żołnierzy poległych w walce o wolność. Obumarły dorodne ziarna, tysiące ziaren, aby z ofiary ich życia narodziła się wolna Europa i nastał błogosławiony czas pokoju. Jednak dla Polski wojna jeszcze się nie skończyła. Narzucone rządy sowieckiej Rosji budziły opór zdecydowanej większości polskiego narodu.

Wielu z naszych rodaków w podziemnym ruchu oporu nie złożyło broni ale podjęło walkę zbrojną z nowym okupantem. Wolność i niezawisłość umiłowali nade wszystko, wierność Polsce uznali za wartość najwyższą. Nie dali się przekupić żadną obietnicą ani przywilejem. Honor im nie pozwalał. Jednym z nich był pułkownik Zygmunt Szendzielarz „Lupaszka”, dowódca V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej”- to fragment kazania ks. bp. Józefa Guzka wygłoszonego podczas uroczystej mszy św. w kościele św. Boromeusza w dniu 24 kwietnia 2016 r.

Pułkownik Zygmunt Szendzielarz „Lupaszka”, dowódca V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej to jeden z setek tysięcy „żołnierzy niezłomnych” polskiej sprawy, którzy w zniewolonej Polsce wolność, niepodległość oraz honor i uczciwość obywatelską, cenili ponad wszystko. Niektórzy z nich, tak jak on walczyli z bronią w ręku i zostali zamordowani, inni wracający z oflagów i po demobilizacji na zachodzie ginęli, mordowani w ubeckich katowniach lub w sowieckich łagrach, jeszcze inni zsyłani byli do byłych obozów koncentracyjnych czy

sowieckich łagrów tylko dlatego że byli Ślązakami, Kaszubami, Warmiakami, Wielkopolanami, innym udało ukryć się pod zmienionym nazwiskiem na Ziemiach Odzyskanych, jeszcze inni pozostawieni zostali w spokoju ale często skazani na życie na marginesie społecznym. Do dzisiaj oni i ich prześladowane rodziny pozostali wierni polskiej sprawie i służą uczciwie niepodległej i suwerennej Polsce zgodnie z hasłem „Bóg Honor i Ojczyzna”. Zebrałiśmy się uroczysto 24 kwietnia 2016 roku na Powązkach, by szcztąkom pułkownika Zygmunta Szendzielarza, odzyskanym dzięki wysiłkom niezłomnego profesora Krzysztofa Szwagrzyka i ekipie podobnych mu Polaków, oddać hołd podczas ceremonii chrześcijańskiego pogrzebu... by przywrócić godność. Ale przywrócić godność nie panu majorowi Zygmuntovi Szendzielarzowi „Lupaszce”, pan pułkownik tę godność zawsze miał i nigdy jej nie utracił (...) poprzez te państwowe uroczystości pogrzebowe przywracamy godność Polsce – mówił prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości.

Czy po 65 latach „rzeczywistość jaka istniała za żelazną bramą „zmieniła się? Czy obrzydliwe kalumnie Tomasza Lisa i podobnych mu wychowanków ojca imperium medialnego nie przypominają anonimu, który otrzymał Witold Zahorski 65 lat temu i podpisanego „zycziwy Polak”? A czy obecna opozycja nie używa określenia „faszyci, naziści” w stosunku do tych wszystkich, którzy mieli odwagę myśleć i mówić o suwerennej i silnej Polsce oraz o narodowej tożsamości, czy nie brzmi to jak 65 lat temu, w komunistycznej, włoskiej prasie? Kim są uczestnicy zapowiadanego 8 maja marszu i czy ich groźba odebrania władzy legalnie wybranemu rządowi nie przypomina fragmentu anonimu, „schowaj... bo inaczej pan możesz być schowany?”

Powszechny dostęp do telewizji i prasy znajdującej się w rękach potomków/wychowanków urzędników zbrodniczej, marksistowskiej ideologii z czasu PRL spowodował, iż część polskiego narodu została zmanipulowana i stopniowo przyuczana do nienawiści do Polski i dbałości tylko o przysłowiową „miskę soczewicy” (dla jednych są to pokaźne konta, posady i zawłaszczony publiczny majątek, dla innych ekran TV i zakupy w galerii handlowej).

Dlatego jak Witold Zahorski we Włoszech 65 lat temu, tak dzisiaj posiadający wiedzę i rozsądnie i z troską myślący o nas wszystkich i o przyszłości Polski, uświadamiają nam, co leży w interesie silnej i suwerennej Polski. Czynią to poprzez prowadzone w Polsce i wśród Polonii odczyty, wykłady, narażając się na szyderstwa w opozycyjnej prasie i manipulowanie ich wypowiedziami. Jak Witold Zahorski i inni prelegenci

z włoskiej Akcji Katolickiej 65 lat temu. **A niezbędna dziś jest „kreatywna – a nie jak dotąd głównie imitacyjna- modernizacja.** (prof. Andrzej Zybertowicz)

W telewizyjnym odcinku filmu „8 kontynent. Żołnierze i zesłańcy”, w którym narratorem jest pracownik instytutu w Waszyngtonie, autorka książki „Syberyjska kłątwa”, snuta jest opowieść o budowie z inicjatywy cara Aleksandra III, kolei transsyberyjskiej.

„Kolej stała się impulsem dla rosyjskiej gospodarki. Tysiące robotników w nieludzkich warunkach budowało kolej, wzdłuż torów powstawały osady i rozwijał się handel ale jednocześnie Syberia stała się największym więzieniem świata. Stawała się powoli cmentarzem dla wypędzonych i prześladowanych. Nie tylko za czasów cara. Powoli po Rosji zaczęło krążyć widmo komunizmu. Nastąpiły czasy czerwonych władców Rosji. 10-lecie ich rządów doprowadziły kraj do całkowitego upadku. Z powodu czystek ucierpiały miliony ludzi, wymordowanych lub zesłanych do łagrów. Ofiarą komunistycznego reżimu padła też natura”. Ilustracją tych słów jest seria ujęć filmowych niszczących fragmentów dokoń, statków, budynków mieszkalnych, kominów fabrycznych itp., wśród połamanych drzew, zarośniętych łąki ziemi.

Czy kolejna, ostatnia emigracja nie jest podobna do tej powojennej? Podobna, bo w wyniku bezmyślnego czy celowego działania tej samej ideologicznej grupy, która zniszczyła dorobek i pamięć o II RP. Emigracja, która jest efektem „wygaszenia Polski” przeprowadzonej przez rządzących, którzy posiadają jedynie paserskie umiejętności. Emigracja z konieczności, po likwidacji stoczni, hut, kopalń, zakładów włókienniczych, przetwórczych, transportu lądowego i wodnego, służby zdrowia. Nastąpiła nawet likwidacja młynów gospodarczych działających w oparciu o energię odnawialną. Co w zamian oprócz wyprzedaży majątku narodowego? Kilka autostrad przez Polskę, którymi pędzą samochody poprzez opuszczone, zdewastowane wsie, miasteczka i miasta, pozbawione życia, czasem z odnowionymi rynekami ale opustoszałymi kamienicami. Czy czekają one na nowych właścicieli spoza Polski? Czemu wypędzono z nich Polaków i zmuszono do emigracji zabierając im możliwość pracy czyli zabrano środki do życia? Czy diagnoza z filmu „8 kontynent. Żołnierze i zesłańcy.” nie odnosi się do stanu Polski po 25 latach ostatnich rządów?

Konferencja IPN zgromadziła badaczy dziejów emigracji polskiej z różnych zakątków świata. Barbara Kukulska, Prezes Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu opisała fale polskiej emigracji do Południowej Afryki począwszy od okresu gorączki złota na przełomie IX i XX wieku, poprzez

grupę 500 dzieci w wieku 4-19 lat ocalałych z Syberii i przybyłych w kwietniu 1943 roku, żołnierzy i oficerów leczonych w czasie wojny jak i przybyłych po demobilizacji w Anglii, emigrację solidarnościową 1981-1982 (około 10 000 osób, rodziny z dziećmi, w tej grupie specjaliści, inżynierowie, technicy, lekarze) oraz emigrację wolnościową (osoby z wykształceniem wyższym i średnim w latach 1990 -1992). Doskonale zorganizowane i zasymilowane środowisko polonijne, pani Barbara Kukulska przytoczyła słowa byłego prezesa, Jerzego Walasa: „choć z dala od Polski jesteśmy, zawsze będziemy częścią narodu polskiego. Celem naszym jest i będzie uczciwa praca w zgodzie i jedności. Praca dla wspólnego dobra pozbawiona prywaty, praca dążąca do utrzymania polskości nie tylko wśród nas samych ale wśród przyszłych pokoleń”. Nic dziwnego, że wskutek wspólnej inicjatywy w 1981 roku odsłonięty został pomnik poświęcony ofiarom zbrodni katyńskiej, pierwszy na świecie pomnik postawiony w miejscu publicznym, w parku w Johannesburgu. Przy tym pomniku odbywają się uroczystości upamiętniające zbrodnię w Katyniu, Powstanie Warszawskie i zrzućty dokonane podczas Powstania Warszawskiego przez 69 lotników południowo-afrykańskich zestrzelonych na terenie Polski. To wszystko z aprobatą i udziałem Prezydenta Johannesburga i władz miasta.

Inaczej zachowuje się prezydent Warszawy, pani Hanna Gronkiewicz-Walt. Zupełnie nie przejawiała ani nie przejawia ochoty na upamiętnienia istotnych dla Polski wydarzeń... „Władza jest służbą, władanie to znaczy służenie. Pierwsza miłość władcy – to miłość ku tym nad którymi sprawuje władzę. Gdyby tak było, gdyby ta wielka prawda chrześcijańska nareszcie weszła w życie, gdyby władza była moralna, gdyby zasady rządzenia kierowały się etyką chrześcijańską jakże inaczej wyglądałoby życie i współzycie, praca i współpraca. Tymczasem staliśmy się świadkami działania tylu państw tyrańskich, gdzie mowa do obywatela wyraża się w tonie prokuratorsko - policyjnym. Ileż jest dzisiaj więzień, z których można by wypuścić prawie wszystkich ludzi bez orzeczenia sądu bo cierpią tam za takie czy inne poglądy bądź przekonania polityczne, za takie czy inne spojrzenie na świat.(...) Musi się wypracować sumienie obywatelsko-polityczne. Wtedy człowiek wie, że ma swoje obowiązki w Ojczyźnie, w Narodzie i państwie. Bo i jemu służy Naród i państwo. Podobnie jak ma obowiązki w Kościele bo i Kościół mu służy.” (kardynał Stefan Wyszyński, 1981 rok) Niestety, udziału w obchodach 6 rocznicy tragicznej śmierci 96 Polaków w katastrofie lotniczej nie potraktowała pani prezydent jako służby. A przecież w tym celu została wybrana. Jako służbę Narodowi potraktowała swoją pracę dr Janina Garlicka pisząc wstęp

do katalogu wystawy w Galerii Kordegarda, naprzeciwko Pałacu Prezydenckiego, tuż obok miejsca, gdzie Polacy gromadzili się 10 kwietnia 2010 roku, by przeżywać wspólnie narodową tragedię. Była to wystawa malarstwa, grafiki i rzeźby w hołdzie wszystkim, którzy wówczas zginęli, na czele z Prezydentem RP Lechem Kaczyńskim.

Dr Janina Garlicka jest córką dr Karola Mikulskiego, lekarza psychiatry, ordynatora szpitala psychiatrycznego w Gostyninie w latach 1934-1940. Miał 33 lata

gdy otrzymał propozycję funkcji ordynatora w Gostyninie. Piękny, świeżo zbudowany szpital w lesie sosnowym. Otrzymał wyjazd stypendialny w 1936 roku do Europy w celu zwiedzania i zapoznawania się z zachodnimi klinikami psychiatrycznymi (tak dbano w II RP o merytoryczne przygotowanie do pełnienia funkcji w każdej dziedzinie) był we Francji, Niemczech, Włoszech, na Węgrzech, w Jugosławii, Monachium.

Niemcy w grudniu 1939 roku dokonali zbrodni na inteligencji Go-

stynina, wyeliminowali całą elitę. Już w lutym pacjenci opłacani przez gminę byli wycofywani ze szpitala do ciężarówek i zagazowywani spalinami, zabijano ich też w pobliskich lasach. Niemcy byli pewni, że chory umysłowo nie jest człowiekiem, strzelano do nich jak do psa –wspomina świadek tamtej tragedii. W okupowanej Polsce zamordowano co najmniej 20 tysięcy ludzi niepełnosprawnych. Ze szpitala psychiatrycznego w Świeciu nad Wisłą w październiku 1939 roku wywieziono grupę 120 dzieci pod

pretekstem wycieczki. Zgładzono wszystkie.

17 marca 1940 roku przyjechała do szpitala komisja niemiecka z nakazem sporządzenia w ciągu 24 godzin listy chorych, do ekterminacji. Karol Mikulski pożegnał jak zwykle wieczorem córkę i udał się do swego gabinetu. Popelniał samobójstwo. Tej nocy uświadomił sobie czym jest eugenika niemiecka, przestał być polskim eugenikiem, był już tylko lekarzem, który złożył przysięgę Hipokratesa. Pani dr Janina

Garlicka nie należy do KOD i nie weźmie udziału w marszu 8 maja.

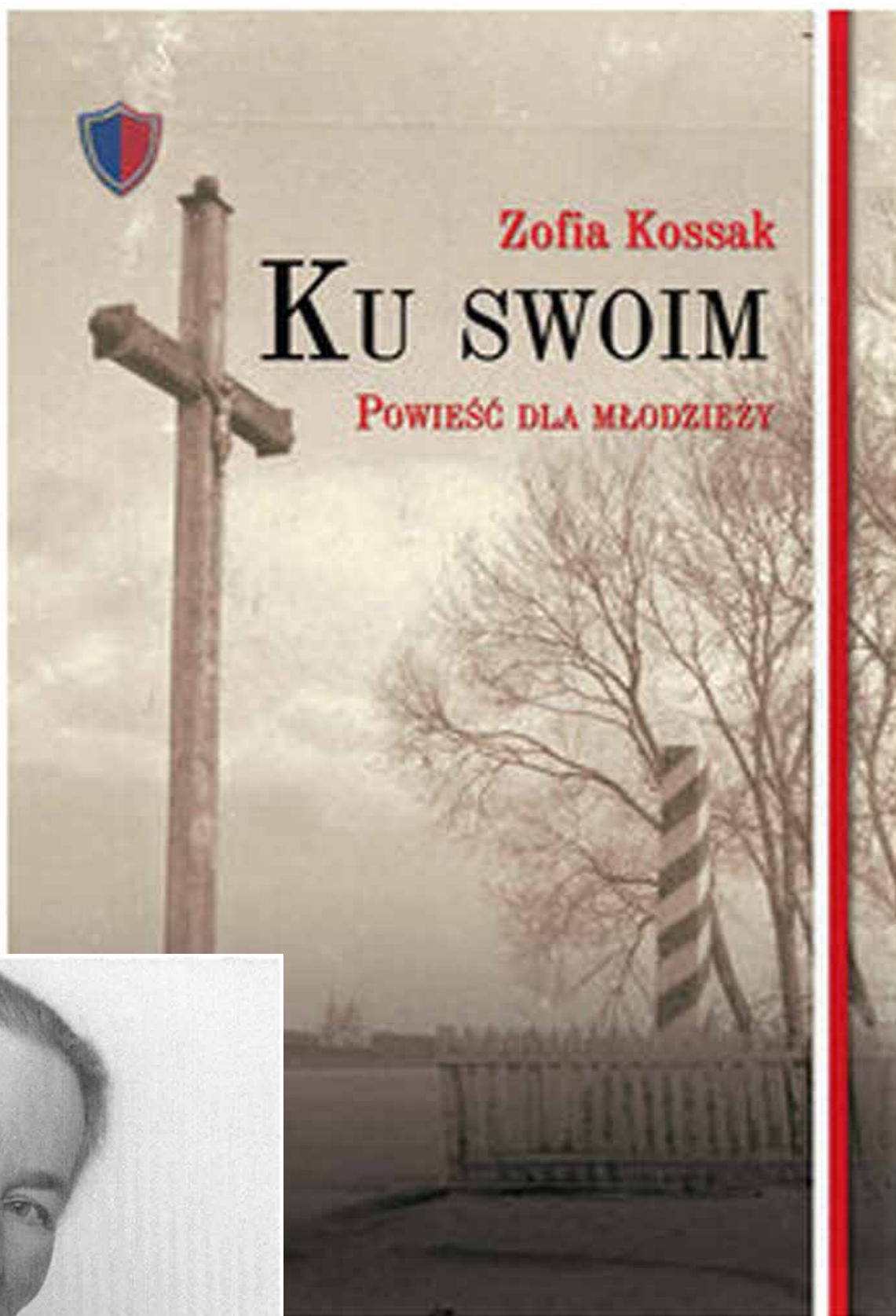
Zupełnie inny stosunek do dzieci niepełnosprawnych zaprezentowała nowa gwiazda, żona Czesława Kiszczaka, która w wywiadzie telewizyjnym wyraziła się z wielkim niesmakiem o możliwości rodzenia przez kobiety dzieci niepełnosprawnych, jest za ich aborcją. Żona zbrodniarza komunistycznego zapewne należy do KOD i weźmie udział w marszu 8 maja. Bożena Ratter

„KU SWOIM”, czyli o utraconej ojcowiznie.

Redakcja

Nakładem wydawnictwa LTW ukazało się pierwsze powojenne wydanie powieści dla młodzieży „Ku swoim” autorstwa Zofii Kossak-Szczuckiej. Książka, która ukazała się po raz pierwszy od 1931 roku uchodzi za jedną z najlepszych powieści, poruszających temat utraconej ojcowizny na Kresach. Powieść nie była wydana po wojnie z powodów politycznych. Zofia Kossak-Szczucka była jedną z najbardziej poczytnych pisarek okresu międzywojennego. Najważniejszą dziedzinę jej twórczości stanowiła proza historyczna. W czasie wojny razem z Wandą Krahelską-Filipowicz utworzyła Komitet Pomocy Społecznej dla Ludności Żydowskiej, działający pod konspiracyjną nazwą Żegota. Za swoją działalność pisarka została aresztowana przez gestapo, po czym trafiła do Auschwitz, gdzie więziono ją w latach 1943-1944. Z Oświęcimia przewieziono ją do więzienia na Pawiaku, skąd została uwolniona za sprawą podziemia. Była także uczestniczką Powstania Warszawskiego. Zmarła 9 kwietnia 1968 roku w Bielsko-Białej, a po śmierci została uhonorowana tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Po ponad 70 latach książka ma szansę zdobyć ponownie czytelników. Opisuje życie sowieckiej Rosji. Od

rewolucji minęło 8 lat. Pani z białego szlacheckiego dworu - Maria Turska - żyje w biedzie w nędznej chacie we wsi Kosobówka. Niegdyś w chacie mieszkała rodzina Mykołów, ale wszyscy zmarli na tyfus, wygnanka z dworu tam znalazła wraz z dziećmi schronienie. Utrzymywała się z szycia, ale także mądrych porad pielęgniarskich. Zyskała szacunek, a rok po „przeprowadzce” z dworu do chaty gospodarze podarowali jej krowę. Była to krowa z jej własnej dawnej hodowli. W tych nowych, tragicznych czasach miała wyjątkowe znaczenie, gdyż stanowiła prawdziwe dobrodziejstwo. Główna bohaterka wie, że jeśli dłużej zostanie w sowieckiej Rosji jej dzieci zostaną wynarodowione. System działa bezdusznie i sprawnie. Jak się wyrwać z beznadziei? Z szarego życia, bez nadziei na zmianę, z urągającej biedy. Starszy syn ulega już sowieckiej propagandzie, młodszy bawi się w ruinach swego dawnego domu, pływa po stawie, gdzie niegdyś utopiono stojący we dworze fortepian i stare zegary. Jaki los czeka córkę, która pójdzie do sowieckiej szkoły? Z pomocą przychodzi stara służąca, która z pogromu uratowała brylanty pani i schowała w zakamarkach ruin dworu. Brylanty odmieniają los rodziny. Pani Turska podejmuje



ryzykowną drogę „ku swoim”, do Polski. Droga pełna niebezpieczeństw zakończyła się w strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie na „ścianie białej i stroszył się orzeł na czerwonej tarczy i uchodźcy przywarli oczami do tej świętości z niedowierzającym ra-

dosnym zdumieniem „, Informacje za: <http://bezkompleksow.com.pl/2016/04/21/pierwsze-powojenne-wydanie-ku-swoim-zofii-kossak-szczuckiej/> (<http://bioggraff.blogspot.com/2016/04/zofia-kossak-ku-swoim.html>

Czerwona mordownia żydowskiego NKWD na Kresach II RP. Zabójcze donosy.

Aleksander Szumański

Ta nadzwyczaj ponura, donosielska rola znacznej części Żydów na Kresach Południowo-Wschodnich została wymownie opisana między innymi w znakomicie udokumentowanej książce żydowskiego autora Bena-Ciona Pinchuka („Polska Wschodnia w przededniu Holokaustu (Towarzystwo Kultury Żydowskiej)”. Pisał on m.in.: „Nie ulega wątpliwości, iż lokalni komuniści żydowscy grali ważną rolę w rozpoznaniu dawnych działaczy politycznych i zestawieniu listy „niepożądanych” i „wrogów klasowych”. NKWD próbowało, często z sukcesem rekrutować ludzi, którzy przedtem byli aktywni w żydowskich instytucjach i politycznych organizacjach, i w ten sposób stworzyli oni atmosferę wzajemnych podejrzeń o strachu wśród przyjaciół i kolegów” (por. Ben-Cion Pinchuk Shtetl Jews under Soviet Rule. Eastern Poland on the Eve of the Holocaust, Cambridge, Mass, 1991, s. 35).

Wielu autorów, historyków żydowskich, polskich i amerykańskich (Richard C. Lukas „Zapomniany Holokaust”) zajmujących się okresem działań NKWD na Kresach Południowo - Wschodnich II RP badało i opisało owe wydarzenia. Wydarzenia historyczne na Kresach Południowo - Wschodnich były i są w dalszym ciągu przedmiotem badań Instytutu Pamięci Narodowej - Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu .

Słynna historyk Hannah Arendt, Niemka pochodzenia żydowskiego w głośnej książce pt. „Eichmann w Jerozolimie” z 1963 r. oskarżyła Judenraty (gminy żydowskie) o czynny udział w żydowskiej Zagładzie. Jej zdaniem bez ich udziału w rejestracji Żydów, koncentracji w gettach, a potem aktywnej pomocy w kierowaniu do obozów, zginęłoby dużo mniej Żydów. Niemcy mieliby kłopot z ich spisaniem i wyszukiwaniem. Krótko mówiąc, praca Judenratów usprawniała i przyspieszała żydowską Zagładę (Shoah, Holokaust). Żydów polskich w czasie okupacji niemieckiej, nie tylko w gettach, zginęło ok 3 miliony, a ilu polskich Żydów zginęło w lwowskim getcie, czy też w innych kresowych gettach, czy też pomordowanych w obozie janowskim we Lwowie zwanym „Uniwersytetem zbirów?”

Najbardziej zmasowaną formą zbrodniczych działań antypolskich ze strony prosowieckich Żydów była wielka fala skie-

rowanych przeciwko Polakom zabójczych donosów. Były one nieustannym zjawiskiem lat 1939-1941 na Kresach II RP.

Zbolszewizowani Żydzi, znający doskonale lokalne stosunki w poszczególnych miejscowościach, okazali się dla NKWD bezcennymi wręcz agentami i informatorami przeciwko różnym patriotycznym środowiskom polskim. Wiele żydowskich donosów przyniosło najtragiczniejsze skutki dla schwytych na ich podstawie Polaków.

Niektórzy z nich bywali natychmiast zabijani w rezultacie tych donosów, tak jak stało się w opisanym szeroko przypadku patriotycznego grodzieńskiego nauczyciela Jana Kurczyka. W przypadku bardzo wielu innych Polaków donos kończył się zamknięciem w sowieckim więzieniu i późniejszym zakatowaniem na śmierć. Bardzo wielu oficerów schwytych na podstawie donosów Żydów z NKWD znalazło się później na listach katyńskich.

POCZĄTKI W SOWIETACH - STALINOWSKA INWESTYTURA

Któż mógł dostarczyć bardziej oddanych i sprawdzonych kadr do zarządzania sowiecką Polską niż członkowie agencji, konfidenci i dywersanci - byłej Komunistycznej Partii Polski, zdominowanej przez Żydów i zdelegalizowanej w II Rzeczypospolitej jako sowiecka agentura?

Sowiecką agenturą w II Rzeczypospolitej była również jawna Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, której działacze domagali się przyłączenia Polski do ZSRS. Głównym „zarządcą” owej akcji likwidacji państwa polskiego był Ożjasz Szechter, ojciec Adama Miłchnika.

Instytut Pamięci Narodowej opisał tę akcję Ożjasza Szechtera skazanego na 8 lat więzienia jako szpiegostwo. Adam Michnik zaskarżył tę działalność IPN i wygrał proces, ponieważ działalność Ożjasza Szechtera nie była szpiegostwem, lecz działalnością polityczną wymierzoną w państwo polskie, co było czynem gorszym od szpiegostwa.

Nic też dziwnego, że w utworzonym w marcu 1943 roku z polecenia Stalina tzw. Związku Patriotów Polskich we Lwowie, któremu przewodniczyła Wanda Wasilewska, znaleźli się przede wszystkim Żydzi. W owym związku czołowe miejsce zajmowała Julia Brystygier („Krwawa Luna”), w randze pułkownika ZSRS, żona Natana Brystygiera,

która katowała więźniów Polaków we Lwowie. Było to krwawe monstrum, której ulubioną torturą było wsadzanie przesłuchiwanemu więźniowi Polakowi jąder do szuflady, następnie gwałtownie zatraskiwanej.

Oficjalnie lwowski Związek Patriotów Polskich miał „pomagać ludności polskiej” w ZSRS, nieoficjalnie - miał przy pomocy tajnych służb sowieckich rekrutować, sprawdzać, przesiewać i typować kadry państwowe dla przyszłej, komunistycznej Polski. W oficjalnych komunikatach prasowych dla celów propagandowych, przedstawiano tylko skład osobowy Prezydium Zarządu Związku Patriotów Polskich, którego członkowie nosili polskie nazwiska: Wanda Wasilewska, Zygmunt Berling, Włodzimierz Sokorski, Stanisław Skrzyszewski i Stefan Jędrychowski.

DZISIEJSZE ECHA ZBRODNICZEJ DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH

Dzisiaj, w dobie odzyskania przez Polskę niepodległości nie ustają ataki na Naród Polski, Polskę, Polaków i polskość. Lwowski Związek Patriotów Polskich został zastąpiony przez Komitet Obrony Demokracji, a działa w nim opozycja parlamentarna z Szetyną i pionkami ZSL(PSL) na czele.

Na organizowanych pochodach KOD-ów wyraz swojemu oburzeniu daje post komuna ze swoimi podskakującymi w plenerze działaczami Giertychem, Petru, Szetyną, groząc wyprowadzeniu na ulice polskich miast miliony Polaków.

Wyraz tej nagonce dali byli prezydenci Rzeczypospolitej Polskiej listem otwartym szkalującym Odrodzoną.

Ostatnio trzech kapusiów esbeckich w liście otwartym opłulo Polskę. To b. żydowski prezydent Polski, TW „Alek” Izaak Stolzman. TW „Bolek” Lejba Kohne oraz kapłan Wojskowych Służb Informacyjnych Bronisław Komorowski. Dołączył do nich Dawid Goldstein (ps. Włodzimierz Cimoszewicz) TW „Carex”, syn oficera stalinowskiej informacji (jego współnicy zamordowali płk Zbigniewa Szendzielarza, ps. „Łupaszka”), zbrodni solidarnościowcy Władysław Frasyniuk i Bogdan Lis oraz współzałożyciel Platformy Obywatelskiej, wspierający służby komunistyczne Andrzej Olechowski i czarna wrona z założonego TK przez WRON b. prezes Jerzy Stepien, jak również powołany przez WRON prezes

Trybunału Konstytucyjnego Andrzeja Rzeplińskiego.

BANDZIORÓW WSPIERAJĄ MEDIA

Oto fragmenty antypolskiego tekstu:

„...tylekroć znajdzie się jakieś obłudne środowisko, kamaryla cynicznych i wpływowych osób, grupa moralnych przestępców czy politycznych cwaniaków, która zaczęnie nam udowodniać, że należy na to spojrzeć szerzej...”. Autor tych kalumnii skierowanych do grupy Kresowian umieszcza takie podłości w patriotycznej prasie, której redaktorzy nie wiedząc o co chodzi, bo nie znają całokształtu historii martyrologii narodu polskiego w czasie przebiegu II Wojny Światowej (6 milionów zamordowanych obywateli polskich) i przed jej rozpoczęciem w latach 1937 - 1938 w ZSRS z rozkazu Jeżowa, gdy zamordowano 150 tysięcy Polaków, wypisują takie antypolskie bzdury.

Podobnie jak Walzman (ps. Petro Poroszenko), przyjmując swoich żydowskich doradców banderowców Aarona Bucholtza (ps. Leszek Balcerowicz), a ostatnio antypolskiego bandziora Jerzego Millera, współnika tuskolandu, generalissimus Tatiany Anodiny i Wołodii Putina wspólnie i w porozumieniu autorzy kłamstwa Katyń 2010, zabójstwa Lecha Kaczyńskiego z małżonką i 94 osobami w zamachu smoleńskim . Aaron Bucholtz przed wyjazdem do Walzmana przed kamerami TVN żądał ustąpienia prezydenta Rzeczypospolitej Andrzeja Dudę i rozwiązania rządu premier Beaty Szydło.

Banderowca Arsenija Petrowyc Jaceniuka zastąpił następny żydowski banderowiec Wołodymyr Borysowyc Hrojsman, ukr. Володимир Борисович Гройсман (ur. 20 stycznia 1978 w Winnicy) – ukraiński samorządowiec i polityk, w latach 2006–2014 mer Winnicy. W 2014 wicepremier ds. polityki regionalnej w rządzie Arsenija Jaceniuka, w latach 2014–2016 przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy, od 14 kwietnia 2016 premier Ukrainy.

SPONTANICZNIE WITALI SOWIETÓW

Z różnych miejscowości na Kresach odnotowywano po latach takie same, identycznie brzmiące skargi na donosielską rolę części zbolszewizowanych, antypolskich Żydów. Oto kilka, jakże typowych, przykładów.

Władysław Hermaszewski tak opisywał dramatyczne wydarzenia, jakie nastąpiły po 17 września 1939 r. w jego rodzinnym Bereźnie (pow. Kostopol, woj. wołyńskie): „Spontanicznie witali żydowskiej zaczęli okazywać swą wrogość wobec nas, Polaków, stanowiących tu mniejszość. Wyszukiwali i wskazywali przybyłym enkawudziom funkcjonariuszy i urzędników polskich instytucji państwowych i publicznych oraz uciekinierów z zachodnich i centralnych województw, szukających tu schronienia przed Niemcami, po czym nastąpiły masowe ich aresztowania i deportacje” (por. W. Hermaszewski „Echa Wołynia”, Warszawa 1995, s. 43).

Mieszkający wówczas w Tarnopolu Czesław Blicharski wspominał: „Okupacja sowiecka Tarnopola rozpoczęła się o godz. 15.00 17 września 1939 r. (...) już tego samego dnia wieczorem rozpoczęły się masowe aresztowania przeprowadzone przy pomocy usłużnych informatorów, pochodzących z kręgów nielicznej KPZU (Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy) i biedoty żydowskiej. Od tej chwili trwał nieprzerwanie proces wyniszczania elementów polskich w mieście”. (por. C. Blicharski „Tarnopolanie na starym ojców szlaku”, Biskupiec 1994, s. 203).

Zenon Skrzykowski relacjonował: „W miasteczku Drohiczynie swoje „porządki” zaczęło robić NKWD. Znaleźli się tacy ludzie, którzy z nimi współpracowali. Wywodzili się na ogół z elementów o nie najlepszej opinii w środowisku. Byli to głównie Białorusini i Żydzi. Dużą aktywność w sprzyjaniu bolszewikom wykazała zwłaszcza biedota żydowska. Dość szybko przystosowała się do nowych warunków i zajęła pozycję wysoko uprzywilejowaną, zajmowała kierownicze stanowiska w administracji i milicji. Niektórzy Żydzi „pocieszali” nieszczęśliwych i pełnych obaw o przyszłość Polaków słowami: „Jakoś przy nas będziecie żyli” (por. Z. Skrzykowski „Przyszliśmy was oswobodzić..., drohiczyńskie wspomnienia z lat niewoli”, Warszawa 1991, s. 15).

Wacław Wierzbicki z osiedla Kuchczyce, gm. Kleck, powiat Nieśwież wspominał wydarzenia po 17 września 1939 r. w swych okolicach: „Natychmiast znaleźli się perfidni Białorusini i Żydzi, którzy wkraczającym wojskom sowieckim budowali powitalne bramy. Żydzi powkładali czerwone opaski na rękawy i stali się enkawudziami, wydając Sowietom polskich patriotów (por. Z Kresów Wschodnich RP na wygnanie. „Opowieści zesłańca 1940-1946”, Londyn 1996, s. 582).

Emisariusz Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) Aleksander Blum opisywał, jak już w drodze do Wilna dowiedział się, że tamtejszy dworzec jest niebezpieczny, bo jest silnie obstawiony przez agentów NKWD i tzw. milicję obywatelską zaimprovizowaną przez okupantów i złożoną z chuliganów i z młodzieży komunistycznej, szczególnie pochodzenia żydowskiego, uzbrojoną w karabiny i zaopatrzoną w opaski czerwone. Głównym zadaniem ich było zatrzymywa-

mówić po rusku czy ukraińsku. Na marginesie warto dodać, że jeszcze na początku lat 30. XX w. blisko połowa Rusinów na ziemiach kresowych nie przyznawała się do świadomości ukraińskiej. Dopiero pod wpływem terroru OUN stan ten z biegiem czasu się zmienił. Wielu Rusinów w 1928 r. głosowało na partie polskie (45%), a w 1930 już nawet 60%. Tak więc sprawa świadomości ukraińskiej nie jest tak oczywista, jak ją nasi wschodni sąsiedzi przedstawiają. Mniejszości narodowe zagwarantowane miały prawo używania swoich języków w urzędach.

O AKCJI „WISŁA” I PRZESIEDLENIACH

Nie mają też żadnego uzasadnienia następujące stwierdzenia: „...tragedia wołyńska nie może być rozpatrywana w oderwaniu od polskich represji wobec własnej ludności ukraińskiej, w tym operacji „Wisła”(…) No, drogi Panie, operacja „Wisła” była konsekwencją zbrodni ludobójstwa, jakiego się dopuścili Ukraińcy na Polakach. I nie była przyczyną mordów na Wołyniu czy w Małopolsce Wschodniej, ponieważ nastąpiła już po nich.

Nie pochwalam metod komunistów, masowego przesiedlania ludności, ale okoliczności, w jakich to nastąpiło, wydają się wskazywać, że było to konieczne, ponieważ właśnie w Bieszczadach zagnieździły się bandy UPA i nadal prowadziły morderczą działalność, a ludność tamtejsza je wspierała, przygotowując zaplecze dla mordów, szykując schrony, bunkry, magazyny z bronią itp. I takie myślenie nie ma nic wspólnego z „polskim szowinizmem i arogancją”. To wymogi logiki. Pisz Pan dalej, że relacje między Polakami a Ukraińcami poprawią się: „Kiedy Polacy zrezygnują z kompleksu niewinnej ofiary (…)?”. To nie jest kompleks niewinnej ofiary, Panie Bazar. To konkretny, udowodniony fakt ludobójstwa.

Proszę też nie obciążać Polaków za komunistyczne decyzje w sprawie „wypędzenia ponad 600 tysięcy etnicznych Ukraińców z ziemi ich przodków”. To nie była dobra wola Polaków. Jak czytamy w opracowaniach historycznych, „z terenów zagarniętych przez ZSRS do Polski wysiedlono około 2 mln ludzi. Z kolei do ZSRS trafiło około 500 tys. Białorusinów, Litwinów i Ukraińców”. Ale to już nie miało nic wspólnego z

ludobójstwem, jakiego się dopuściły formacje OUN i UPA.

WSPÓLNICY ZBRODNI

Zgadzam się natomiast po części z Panem, gdy Pan pisze: „(...) w krwawych akcjach wobec przedstawicieli narodów, które żyły obok nas (szczególnie Polaków i Żydów), (...) uczestniczyło wiele tysięcy Ukraińców, nienależących do żadnych jednostek wojskowych (...), stając się milczącymi współnikami zbrodni”. To prawda, miliony Ukraińców na Kresach wtedy milczało.

UKRAIŃSCY SPRAWIEDLIWI

Ale dla sprawiedliwości dodajmy, że tysiące Ukraińców pomagało Polakom. Ratowało im życie. Często płacili za to wysoką cenę. Byli tak samo mordowani przez UPA, jak Polacy. I oni zasługują na cześć. Bo wykazywali się bohaterką odwagą. I to oni zasługują na hymny pochwalne i pomniki.

STRONA ZŁA

Nie zasługują na nie dywizja SS Galizien i tacy mordercy, jak Bandera, Szuchewycz, Łebed', czy Klaczkiwskij, których Ukraina wynosi dzisiaj na cokoły. To tak, jakby Hitlerowi w Berlinie sypać w naszych czasach kopce glorii. Ukraina zapomina, że owi „bohaterowie” z OUN i UPA w najbardziej przerażający sposób odrąbali Polakom głowy, odcinali kobietom piersi, wydlubowali oczy, ściągali z ciał skórę, posypując solą, a dzieci wbijali na pal. Takich „bohaterów” Ukraina dzisiaj czci. I zakłamuje historię. Nie stawałbym w obronie takich bohaterów, Panie Bazar. Bo broniąc ich, staje Pan po stronie zła. Nie można też zapominać o eksterminacji Polaków w wyniku kolaboracji określonych kręgów żydowskich z sowietami. Opisał ją Jerzy R. Nowak w książce „PRZEMILCZANE ZBRODNIENIE” jako efekt relacji Żydzi i Polacy na Kresach w latach 1939-1941.

Książka zawiera rozdziały:

- UDZIAŁ ŻYDÓW W ANTYPOLSKIEJ DYWERSJI ZBROJNEJ;
- FETOWANIE SOWIECKICH NAJEŹDŹCÓW;
- MORDOWANIE POLAKÓW PRZEZ PROSOWIECKICH

ŻYDÓW;

- ZABÓJCZE DONOSY; PONIZANIE POLAKÓW JAKO NARODU PODBITEGO;
- PANOSZYLI SIĘ W ADMINISTRACJI;
- NADZOROWANIE APARATU PRZEMOCY;
- UDZIAŁ W OKRUTNYCH DEPORTACJACH POLAKÓW;
- ANTYPOLSKA PROPAGANDA I WALKA Z KOŚCIOŁEM;
- ŻYDOWSKA TARGOWICA INTELIGENCKA;
- SPRAWIEDLIWI WŚRÓD KRESOWYCH ŻYDÓW;
- WYBIELANIE ŻYDOWSKIEJ KOLABORACJI A PRAWDA HISTORYCZNA;
- ZDRADA CZY TYLKO „MNIJSZE ZŁO”.

Po filmie „ICH MATKI ICH OJCOWIE” było prowokacyjne wystąpienie Zygmunta Baumana.

Czy ten ciąg zdarzeń związanych z polityką historyczną manipulującą eksterminacją Polaków mają połączyć PRZEMILCZANE ZBRODNIENIE?!

Ludobójstwo, eksterminacja Polaków była wynikiem kolaboracji z okupantami tak Żydów jak i Ukraińców.

PRZEŻYCIA WŁASNE I MOJEJ RODZINY WE LWOWIE – ALEKSANDER SZUMAŃSKI

Gdy wybuchła II Wojna Światowa miałem 10 lat. Moi dziadkowie (po mieczu) mieszkali przy ul. Zamarstynowskiej 45 (tam się urodziłem) i w tym budynku prowadzili restaurację. Mój ojciec doc. Maurycy Marian Szumański był docentem medycyny – ginekologiem położnikiem – asystentem prof. Adama Solowija na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Po 17 września 1939 roku patrol sowiecki przechodzący przez ul. Zamarstynówką śmiertelnie pobił mojego dziadka. Nad ranem wykrwawiony dziadek został odnaleziony w zwalach śniegu, przy swoim budynku. Po 22 czerwca 1941 roku oglądałem podworzec otwartych już lwowskich „Brygidek”. Był to dzień lwowskiej anarchii, Niemcy jeszcze nie wkroczyli do Lwowa, a bolszewicy uciekli.

Na podworcu ścian „Brygidek” widniały ślady krwi zmieszanej z mózgiem. Bolszewicy w czasie pierwszej ucieczki ze Lwowa wymordowali część więźniów kolbami karabinowymi na pod-

worcu więziennym.

Zrobiło to na mnie przerażające wrażenie. Gdy wychodziłem z „Brygidek” spotkałem przy ul. Kazimierzowskiej naszego sąsiada z ul. Jagiellońskiej 4 gdzie mieszkaliśmy z ojcem i z matką. Był to żydowski agent NKWD o czym wiedziałem od rodziców. Spotkałem go przy bramie więziennej. Popatrzył na mnie złym wzrokiem i powiedział: „interesują cię Brygidki zamiast szkoły, ładne kwiatki”.

Tuż przed wybuchem wojny niemiecko – sowieckiej uczęszczałem do II klasy szkoły powszechnej. W czasie lekcji języka ukraińskiego przeglądałem elementar szkolny, w którym zamieszczone były m.in. podobizny Lenina i Stalina. Piórem szkolnym wydłubałem oczy Leninowi i Stalinowi. Widział to przechodzący obok mojej ławki nauczyciel, wyrwał mi z rąk ów elementarz i odniósł moim rodzicom na Jagiellońską 4 z ostrzeżeniem, iż za taki występ mogą nas wywieźć na Sybir. Niestety świadkiem tej rozmowy był nasz sąsiad Żyd enkawudzista, który później powiedział moim rodzicom, iż doniesie to władzom. Wziął od moich rodziców dużą łapówkę za zaniechanie donosicielstwa.

Widziałem przez okno naszej kamienicy tego osobnika, już po wkroczeniu Niemców do Lwowa rozlepiającego na ścianach kamienic ul. Jagiellońskiej afisze propagandy niemieckiej z napisami „Żydzi wszy”. 4 lipca 1941 roku ukraińsko – niemiecki batalion „Nachtigall” („Słowiki”) na Stoku Góry Kadeckiej - Wzgórzach Wuleckich we Lwowie wymordował 45 profesorów lwowskich wyższych uczelni, a wśród nich prof. Adama Solowija i 5-krotnego premiera rządu II RP Kazimierza Bartla.

Mój ojciec niedługo po tej zbrodni, 4 listopada 1941 został zamordowany przez gestapowców, na skutek donosu. Jak mojej mamie oświadczył niemiecki adwokat E. Schalay, prowadzący we Lwowie kancelarię adwokacką, który wziął dużą sumę za uwolnienie mojego ojca, mój ojciec doc. med. Maurycy Marian Szumański został zgłoszony na Gestapo przez naszego sąsiada z ul. Jagiellońskiej 4 we Lwowie. Moi dziadkowie (po kądzieli) i siostra mojej mamy Ludwika zostali przez Niemców zamordowani w Przemyślu.

Moje życie i fakty podane w tekście zostały opisane w „Gazecie Krakowskiej” z 12 października 2003 roku „Strofy z żoną i miastem w tle” autorstwa red. Magdy Huzarskiej – Szumiec. Pani redaktor miała duże przykrości w „Gazecie Krakowskiej” z powodu umieszczenia tego tekstu. Natomiast w grudniu 2003 roku zostałem w klubie dziennikarzy „Pod Gruszką” w Krakowie pobity przez pijanego Brunona Miecugowa z przekleństwami za treść przeprowadzonego wywiadu „Strofy z żoną i miastem w tle”, pomieszczonego w „Gazecie Krakowskiej”.

Bruno Miecugow (ojciec Grzegorza Miecugowa z TVN) krakowski pisarz, poeta, dziennikarz. Bywał klub dziennikarzy „Pod Gruszką”, w którym chętnie przesiadywali szefowie bezpieki z wawelskiego grodu. Autor licznych wierszy, fraszek, tekstów piosenek wojskowych. Jak ujawnia „Gazeta Polska”, w archiwach IPN figuruje jako tajny współpracownik SB „Lipiński”, Różyczka”, „Dziób” – materiały na jego temat zostały zniszczone w 1990 r.

Klub ten nigdy nie nosił nazwy „Pod Złotą Gruszką” jak mylnie podaje „Gazeta Polska”.

Jest to (i był) klub dziennikarzy polskich „Pod Gruszką”.

Źródła:

<http://ipn.gov.pl/kalendarium-historyczne/oddzialy-armii-czerwonej-w-oczekiwaniu-na-rozpociecie-defilady-w-bialymstoku-wr>

Ben-Cion Pinchuk Shtetl Jews under Soviet Rule. Eastern Poland on the Eve of the Holocaust, Cambridge, Mass, 1991, s. 35). “Polska Wschodnia w przededniu Holokaustu (Towarzystwo Kultury Żydowskiej)”.

C. Galaman Do Not Go Gentle: „A Memoir of Jewish Resistance in Poland, 1941-1945”, cyt. przez M. Paula w: „The Story...”, op.cit., cz. 2, s. 208).

- Hannah Arendt “Eichmann w Jerozolimie”
- Emanuel Ringelblum “Kronika getta warszawskiego”

“Przemilczane zbrodnie na Polakach” <http://www.bibula.com/?p=29026>

<http://nowa.gazetaobywatelska.info/>



FUNDACJA DLA POLONII
www.witajciewdomu.pl; www.fundacjadlapolonii.pl
ul. Wałuszewska 48,
03-005 Warszawa KRS: 0000423252

Wsparcie dla Liceum Polonijnego
Nr konta: 86 1240 6175 1111 0010 4598 7860



Niewygodna prawda

Bohdan Piętka

Świętowanie 27 kwietnia rocznicy powstania 14. Dywizji Grenadierów Waffen-SS „Galizien” („Hałczyzna”) jest już na Ukrainie od wielu lat nową świecą tradycją. Nie inaczej było w tym roku. Najbardziej hucznie świętowano oczywiście na zachodzie Ukrainy. We Lwowie odbył się „Marsz wielkości ducha”, zwany też „marszem wyszywanek” (tradycyjnych koszul ludowych) [1]. Natomiast w Iwano-Frankiwsku (Stanisławów) miał miejsce typowo nazistowski pochód z płonącymi pochodniami. Licznie uczestniczyli w nim członkowie Cywilnego Korpusu „Azow”, powiązanego ze zbrodniczym pułkiem ochotniczym „Azow” – taką współczesną dywizją SS-Galizien[2]. Co miały w tej sprawie do powiedzenia polskie media głównego nurtu? Nic. Nazyfikacja pomajdanowej Ukrainy jest faktem niewygodnym, więc się go w polskich mediach mainstreamowych nie zauważa.

Wiodące media do dzisiaj nie zauważyły, że dowódcą formacji „Azow” jest od 17 listopada 2014 roku Andrij Jewhenyłowycz Biłocki – kryminalista i lider neonazistowskiego Zgromadzenia Socjal-Narodowego oraz jego paramilitarnego ramienia Patriota Ukrainy (obie organizacje wchodzi w skład Prawego Sektora) [3]. Jest to kolejna niewygodna prawda, o której oficjalnie się nie mówi. Zwłaszcza, że do neobanderowskich formacji typu pułk „Azow” wielokrotnie pielgrzymowali politycy obecnej partii rządzącej oraz dziennikarze „niezależnych” i „patriotycznych” mediów. Zamiast informacji na temat rzeczywistego charakteru takich formacji opinia publiczna w Polsce otrzymuje opowieści będące ich mniej lub bardziej otwartą gloryfikacją. Przykładem takiego przekazu informacyjnego jest chociażby artykuł „Pułk Azow – tarcza i miecz Mariupola”, autorstwa Marcina Gawędy, który przedstawia się jako absolwent UJ i publicysta wojskowy. Z tekstu tego dowiadujemy się szczegółowo o uzbrojeniu, jakim dysponuje „Azow”. Niestety autor już nie wyjaśnia skąd zbankrutowana Ukraina ma środki na takie uzbrojenie. Kto to finansuje? „Pułk Azow – pisze pan Gawęda – jako jednostka ochotnicza cechuje się wysokim morale. Ochotnicy braki w wyszkoleniu nadrabiają dobrym duchem bojowym, starają się także wdrażać taktyczne elementy podstawowego wyszkolenia wojskowego”[4].

Na temat „wysokiego morale” pułku „Azow” czegoś wię-

cej możemy się dowiedzieć z zamieszczonego na You Tube filmu, który pokazuje jak członkowie tej formacji ukrzyżowali jeńca z Donbasu, a następnie podpalił go[5]. Zbrodnie popełniane przez neobanderowskie formacje ochotnicze są tematem tabu w polskich mediach. Od początku rewolty na Majdanie polska opinia publiczna jest regularnie dezinformowana. Ukrywa się przed nią to, co stanowi niewygodną prawdę. Przede wszystkim banderowskie oblicze Majdanu i zbrodniczy charakter naobanderowskich formacji zbrojnych. Prawie nie informuje się w polskich mediach o systematycznym łamaniu rozejmu mińskiego przez stronę ukraińską oraz o tym, że w Donbasie wciąż giną ludzie, zabijani w wyniku ostrzału prowadzonego przez siły ukraińskie.

Najbardziej jednak niewygodną prawdą dla polskich mediów jest to, że Majdan był najzwyczajszą „kolorową rewolucją”. Fakt ten zakłamuje się i ukrywa przed opinią publiczną najbardziej.

Majdan jako „kolorowa rewolucja”

Mechanizm „tradycyjnych” przewrotów politycznych, o których wiemy z historii, jest na ogół dobrze znany. Były to przeważnie gwałtowne zmiany istniejącej władzy lub niekiedy także ustroju społecznego. Na początku XXI wieku pojawił się nowy typ przewrotu politycznego, zwany „kolorową rewolucją”. Do pierwszych takich przewrotów doszło w Gruzji („rewolucja róż” w listopadzie 2003 roku) oraz na Ukrainie („pomarańczowa rewolucja” w listopadzie 2004 roku).

„Kolorowa rewolucja” charakteryzuje się tym, że jest kreowana z zewnątrz, przeważnie nie dąży do ustanowienia nowego ustroju społecznego, nie posiada spójnej ideologii, nie głosi żadnego pozytywnego programu społeczno-gospodarczego, a swe prawdziwe cele ukrywa pod hasłami walki o demokrację i prawa człowieka oraz budowy społeczeństwa obywatelskiego. Faktyczną władzę nad realizacją przewrotu sprawuje wąska grupa aktywistów, działająca na podstawie „zamówienia politycznego” i będąca rzeczywistymi beneficjentami „kolorowej rewolucji”. Do wywołania takiego przewrotu wykorzystuje się naturalne konflikty społeczno-polityczne, istniejące w każdym kraju, jednak są one tylko narzędziem do osiągnięcia w sposób bezwzględny i cyniczny celów, które nie mają

nic wspólnego z deklarowanymi hasłami.

Rolę takiego narzędzia spełniają również niejednokrotnie skrajne siły polityczne, będące w opozycji do aktualnej władzy. Podczas „kolorowych rewolucji” na Ukrainie w 2004 i 2014 roku tą skrajną siłą polityczną, wykorzystaną do przeprowadzenia przewrotu, byli polityczni epigoni tzw. integralnego nacjonalizmu ukraińskiego. Wynikało to najprawdopodobniej stąd, że formacja neobanderowska jako jedyna spośród sił opozycyjnych na Ukrainie dysponowała sprawnymi i dobrze zorganizowanymi strukturami, w tym także terenowymi. Nie bez znaczenia było również to, że od zakończenia drugiej wojny światowej w Kanadzie i USA funkcjonowała silna emigracja postbanderowska, która nigdy nie odmawiała Zachodowi wsparcia o charakterze wywiadowczym i politycznym.

Inspirowani z zewnątrz organizatorzy „kolorowych rewolucji” z reguły nigdy nie reprezentują interesu narodowego, a przeważnie zawsze interesy ośrodków zagranicznych i zainstalowanej wewnątrz danego państwa „elity”. Wsparcie zagraniczne udzielane „kolorowym rewolucjom” ma zawsze swoją cenę i jest nią pełne podporządkowanie polityczne oraz gospodarcze danego kraju przewrót organizował. Wobec takiego państwa zostają wdrożone mechanizmy rozwoju zależnego i zarządu zewnętrznego. Jest to możliwe dzięki temu, że społeczeństwo w nowej rzeczywistości znajduje się w szoku i nie po-

trafi skutecznie bronić ani majątku narodowego ani praw pracowniczych i socjalnych. „Kolorowe rewolucje” – zwłaszcza te, które określono mianem „arabskiej wiosny” – są typowym przejawem współczesnej polityki neokolonialnej, uprawianej przez USA, Wielką Brytanię i Francję w interesie wielkich korporacji międzynarodowych[6].

Mechanizm „kolorowych rewolucji” można podzielić na cztery etapy. W pierwszym tworzy się warunki do społecznych protestów i wystąpień. Mogą mieć one różne podłoże społeczno-polityczne i ekonomiczne. Najczęściej wykorzystuje się w tym celu faktyczne lub urojone dążenia władzy do stworzenia systemu rządów autorytarnych. Często używanym detonatorem protestów społecznych są zarzuty sfalszowania wyborów i łamania demokracji. Władzę stawia się w sytuacji, w której to ona musi udowodnić, że nie łamie demokracji i nie dąży do autorytaryzmu. Napięcie społeczne jest budowane nie wokół określonego programu, ale wokół ogólnikowych haseł i emocji, przy czym ruch protestu kreuje się z pozycji „wyższości moralnej”.

W drugim etapie „kolorowej rewolucji” następuje ujawnienie formalnych przywódców. Angażowane są w jej poparcie „autorytety moralne” w kraju i za granicą, aktorzy, sportowcy i wszelkiego rodzaju celebryci. Wykorzystuje się różne siły polityczne, w tym najbardziej skrajne. Celem takiego działania jest eskalacja rewolty, by wymusić na władzy określone ustępstwa,

które będą przedstawiane jako dowód jej słabości i przyznania się do winy. Kreatorzy rewolty dążą do takiej eskalacji napięcia i wzajemnej agresji, że porozumienie stron nie jest już możliwe. Władza zostaje postawiona w sytuacji bez wyjścia: jeżeli ustąpi – skompromituje się w oczach nawet swoich zwolenników, jeżeli nie ustąpi – zostanie przedstawiona w kraju i za granicą jako opresyjny i antyspołeczny „reżim”.

Etap trzeci to otwarta konfrontacja i próba sił, mająca niejednokrotnie krwawy przebieg. Bardzo istotne na tym etapie jest przechwycenie przez kierownictwo rewolty kontroli nad resortami siłowymi. Niejednokrotnie dochodzi do przekupywania prominentnych funkcjonariuszy tych resortów i polityków dotychczasowej władzy. Jeśli to się nie uda ma miejsce eskalacja działań, która zwykle kończy się walkami zbrojnymi. Często kierownictwo rewolty ucieka się do prowokacji i morderstw, w tym własnych ludzi, co miało miejsce m.in. podczas „rewolucji godności” w Kijowie. Jednocześnie opinia publiczna, zszokowana rozwojem wydarzeń, domaga się zakończenia przemocy. Wtedy powstaje sytuacja, w której już można doprowadzić do ustąpienia dotychczasowej władzy.

Czwarty etap „kolorowej rewolucji” – w wypadku jej zwycięstwa – oznacza przechwycenie władzy przez „rewolucjonistów”. Ujawnione zostają wtedy rzeczywiste powody przewrotu, jak np. nieograniczona penetracja danego kraju przez obcy kapitał,



powszechna prywatyzacja strategicznych gałęzi gospodarki itp. Dokonuje się to oczywiście pod ogólnikowymi hasłami „demokratyzacji”, „reform”, czy „integracji europejskiej” – jak w przypadku „rewolucji godności”. Siły zewnętrzne, które sfinansowały i wsparły „kolorową rewolucję” wystawiają podbitemu państwu swój rachunek. Nad jego uregulowaniem czuwa marionetkowy rząd, który jest słaby, uzależniony od ośrodków zewnętrznych i szybko traci poparcie społeczne. Jego przedstawiciele w pierwszej kolejności stają się beneficjentami powszechnej korupcji oraz „reform”, polegających na grabieży majątku narodowego. Jeżeli próba sił pomiędzy dotychczasową władzą a „rewolucjonistami” nie doprowadzi do jej szybkiego ustąpienia, „kolorowa rewolucja” zwykle przeradza się w krwawą i długoletnią wojnę domową. Widać to doskonale na przykładzie trwającej od 2011 roku wojny w Syrii[7].

Z tym wszystkim mieliśmy do czynienia również w wypadku „rewolucji godności” na Ukrainie. Doszedł tam jeszcze kolejny, dotąd szerzej nieznan element – tj. bezpośrednie i jawne wsparcie polityczne z zewnątrz. Na kijowski Majdan – by podburzać tłumy do obalenia legalnej władzy – pielgrzymowali czołowi funkcjonariusze Unii Europejskiej, wielu polityków zachodnioeuropejskich i amerykańskich oraz pierwszy garnitur polityków polskich z PO i PiS.

Państwo pod zarządem zewnętrznym

Nazyfikacja Ukrainy nie jest wcale najbardziej brzemienne w skutkach rezultatem Majdanu. Do takich należą oligarchizacja oraz bezpośrednio poddanie Ukrainy zarządowi zewnętrznemu. Rewolta kijowska wyniosła do władzy oligarchów, z których najważniejsi – Poroszenko i Kolołomojski – podzielili się władzą i strefami wpływów. Były minister spraw wewnętrznych Ukrainy, Witalij Zacharczenko, stwierdził że „szereg ukraińskich oligarchów planowało przejęcie władzy w państwie i właśnie w tym celu w kontrolowanych przez nich mediach w 2013 roku prowadzono aktywną propagandę konieczności podpisania umowy o stowarzyszeniu Ukrainy z Unią Europejską”[8]. Oligarchowie stali się beneficjentami przewrotu, ale faktyczna władza znalazła się w rękach sił zewnętrznych, na których zamówienie przewrotu dokonano.

Ekspozyturą tych sił stał się rząd Jaceniuka, a zwłaszcza jego drugi skład powołany 2 grudnia 2014 roku. Kluczowe resorty społeczno-gospodarcze objęli wówczas ludzie przysłani z zagranicy: Aivaras Abromavičius (ministerstwo gospodarki i han-

dlu), Natalie Ann Jaresko (ministerstwo finansów), Aleksandr Kwitaszwili (ministerstwo zdrowia) lub silnie związani z międzynarodowymi korporacjami: Arsen Awakow (ministerstwo spraw wewnętrznych), Ołeksij Pawłenko (ministerstwo polityki rolnej), Andrij Pywowarski (ministerstwo infrastruktury) i sam premier Arsenij Jaceniuk.

Ten międzynarodowy zespół uzupełnił na stanowisku gubernatora Odessy były prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili – ścigany przez gruzińską prokuraturę międzynarodowym listem gończym za przywłaszczenie środków budżetowych i pozbawiony w związku z tym gruzińskiego obywatelstwa.

Wiodące polskie media nigdy szerzej nie informowały opinii publicznej o tym jaki charakter miała „reformatorska” działalność rządu Jaceniuka i jak to się stało, że od jesieni ubiegłego roku próbowano go kilkakrotnie odwołać. Opinii publicznej w Polsce nigdy uczciwie nie poinformowano o tym, że pod administracją rządu Jaceniuka Ukraina znalazła się w stanie bankructwa i dlatego do tego doszło. Zamiast tego karmiono opinię publiczną różnymi banaliami i zachwytaami nad władzami pomajdanowej Ukrainy.

Dopiero po odwołaniu rządu Jaceniuka onet.pl napisał: „Nowy rząd Ukrainy nie będzie tolerował korupcji i uczyni wszystko dla stabilizacji i rozwoju państwa – oświadczył w parlamencie w Kijowie Wołodimir Hrojsman, kandydat na szefa rządu”[9]. Korupcja na Ukrainie? A skąd się wzięła? Przecież podobno budowano tam demokrację i nowoczesną gospodarkę.

Opinia publiczna w Polsce nie dowiedziała się również o okolicznościach odwołania gabinetu Jaceniuka, czyli o związku przyczynowo-skutkowym pomiędzy jego dymisją a serią wizyt w Kijowie przedstawicieli amerykańskich władz, w tym asystentki Departamentu Stanu USA Victorii Nuland. Ulubieniec polskich mediów Arsenij Jaceniuk nagle tak po prostu zniknął, niczym narkom Jeżow po swojej egzekucji ze znanego zdjęcia ze Stalinem, i nikt nad Wisłą tego nawet nie skomentował.

Niestety nie ma szans, by dowiedzieć się z polskich mediów czegoś więcej na temat nowego premiera Ukrainy, zaprzysiężonego 14 kwietnia br. Nikomu w tych mediach nie przyszłoby do głowy podać, że nowy premier ma żydowskie pochodzenie. Informowanie o takiej sprawie uważa się w zjednoczonej i demokratycznej Europie za jakichś dziwnych powodów za niedopuszczalne. O wiele jednak ciekawsze byłoby, gdyby demokratyczne media raczyły wyjaśnić jak to się stało,



że Wołodimir Hrojsman będąc z zawodu ślusarzem przez wiele lat zajmował stanowiska dyrektorskie w dwóch przedsiębiorstwach handlowych w Winnicy, a następnie był sekretarzem rady miejskiej i merem Winnicy, by wreszcie w wieku 36 lat awansować na przewodniczącego parlamentu i na koniec szefa rządu. Kto stał za tą iście napoleońską karierą winnickiego ślusarza? W języku środowisk kryminalnych tego typu osobą zajmującą takie stanowiska nazywa się „słupem”.

Hrojsman jest człowiekiem Poroszenki i wcale tego nie ukrywa. Większość ministrów jego gabinetu to ludzie młodzi, także powiązani z Poroszenką lub międzynarodowymi korporacjami. Np. minister finansów Ołeksandr Danyluk był w przeszłości pracownikiem amerykańskiej firmy konsultingowej McKinsey&Company, zarządzał funduszem inwestycyjnym oraz pełnił funkcję dyrektora tzw. organizacji pozarządowej, przygotowującej liberalizację i prywatyzację ukraińskiej gospodarki.

Nie brakuje też w nowym rządzie banderowców. Należy do nich m.in. aktor Jewhen Nyszczuk (minister kultury) – znany z roli w propagandowym filmie „Zaluzna sotnia” (2004), gloryfikującym Ukraińską Powstańczą Armię i zakłamującym jej historię.

Utworzenie rządu Hrojsmana wieńczy proces przekształcania Ukrainy w państwo pod zarządem zewnętrznym. Rząd ten stawia sobie za cel zintensyfikowanie neoliberalnych „reform”, czyli przekazanie ukraińskiej gospodarki w ręce miejscowej oligarchii i międzynarodowych korporacji, co było rzeczywistym celem „rewolucji godności” z 2014 roku. Działalność rządu Hrojsmana na tym polu będzie bezpośrednio nadzorował Leszek Balcerowicz. Początkowo to Balcerowicz, a nie Hrojsman był typowany na stanowisko premiera[10]. Ze względów taktycznych zdecydowano jednak, że były polski wicepremier będzie kierował rządem Ukrainy z tylnego siedzenia jako dorad-

ca prezydenta Poroszenki i jego osobisty przedstawiciel przy premierze Hrojsmanie[11]. Wraz z byłym wicepremierem Słowacji Iwanem Mikloszem będzie też kierował zespołem międzynarodowych doradców[12]. Balcerowicz zabrał się do pracy ostro. Jeszcze przed przybyciem do Kijowa zapowiedział „restrukturyzację i prywatyzację” firm państwowych, czyli ich likwidację i przekazanie w ręce ukraińskiej i międzynarodowej oligarchii[13].

Aplikowane Ukrainie „reformy” są jeszcze bardziej drastyczne niż terapia szokowa Balcerowicza w Polsce sprzed 25 lat, o czym świadczą m.in. ciągle podwyżki cen nośników energii w tym kraju i ogromna pauperyzacja tamtejszego społeczeństwa. To lepiej nam wyjaśnia dlaczego podczas przewrotu na Majdanie posłużono się neobanderowcami i dlatego odgrywają oni tak ważną rolę w tamtejszych strukturach siłowych oraz czemu ma służyć państwowa gloryfikacja OUN-UPA. Jest to konieczne dla pacyfikacji oporu społeczeństwa w obliczu trwającej od 2014 roku terapii szokowej. To nie domniemany imperializm Rosji, ale właśnie opór społeczny wobec przewrotu kijowskiego i terapii szokowej doprowadził do secesji Krymu i Donbasu oraz krwawych wydarzeń w Odessie 2 maja 2014 roku. W drugą rocznicę tej tragedii do Odessy skierowano celem pacyfikacji ewentualnych protestów właśnie neobanderowski pułk „Azow”[14]. Ukraińska i międzynarodowa oligarchia doszły do wniosku, że w zdobyciu i utrzymaniu władzy na Ukrainie oraz pacyfikacji oporu społecznego wobec „reform” nie pomoże im lepiej nikt inny niż banderowcy i neonaziści. Dlatego wyciągnięto ich z niebytu. Po raz pierwszy podczas „pomarańczowej rewolucji” w 2004 roku.

[1] Marsz na cześć SS-Galizien we Lwowie, www.kresy.pl, 29.04.2016.

[2] Ukraińscy nacjonaliści uczcili zbrodniarzy z SS-Galizien, www.kresy.pl, 29.04.2016.

[3] Standardy NATO w pułku Azow? W Kijowie ruszyła pierwsza „NAT-owska” szkoła sierżantów, www.kresy24.pl, 18.04.2016.

[4] M. Gawęda, Pułk Azow – tarcza i miecz Mariupola, www.defence24.pl, 25.02.2015.

[5] Rezuny z banderowskiego batalionu Azow ukrzyżowali powstańca i podpalili go, www.youtube.com, 25.04.2015.

[6] B. Piętka, Rekolonizacja Libii i Syrii, „Polityka Polska” nr 7, Warszawa 2015, s. 69-82; P. Henzel, Nieznane kulisy wojny w Libii. W USA ujawniono poufne wiadomości, www.wiadomosci.onet.pl, 18.01.2016; Od pięciu lat propaganda medialna karmi nas kłamstwami w sprawie Syrii, www.mediumpubliczne.pl, 13.10.2015.

[7] R. Starosielec, Mechanizmy i istota „kolorowych rewolucji”, „Polityka Polska” nr 2 (10), Warszawa 2016, s. 75-78.

[8] Były szef MSW Ukrainy: w 2013 roku oligarchowie planowali zdobycie władzy, www.pl.sputniknews.com, 22.11.2015.

[9] Ukraina ma nowego premiera, www.wiadomosci.onet.pl, 14.04.2016.

[10] „Ukraińska Prawda”: Leszek Balcerowicz może zostać premierem Ukrainy, www.wiadomosci.onet.pl, 7.03.2016.

[11] Nie tylko Balcerowicz. Jak obcokrajowcy doradzają Ukrainie, www.polskieradio.pl, 28.04.2016.

[12] Leszek Balcerowicz doradcą rządu Ukrainy ds. reform, www.polskieradio.pl, 22.04.2016.

[13] Leszek Balcerowicz w rządzie Ukrainy: potrzebny program restrukturyzacji firm państwowych, www.polskieradio.pl, 25.04.2016.

[14] Pułk Azow zabezpieczy Odessę w majowe święta, www.kresy.pl, 29.04.2016.

Moje Kresy – Zbigniew Grata cz.2

Jest tylko jedno lekarstwo na duże kłopoty - mała radości - Kart Heinrich Waggerl

Eugeniusz Szewczuk

Moje kłopoty zaczęły się w momencie powstania w Brodach Arbeitsamtu (biura pracy). Niemcy zaczęli takich jak ja wywozić na przymusowe roboty do Rzeszy. Dzięki mamie i jej znajomym ciągle mi się udawało wywinąć. Dwukrotnie nas ostrzeżono, że jestem na liście do wywiezienia i dwukrotnie uciekłem do mojej ciotki i babci mieszkających w okolicy Rzeszowa. Cóż było robić?

U babci pasłem krowy i nie zapomniałem o nauce. Od miejscowego księdza dostałem powieść H. Sienkiewicza. W jednej ręce sznur i krowa, a w drugiej „Krzyżacy”. Tato w Brodach dalej pracował na kolei, kolejarz Niemcom też był potrzebny. Po bitwie stalingradzkiej w listopadzie 1942 roku. Niemcy zaczęli cofać się ze wschodu.

Do Brodów zaczął zbliżać się front. Mieliliśmy wtedy możliwość opuszczenia Brodów, otrzymując do dyspozycji jako „rodzina kolejarska” cały wagon. Rodzice jednak nie skorzystali z tego. Wierzyli, że wszystko się unormuje i pozostaną na swoim. Nie chcieli iść powtórnie tułaczkę, bo i dokąd? Podjęli decyzję zostajemy. Zostaliśmy jednak na krótko. Przed Wielkanocą 1944 roku. Rosjanie wzięli Brody w kocioł. Niemcy niespodziewanie kazali ludności cywilnej opuścić domy w trybie natychmiastowym. Pogнали nas jak bydło poza miasto w kierunku wsi Gaje. Zabraliśmy ze sobą niewiele, ciepłą odzież, pierzyny, koce i poduszki. Mama

kazała nakładać na siebie co się tylko dało, bo tylko tyle wolno nam było zabrać. W czasie tego „przemarszu”, gdy byliśmy już na skraju wsi, z lasu wyjechali konno z pepeszami, ruscy partyzanci. Zaczęła się strzelanina. W ogniu kul nasza rodzina została rozdzielona. Ja z mamą i młodszą siostrą trafiliśmy do przypadkowego, niewykończonego domu. Umieszczono nas w pomieszczeniu w którym nie było jeszcze okien. Otwory okienne zabite deskami, a na podłodze leżała słoma. Brat Broniek i siostra Maria zaczęły pracować w niemieckiej polowej kuchni i tam zamieszkali. Dzięki nim mieliśmy dowożoną ciepłą zupę i gotowane w mundurkach ziemniaki. Nie pamiętam jak długo przebywałem w tych warunkach o chłodzie i głodzie. Przez szpary w oknach przedostawał się do wewnątrz śnieg i chłód. Wszyscy spali w ubraniach, tak jak chodzili dniem, a nawet w butach, zabranymi z domu pieprzynami i czym się tylko dało. Od czasu do czasu nad naszymi głowami przelatowały pociski katiuszy i niemieckiej artylerii. W drugi dzień Świąt Wielkanocnych, 10 kwietnia 1944 roku, Niemcy zaczęli wyganiać ludność z tej wioski z zamiarem pędzenia do obozu w Brodach. Nam wcześniej udało się wrócić do naszego domu. Gdy pędzony tłum wszedł na gościniec i był już przy naszym ówczesnym domu u państwa Kopystyńskich, zaczął się atak sowieckiej artylerii. Opoдал na kominie cegielni mieli swój punkt obserwacyjny. Tłum potraktowali widocznie

jak przemieszczające się wojsko niemieckie i wszczęli ostrzał. Zginął wówczas nasz kolega Zbyszek Gierulski. W walkach obronnych wzięta w pierścień okrażenia, walczyła 14 Galicyjska Dywizja Waffen SS złożona z Ukraińców, znana jako SS Galizien. Z rozbitej później w kotle brodzkim dywizji, pojedynczy ukraińscy żołnierze przedostawali się do UPA i brali udział w mordach ludności na Wołyniu i Podolu. Ugrupowana dywizja znalazła się na osi radzieckiego uderzenia, jakie zaczęło się 11 lipca 1944 roku. We wtorek 18 lipca na tyłach dywizji na północ od Buska pojawiły się sowieckie czołgi. Znaczyło to, że dywizja znalazła się w okrążeniu. W jednostce pozostawało jeszcze 7000 żołnierzy. W nocy 29 pułk przestał istnieć jako siła bojowa. Sztab i resztki składu osobowego pułku zajęły obronę koło Podhorców. O zaciętości walk świadczy fakt, że z 275 żołnierzy kompanii sztabowej spod Brodów wróciło tylko siedmiu

Udało się nam uniknąć obozu w Brodach. Naszej rodzinie udało się wcześniej wrócić do domu, ale Niemcy domagali się natychmiastowego jego opuszczenia i dołączenia do pędzonych do obozu. Dzięki temu, że u nas stacjonował sztab niemiecki i na usilne prośby siostry Marylki i brata Edwarda - „dobry Niemiec” von Ritter, szef sztabu wybronił nas i pozostaliśmy u siebie. Niemiecki front rozsypywał się. Dowództwo XII Korpusu przygotowywało się do przerwania okrążenia. Przerwanie zostało wyznaczone na 20 lipca 1944 roku na godz. 3.30. Niestety zanim na dobre rozpoczęły uderzenie, zostali zaatakowani przez bombowce oznaczone czerwonymi gwiazdami. Jedyna bateria przeciwlotnicza, zanim została zniszczona, zestrzeliła bądź uszkodziła 25 sowieckich samolotów.

Po południu natarcie niemieckie zaczęło się załamywać. Na północ od Sasowa zginął niemal cały sztab 231 pułku. Pułk cofał się na Biały Kamień. Pozostałości artylerii dywizyjnej ostrzeliwały skrzyżowanie dróg i podejścia do Oleska i Podhorców, zapewniając pułkowi możliwość wycofania się. Wspomniany już von Ritter, gdy tylko Niemcy przerwali radzieckie okrążenie, zorganizował nam transport samochodem ciężarowym przez Olesko do Złoczowa, gdzie był szpital wojskowy. Niemcy wywozili bowiem z Brodów swoich rannych żołnierzy. W naszym



/ 1951r. na poligonie wojskowym

samochodzie nie było rannych, lecz jakiś ładunek. Pamiętam, leżałem z siostrą i braćmi placikiem pod plandeką i widziałem jak szosa którą jechaliśmy była pokryta trupami.

Ze Złoczowa cudem dotarliśmy do Lwowa. Niezapowiedziani zatrzymaliśmy się we Lwowie w mieszkaniu, w którym przed wojną mieszkał mamy brat - wujek Franek Skała. Przyjęto nas i nakarmiono. Domyci wyjechaliśmy „krowiakem” w stronę Rzeszowa. Dotarliśmy do Staroniowy, do wujka Franciszka, gdzie spotkaliśmy się z tatą. Cóż to była za radość! Jak się okaza-

ło, rodzice umówili się, że gdyby front nas rozdzielił, a byli świadomi, że coś takiego może się wydarzyć – spotkają się właśnie w Staroniowy. Mieszkaliśmy tam bardzo krótko w sześć osób w domu babci Markowskiej – mamy wujenki Skałowej i babci Jadzi, naszego Franka. Ze Staroniowy przenieśliśmy się na Górkę Zacherską, gdzie zamieszkaliśmy w „chałupce” w jednym z dwóch najstarszych domów we wsi (najstarszy był rodziny Szarych), u ciotki taty – Ślusarzówny, zwanej we wsi „ciotka z wielkim kluczem”, bo pod zapaśką (fartuchem) nosiła uwiązany klucz od swego domu.



/ 2 czerwca 1949r. pierwsi maturzyści L. O. w Niemodlinie.



/ 1951r. z żoną Ireną Platz



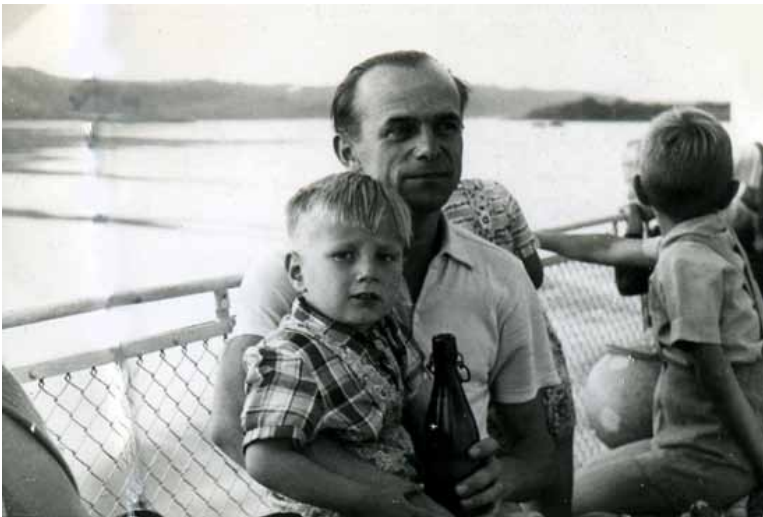
/ 1952r. na poligonie wojskowym

Tak więc rodzice w ciągu 19 lat wrócili tam skąd wyszli, nie mając nic, prawie goli i bosy. Dzięki Bogu z kompletną rodziną, gdyż wkrótce z Brodów dojechali do nas Marylka z Bronkiem. Tutaj w Górcie Zacherskiej w 1944 roku zastało nas wyzwolenie. Jednego dnia byli Niemcy, a drugiego już żołdacy Armii Czerwonej. W czasie wakacji w 1945 roku przeprowadziliśmy się do Staromieścia. Zamieszkaliśmy u państwa Brydaków, tym razem sześć osób w jednej izbie i na strychu. Najstarszy z braci Edek i Marylka dostali nakaz pracy i wyjechali do nieznanego nam Niemodlina na Ziemiach Odzyskanych. Edek chciał abym od nowego roku szkolnego 1946/47 rozpoczął naukę w powstającym w Niemodlinie gimnazjum. Nauka odbywała się w niemodlińskim zamku i uczyłem do szkoły handlowej, gdyż miałem smykałkę do handlu i dobrze się zawsze uczyłem. W ciągu 3 lat zaliczyłem 3 klasy gimnazjum i 2 klasy liceum. 2 czerwca 1949 roku znalazłem się w grupie 12 pierwszych maturzystów Liceum Ogólnokształcącego w Niemodlinie.

Były to pierwsze matury na Ziemiach Zachodnich. Kiedy rodzzeństwo postarało się o większe mieszkanie w Niemodlinie – pół domu, ściągnęli natychmiast do

dostałem powołanie do odbycia służby wojskowej. Jako podchorąży skierowany zostałem do Szkolnej Baterii Oficerów Rezerwy (SBORA) w Inowrocławiu. Tam w okresie szkolenia od maja 1950 roku przebywałem na wojskowym poligonie, a po nim cała szkoła trafiła do garnizonu w Grudziądzu. Na zakończenie służby zostałem awansowany do stopnia chorążego i odesłany do cywila. Nie na długo. Moi bracia też służyli w wojsku. Był taki okres, że nasi rodzice mieli trzech synów w wojsku – Bronka, Zbyszka i młodszego Franka. W Grudziądzu poznałem swoją przyszłą żonę Irenę. Od jesieni 1950 roku pracowałem w Opolu w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych, wyceniając budynki gospodarskie w ramach obowiązkowego ubezpieczenia. Pomyślnie zdałem egzamin wstępny i zostałem przyjęty do Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Z dziwnych dla siebie obecnie powodów, poprosiłem uczelnię o roczny urlop dziekański i takowy otrzymałem. Wykorzystały to automatycznie władze wojskowe, a były to czasy stalinowskie w powojennej Polsce Ludowej.

Momentalnie dostałem następne powołanie do czynnej służby oficerskiej LWP. Stawiłem się do



miasta rodziców. W międzyczasie z wojska powrócił brat Broniek i znów byliśmy w komplecie. W Niemodlinie mieszkaliśmy do 1950 roku, ale kiedy tato otrzymał kolejarskie mieszkanie służbowe na ulicy T. Kościuszki w Opolu, wszyscy zamieszkali właśnie tam. Tuż po maturze

/ 1954r. z synami Ryszardem i Markiem na statku wycieczkowym po Wiśle.

Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy i w ten oto sposób jeszcze w 1951 roku znalazłem się w Grudziądzu, jako dowódca plutonu ogniowego (artyleria – haubice 125 mm). W niedługim czasie zostałem mianowany dowódcą baterii. W późniejszym okresie dowiedziałem

się, że byłem zbyt sklerikalizowany, by kontynuować studia w Szczecinie i dlatego zostałem powtórnie powołany do wojska. W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia 1951 roku zawarłem związek małżeński z Ireną Platz. Przysięgę małżeńską składałem w wojskowym mundurze. Była to z mojej strony jawna prowokacja, gdyż przez cały okres służby wojskowej byłem szykanowany z powodów religijnych. W międzyczasie urodziło się nam 2 synów – Ryszard i Marek. W wojsku zostałem awansowany do stopnia kapitana. W 1955 roku zostałem zwolniony do rezerwy z przyczyn organizacyjnych. Po wojsku z takimi papierami, długo nie mogłem znaleźć pracy. Cierpiała na tym przede wszystkim jego rodzina. Pracuje kolejno w Grudziądzkiej Odlewni Emalierni, Centrali Technicznej Gdańskie Biuro Sprzedaży w Gdańsku - Oliwie, a od 1960 roku w porcie Gdynia jako ekspedient. W 1960 w Gdyni przychodzi na świat trzeci syn Zbigniewa i Ireny – Arkadiusz. Powtórnie wraca na Opolszczyznę. W 1961 roku pracuje w PTTK w Otmuchowie i Głogówku. Zalicza też krótki epizod pracując w Turawie nad Jeziorem Turawskim. Po rozwodzie z Ireną w 1970 roku powtórnie zawiera związek małżeński z Danutą Kopera. Uroczystość odbywa się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Brzegu. Rozpoczyna pracę w Wojewódzkim Zarządzie Kin w Opolu. Przez krótki okres pełni funkcję kierownika kina „Słońce” w Brzegu. Otrzymuje posadę kierownika kina „Wrzos” w Lewinie Brzeskim. 23 listopada 1978 roku tragicznie umiera żona Danuta. Rodzinny dramat nie pozostaje bez wpływu na dalsze losy Zbigniewa. W Lewinie Brzeskim mieszka do roku 1980. Żeni się po raz trzeci. 23.08.1980 roku zawiera związek małżeński



/ 1970r. ślub cywilny z żoną Danutą USC Brzeg



z rodowitą lwowianką, Ireną Legierską zd. Malinowska (zmarła w 2007r.). Pracuje jako inspektor BHP w PSS „Społem” w Brzegu ul. Marchlewskiego (obecna A. Krajowej). Na emeryturę przechodzi w 1982 roku. Rodziny z domów Gratów rozproszyły się po różnych miastach i mieszkają w Opolu, Brzegu, Gliwicach, Warszawie, Katowicach i Brukseli. Zbigniew Grata wychował 3 synów (dwóch już nie żyje). Doczekał się 3 wnuków i 3 prawnuków. Był radnym Rady Miejskiej w Brzegu kadencji 1990-94. W latach 1990-2000 pełnił funkcję Prezesa Towarzy-

stwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich, Oddział w Brzegu. Wybrany przez Zarząd Towarzystwa w Brzegu Prezesem Honorowym. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (1998r.) i Złotą Odznaką TML i KPW. W materiale wykorzystano wspomnienia rodziny Grata oraz fragmenty z książki J. Szcześnika „Brody”.

Osoby pragnące coś więcej dowiedzieć się życia na Kresach, proszone są o kontakt ze mną tel. 607 565 427 lub e-mail pilotgienek@wp.pl



/ Chor. Grata na poligonie deklamuje Balladę o pierwszym batalionie L. Szenwalda.

W pułapce życia. Cz.6

Wiesław Hop

Rozdział 7

Gdy weszła sekretarka i oznajmiła, że przed drzwiami czeka Stanisław Wrzos, który stawiał się na wezwanie, prokurator Korczan, przeglądał poranną prasę i pił kawę.

- Dobrze, pani Joanno – uśmiechnął się zalotnie, bo dziewczyna była urocza: miała rude włosy, duże piersi, wąską talię i szerokie biodra. Od dawna miał na nią chrapkę, ale do tej pory nie zrobił jeszcze nic, aby ją zdobyć, ale czuł, że czas ten nieuchronnie się zbliża... – Niech czeka na korytarzu. Powiem pani, kiedy go zawołać – powiedział i założył nogę na nogę. Postanowił, że od razu pokaże temu cwaniakowi, kto tu jest górą i potrzyma go w niepewności przez pół godziny.

Korczan był namiętym pokerzystą i hazardzistą. W każdą sobotę, w towarzystwie takich samych jak on zapaleńców, grał w karty, na małe stawki, w klubie garnizonowym. Co tydzień wydawał spore sumy na zakłady totolotka i obstawiał wszystkie pierwszoligowe mecze piłki nożnej. Do tej pory szczęście mu nie dopisało i nigdy jeszcze nie udało mu się zgarnąć większej puli, chociaż od czasu do czasu wpadało mu tą drogą do kieszeni nieco grosza. Ale nie chodziło mu o pieniądze, o wygraną - będąc prokuratorem, zarabiał dobrze – tylko o grę, która dostarczał mu dozwolonej prawnie rozrywki; kochał adrenalinę i ten miły stan podniecenia, jaki odczuwał, oczekując na poszczególne losowania i wyniki meczy.

Był typem ucywilizowanego, skierowanego na sukces, jastrzębia w ludzkiej skórze. W prokuraturze, pomimo stosunkowo młodego wieku, bo zbliżał się zaledwie do trzydziestki, szybko piął się w górę i liczył na to, że zajdzie dalej od ojca, który przeszedł w stan spoczynku ze stanowiska szefa prokuratury okręgowej. Teraz także został w pewien sposób wyróżniony. Otrzymał prestiżową sprawę, którą – jak nieoficjalnie poinformował go szef prokuratury - interesowali się najważniejsi ludzie w Warszawie i Katowicach. Wiedział, że od jej przebiegu dużo może zależeć, i zamierzał wykorzystać ją, jako trampolinę do odbicia się w górę.

Zanim poprosił Wrzosa, dokładnie przemyślał taktykę własnego działania. Wiedział, że ma do czynienia z byłym oficerem milicji, komendantem dużego komisariatu, który na dodatek obecnie jest lotnikiem, więc siłą

rzeczy, będąc człowiekiem wyjątkowym, może mieć powiązania z ważnymi ludźmi. Dlatego postanowił działać ostrożnie, oczywiście do czasu, aż się przekonają, że nikt znaczny za nim nie stoi. Z materiałów, które otrzymał, wynikało jasno, że poprzez wystawianie fałszywych faktur i inne machloje, oszukał na dużą sumę ludzi skupionych w ramach Spółdzielni Budowy Domków Letniskowych w Bystrym Potoku, gdzie pełnił funkcję kierownika kancelarii.

Sprawa wydawała mu się trochę dziwna, chociażby dlatego, że trafiła do Katowic, a nie – zgodnie z właściwością miejscową – do Żywca. To mogło oznaczać, że komuś ważnemu zależało, aby tak się stało. Ponadto ciekawiło go, jak wygląda człowiek, który oprócz tego, że był gliniarzem - oficerem milicji i, przez ładnych kilka lat, komendantem trudnego X Komisariatu w Zabrze, potrafił jednocześnie zdobyć uprawnienia pilota pierwszej klasy, z licencją na samoloty pasażerskie. A teraz, gdy każdego miesiąca listonosz przynosił mu do domu ciężką kopertę z emeryturą, mając dodatkowo zapewnione, dobrze płatne, stanowisko pilota zakładowego w fabryce czołgów, ograbiając swoich przyjaciół, zachował się jak idiota. Ale cóż, to tylko potwierdzało, znaną od starożytności tezę, że apetyt rośnie w miarę jedzenia.

- Dzień dobry, panie prokuratorze – powiedział Wrzos uprzejmym, nie zdradzającym żadnego strachu głosem, kładąc na biurku prokuratora kawałek papieru. – Stawiłem się na pana wezwanie. Proszę mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Co pan do mnie ma?

Korczan przyglądał mu się z zainteresowaniem. Spodziewał się raczej kogoś szczupłego, o fizjonomii szczwanego lisa, a tym czasem miał przed sobą wzbudzonego zaufaniem, dobrze zbudowanego, wysokiego mężczyznę o szczerym spojrzeniu i ogorzalej, góralskiej twarzy. Planując przesłuchanie, zamierzał zachować się kulturalnie, poprosić podejrzanego, aby usiadł, wzbudzić jego zaufanie i dyskretnie pociągnąć go za język, ale teraz rozmyślił się. Zamiast robić ceregiele i bawić się w uprzejmości, walnął prosto z mostu:

- Otrzymałem materiały, z których wynika, że pełniąc społecznie kierowniczą funkcję w Spółdzielni Budowy Domków Letniskowych w Bystrym Potoku, okradł ją pan na niebagatelną

kwotę pół miliona złotych. Jak ma pan dowody na to, że tak nie było?

- Jak to jakie? – Wrzos uśmiechnął się prawie rozbawiony. To była intryga, szyta zbyt grubymi nićmi, aby ktoś dał się na nią nabrać. Najprawdopodobniej jej autorem, do których zaliczał, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości, Kuźnickiego i Smolara, chodziło o to, aby po ostatnim zajściu, gdy nie zgodził się na ich złodziejski plan, oczernić go i w niesławie pozbyć się ze spółdzielni, aby nie mógł patrzeć im na ręce. – W magazynach niczego nie brakuje! Na wszystko są dokumenty i rachunki! Jest główna księgowka, kasjerka, magazynier, którzy mogą potwierdzić, że wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Ja byłem tylko kierownikiem biura i nigdy nie miałem bezpośredniej styczności z pieniędzmi. Do moich obowiązków należały sprawy organizacyjne, gromadzenie materiałów, znalezienie pracowników. Pieniądze, to nie moja działka!

- Dobrze. Przypuśćmy, że panu wierzę, bo wygląda pan na porządnego człowieka, ale moje zaufanie to za mało... – Prokurator na chwilę zawiesił głos, ale spod na wpół przymkniętych powiek, bacznie obserwował Wrzosa. Jednocześnie, z jakiegoś powodu - być może nie chciał się spoufalać – starannie unikał wzajemnego kontaktu wzrokowego. – To jedź pan do spółdzielni i przywieź mi te papiery!

W Zimnym Potoku, do którego Wrzos dotarł około południa, w spółdzielni nikogo nie zastał. Biura i wszystkie magazyny były pozamykane na kłódki i oplombowane. Główna księgowka, do której udało mu się dozwonić, była bardzo wystraszona, ale poinformowała go, że rano do spółdzielni, wraz z prezesem, przyjechali jacyś ludzie z Prokuratury w Katowicach w eskorcie mundurowych milicjantów. Przeszukali biura, zabrali wszystkie klucze, a pracownikom kazali wynosić się do domów i czekać tam, aż zostaną wezwani. Dokumentów księgowych wszystkich nie było, bo dwa dni wcześniej część z nich została przekazana do Urzędu Gminy w Międzywodziu.

Naczelnik gminy powiedział Wrzosowi, że przekazał wszystkie faktury spółdzielni do kuratora w Bielsku Białej w celu rutynowej kontroli. Ponadto zakomunikował mu, że w sprawie tych dokumentów, już wczoraj,

dzwonił do niego oficer milicji śledczej z Katowic.

- Jedź pan do Bielska, do kuratora. Jeżeli dokumenty jeszcze u niego są, to zabierz je pan i zawieź do prokuratora, skoro tego żąda – powiedział naczelnik. – O co w tym wszystkim chodzi?

- Niedługo się pan dowie. Ale już teraz mogę pana zapewnić, że w tej bajce nie ma ani tyle prawdy, co brudu za paznokciami.

Wrzos nie chciał rozmawiać i uważać się nad sobą. Poza tym musiał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, odetchnąć świeżym powietrzem, bo w biurze naczelnika było bardzo gorąco i zrobiło mu się duszno.

Na ulicy, gdy owiał go chłodny, październikowy wiatr, od razu poczuł się lepiej. Będąc przyzwyczajony do działania – chociaż wiedział, że najsmardziej by zrobił, gdyby wrócił do domu, bo ludzie Smolara na pewno już go wyprzedzili – nie potrafił siedzieć bezczynnie i czekać na to, co się ma wydarzyć, więc wsiadł do samochodu i ruszył do Bielska Białej.

Kurator osobiście otworzył mu drzwi i zaprosił do kancelarii. Jego wygląd, postawa i sposób zachowania zdradzały, że jest czymś głęboko poruszony.

- Panie Wrzos, proszę do środka. Niech pan usiądzie i napije się ze mną herbaty. Domyślam się, co pana tutaj przygnało. Ale ja żadnych dokumentów waszej spółdzielni już nie mam. Byli tutaj wczoraj po południu i zabrali wszystko.

- Kto zabrał? – zapytał Wrzos, tylko po to, aby coś powiedzieć, bo doskonale znał odpowiedź. A poza tym liczył na to, że pociągnie kuratora za język i może dowie się czegoś więcej.

- Jakiś asesor z Prokuratury Rejonowej w Katowicach i tajniacy z kryminalnego. Panie Wrzos, co ja tu z nimi miałem... Jak długo żyję nikt nie napędził mi tyle strachu. Myślałem, że nie wytrzymam i padnę trupem, na zawał serca.

Przynieśli nakaz przeszukania i przewrócili mi całe biuro, a nawet dom, do góry nogami. Zarzucali mi, że jestem z panem w znowie i za pieniądze, poprzez zatwierdzanie fałszywych faktur i innych dokumentów, pozwoliłem panu okraść spółdzielnię w Bystrym Potoku na sumę pół miliona złotych. Grozili, że jak nie będę współpracował, to mnie natychmiast zamkną w kryminalne i oskarżą o współudział. Niech mi pan powie, czego oni chcą? Przecież w dokumentach wszystko było w porządku!

- Prezes spółdzielni i jego kumple próbują mnie udupić, bo sprzeciwiłem się ich planom łatwego zarobku i zagroziłem, że pójdę z tym do prokuratora. Chcieli mnie zmusić, abym sprzedał po cenie spekulacyjnej wszystkie materiały, które zgromadziliśmy w magazynach na budowę domków. Teraz chcą mi udowodnić, że w każdej chwili mogą mnie posadzić, a sami zrobią, co im się będzie podobać. Mam nadzieję, że to im się nie uda.

W tym momencie, bez pukania, do biura kuratora wszedł prokurator Korczan z mundurowym oficerem z Komendy Miejskiej Milicji w Katowicach oraz znany Wrzosowi z widzenia ormowcem z Katowic, który miał wysoko postawionego brata w Komendzie Głównej Służby Bezpieczeństwa w Warszawie i był jednocześnie etatowym, tajnym współpracownikiem SB.

- Dobrze, że panów zastałem – powiedział prokurator i uśmiechnął się pod wąsem. – Poruczniku, czyń pan swoją powinność!

- Panie Wrzos, w imieniu prawa, aresztuję pana! – rzekł oficer. Wyjął z kieszeni kajdanki i założył je na ręce Wrzosa, całkowicie zaskoczonego i oszołomionego takim obrotem sprawy. Następnie razem z ormowcem dokładnie wywrócili mu wszystkie kieszenie, zabrali dokumenty i rzeczy osobiste, które tam znalazli.

Wrzos nie widział sensu, by stawiać jakikolwiek opór, bo to byłoby im na rękę. Wtedy łatwo mogliby sprowokować sytuację, w wyniku której mogliby go, dodatkowo, oskarżyć znieważenie lub napaść na funkcjonariusza publicznego, czy coś w tym rodzaju.

- A co zrobimy z jego samochodem? – zapytał oficer.

- Nie ma sensu taszczyć go do Katowic. Przeszukać i zabezpieczyć na parkingu miejscowej komendy – zdecydował Korczan.

Z Bielska, policyjną suką, w raz z zatrzymanym, pojechali na obiad do kasyna milicyjnego w Żywcu. Po drodze i w czasie obiadu, gdy Wrzos siedział z boku ze skutymi rękami, a oni napychali się schabowym z ziemniakami i surówka z czerwonej kapusty, bez ogródek robili sobie z niego jaja. Cieszyli się, że udało im się zapuszkować wielkiego przestępcę – oszusta, który okantował współników na pięćset tysięcy złotych.

- Dobrześ to sobie, kolego, wykombinował – żartował prokurator. – Ale miałeś pecha. Popelniłeś kilka szkolnych błędów i dupa zimna. Teraz będziesz musiał za to beknąć. Ale nic się nie martw, dużo nie dostaniesz. Twój przyjaciel, prokurator Lasota już się o to postara. Na pewno ci pomoże. Prosto stąd pojedziemy do niego, bo on ma

życzenie, aby zanim cię zapuszczamy, mógł się jeszcze z tobą zobaczyć.

- O co może chodzić prokuratorowi Lasocie? – zastanawiał się głośno oficer z Katowic. W porównaniu z Wrzosem był jeszcze młodym szczeniakiem bez doświadczenia. Zaledwie kilka lat wcześniej ukończył szkołę oficerską. – Co on może wnieść do tej sprawy? Może chce ci poradzić, co masz mówić, żeby wystrychnąć wszystkich na dudka i uniknąć kary. Tylko uważaj, żebyś nie wyszedł na jego radach, jak Zabłocki na mydle.

- Lasota jest starym, doświadczonym prokuratorem. Ludzie się z nim liczą. Ma wszędzie wtyki, szerokie plecy i jaja wielkie jak berety. Z pewnością pociągnie za sznurki i nie da zrobić krzywdy swojemu znajomemu – dorzucił ormowiec. Z racji tego, że miał brata w Komendzie Głównej SB w Warszawie, czuł się równy, a nawet ważniejszy od swoich towarzyszy.

Wrzos w milczeniu słuchał ich docinek. Nie odgryzał się, bo nie by mu to nie pomogło. Gdy trzeba było potrafił wiele ścierpieć. Zastanawiał się, skąd tak szybko dowiedzieli się o tym, że Lasota chciał mu pomóc.

W swojej karierze milicyjnej słyszał o różnych nieprawidłowościach; fabrykowaniu dowodów, kozłach ofiarnych, ale nigdy nie zetknął się z tym osobiście. Zawsze starał się być uczciwym gliną i nie tolerował dookoła siebie brudnych praktyk. Nie wyobrażał sobie, jak można spreparować dowody, oskarżyć zupełnie niewinnego człowieka, wsadzić go za kratki, postawić przed sądem i skazać, a później chodzić po ulicach z podniesioną głową. Nie był jednak na tyle naiwny i głupi, aby nie zdawać sobie sprawy, że takie rzeczy, codziennie, nie tylko w Polsce, ale na całym świecie się zdarzają.

Gdy się głębiej zastanowił nad swoim położeniem, doszedł do wniosku, że nie wiedząc o tym, znalazł się w towarzystwie prawdziwych rekinów, które łatwo mogły go pożreć.

Smolar z Kuźnickim - mając za plecami wiceministra Kłosa, Mikę – drugiego sekretarza Partii w Katowicach i Aralskiego z prokuratury krajowej - mogli skutecznie wpływać na poczynania milicji, prokuratury i sądu; czuć się panami sytuacji i zrobić z nim wszystko, co zechcą.

To, że wypędzili do domów pracowników spółki, bo nie chcieli, aby ktoś patrzył im na ręce, zabrali wszystkie dokumenty, zamknęli biura i zaplombowali magazyny, świadczyło o tym, że nie działali pochopnie. Dobrze przygotowali się do tego, co zamierzali zrobić. Mieli opracowany szczegółowy plan, którego się trzymali. Do tej pory, na pewno, sfingowali już jakieś

dowody, które posłużyły im do oskarżenia go o oszustwo.

Wrzos nie zamierzał poddać się bez walki. Liczył na zeznania księgowej i magazyniera, i miał nadzieję, że jeżeli dojdzie do rozprawy, obroni się przed sądem, ale już samo zatrzymanie go w taki sposób, świadczyło o tym, że czują się mocni i wszystko jest możliwe.

Wieczorem Korczan i jego ludzie, z zatrzymanym Wrzosem, nie śpiesząc się, dotarli do Katowic. Tam zawieźli go na dołek do komisariatu kolejowego. Zabrali pasek od spodni i sznurówki z butów – tak nakazywały przepisy o aresztowaniu osób – i, jak zwykłego, zgarniętego z ulicy śmiecia, jak psa, wrzucili do wspólnej dla wszystkich przestępców, nie ogrzewanej celi.

- Posiedzisz tu sobie do rana w „ciepełku”, w miłym towarzystwie, to rura ci zmięknie i jutro będziesz inaczej śpiewał. Tylko pilnuj się, żeby cię któryś z tych zbrojców w nocy nie wydyrzał – kolejny raz kpił sobie z niego młody oficer.

Klatka była brudna, obszerna i bardzo zimna. Wrzos przez całą noc nie zmrużył oka. Chodził po celi, gdyż nie potrafił usiedzieć na miejscu. Tylko dzięki temu, że miał na sobie kozuch, którego mu nie odebrali, nie przemarł do szpiku kości i nie zachorował na zapalenie płuc.

Następnego dnia rano zabrali go z komisariatu kolejowego na przesłuchanie do komendy miejskiej. Tam dostał ataku wrzodów dwunastnicy i oficer dyżurny wezwał na pomoc karetkę pogotowia.

- Proszę przewieźć chorego do Szpitala Więziennego w Bytomiu, gdyż wymaga on natychmiastowej pomocy specjalistycznej – powiedział lekarz, po czym w pośpiechu wypisał skierowanie i odjechał.

Nikt się jednak nie przejął jego diagnozą. Naciskany z góry oficer prowadzący sprawę, zamiast wykonać polecenie lekarza, kazał zawieźć Wrzosa do Aresztu Śledczego w Mysłowicach. Tam zamknęli go w piwnicy więziennej, w której zwiijając się z bólu „nie niepokojony przez nikogo”, przeleżał dwa dni.

- Pokimasz tutaj ze dwie doby, wynudzisz się i zgłodniejesz, to odechce ci się symulowania, pieprzony palancie – rzucił mu na odchodnym jeden z doprowadzających go ludzi.

Po dwóch dniach, na wpół żywego, wytaszczyli go z piwnicy i przenieśli do celi zatrzymanych. Gdy dostał tam drugiego ataku i wydawało się, że lada chwila wykituje, strażnicy przestraszyli się. Dowódca zmiany, aby pozbyć się problemu, wezwał lekarza więziennego, znanego powszechnie pod pseudonimem doktora Glinki. Był to mężczyzna średniego wzrostu, pokaźnej tuszy, z łysą głową i

grubych okularach, w drucianej oprawie na oczach. Jego opuchnięta, nalana twarz, ozdobiona mięsistym, czerwonym nosem i worami pod oczami, świadczyła dobitnie, że od dawna nie stroni od alkoholu, co zresztą dla nikogo w areszcie śledczym nie było tajemnicą. Nikt jednak nie wiedział, że od pewnego czasu, ponad miarę, faszkuje się również lekami z więziennej apteki. Aby ukryć przed ludźmi te swoje niewątpliwie wady - gdyż rzadko kiedy był w stanie zabrać się do jakiegokolwiek sensownej roboty, gdy nie wypił z rana kilku głębszych na klina - używał bardzo mocnej wody toaletowej. Starał się również być oszczędny w słowach i gestach, i sprawiać wrażenie flegmatyka, którym w rzeczywistości nie był. Jedyne jego brązowe, powiększone przez szkła, rozbiegane, będące w ciągłym ruchu oczy, mówiły że nie jest on wyciągniętą z sarkofagu, ubraną w biały kitel, egipską mumią, której wszystko jedno, co się z nią dzieje, tylko człowiekiem, który jeszcze żyje, jeszcze coś odczuwa i ma sprawy do załatwienia.

W każdym innym miejscu taki lekarz byłby człowiekiem z poważnym problemem, bo albo by się poddał leczeniu odwykowemu i zapisał do anonimowych alkoholików, albo w niedługim czasie wylądował na ulicy, w rynsztoku. Tutaj jednak, jako więzienny konował, radził sobie w miarę dobrze, a nawet cieszył się czymś w rodzaju – ograniczonego wprawdzie – ale prawdziwego zaufania przełożonych. Oni najbardziej cenili w nim to, że był elastyczny, podatny na sugestie i swoich diagnozach i decyzjach uwzględniał ich interesy i oczekiwania.

Teraz także miał pewien problem, albo inaczej rzecz ujmując, nie miał go wcale. Otrzymał wytyczne i wiedział, co musi zrobić, aby ci na górze, którzy z jakiegoś powodu wsadzili tutaj tego byłego gliniarza, byli zadowoleni. Słyszał, że wylądował tutaj za jakieś malwersacje i oszustwa, ale nie chciało mu się w to wierzyć. Podejrzewał, że musiał mocno nadepnąć komuś ważnemu na odcisk, bo za takie bzdury jak nadużycia, w Polsce Ludowej nikt, kto jest w dobrych stosunkach z władzą, nie trafia do kryminału.

Stwarzając pozór badania osłuchał i opukał leżącego na więziennej pryczy pacjenta, skarżącemu się na bóle brzucha i krwawienie z jelita grubego. Brzuch był trochę napuchnięty i obolały, a to nasuwało podejrzenie, że dzieje się tam coś niedobrego, co mogło doprowadzić do zakażenia organów wewnętrznych, zapalenia otrzewnej i śmierci. On jednak zbagatelizował te objawy.

- Panie Wrzos, ja tu nic takiego nie widzę! – powiedział i

wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – Nawiasem mówiąc, jest pan w lepszej formie ode mnie. A ja do szpitala się nie wybieram, przynajmniej do poniedziałku. Więc i pan nie pójdziesz! U nas do szpitala trafia ten, kto nie ma głowy, a pan głowę ma, więc na razie się pan tam nie kwalifikuje. Ale dam panu coś przeciwbólowego i na sen, żeby chociaż trochę opanował pan emocje i uspokoił się. Wtedy od razu samopoczucie się poprawi.

- Jestem spokojny. To jednak nie pomaga. Zanim tutaj trafiłem, byłem pod stałą opieką lekarską. Przyjmowałem leki.

- Tak, wiem. Leczył się pan u najlepszego specjalisty od chorób wewnętrznych. Skoro jednak on nie był w stanie pana wyleczyć, to i szpital więzienny nie pomoże. Tu nie jest wersal, tylko areszt śledczy dla kryminalistów i ja tego nie zmienię. Coś panu powiem, chociaż jako lekarz nie powinienem tego robić: Są takie choroby, że współczesna medycyna jest bezradna i tylko doktor Glinka potrafi na nie coś poradzić. U pana jednak, mam nadzieję, do tego jeszcze daleko...

Następnego dnia, była to niedziela i doktor Glinka miał wolne, rano o godzinie ósmej na dyżurkę do kierownika zmiany przyszedł oddziałowy.

- Słuchaj Janek, trzeba coś zrobić. Ten nowy, były glina czuje się jeszcze gorzej niż wczoraj. Ledwie kontaktuje i wygląda tak, jakby lada chwila miał pierdolnąć w kalendarz.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Chodź sam zobaczysz.

Poszli, a gdy wrócili, kierownik był wyraźnie zaniepokojony. Nie miał ochoty brać na swój garb odpowiedzialności za życie tego więźnia.

- Jasny gwint! – zaklął. - Źle to wygląda!

- Moim zdaniem – oddziałowy przeszedł prawie do szeptu, bo obawiał się, że ktoś ich może podsłuchać - trzymając go tutaj, w takim stanie, żeby zdechł i nie robił problemów.

- Też tak sądzę. Mnie to nie przeszkadza, niech zdycha, ale nie na mojej zmianie.

Kierownik nie widząc innego wyjścia, trochę niechętnie, podniósł słuchawkę i wezwał karetkę. Doświadczony lekarz internista, który tego dnia pełnił dyżur w pogotowiu, stwierdził zagrożenie życia i wypisał skierowanie do szpitala.

Godzinę później w areszcie osobiście pojawił się prokurator Korczan, w asyście sekretarki i trzech tajniaków z Wydziału Przestępstw Gospodarczych Komendy Miejskiej Milicji w Katowicach. Zapakowali Wrzosa do milicyjnej suki i zamiast do szpitala, pojechali z nim do

Bystrego Potoka na wizję lokalną. Tam miał pokazać wszystkie materiały, które zgromadził na budowę domków i uczestniczyć w związanych z wizją czynnościach procesowych.

Sekretarka oraz młodzi milicjanci z kryminalnego, na początku ze współczuciem przyglądali się wymęczonej twarzy więźnia. Później jednak, gdy prokurator dał im wyraźnie do zrozumienia, że nie mają się czym przejmować, bo to nie tylko oszust, ale stary symulator, który udając chorobę, usiłuje okpić wymiar sprawiedliwości i uniknąć odpowiedzialności za popełnione przestępstwa, przestali zwracać na niego uwagę.

Korczan nie miał ochoty tracić niedzieli i najchętniej, gdyby to od niego zależało, odłożyłby tę robotę na później, ale nie miał wyboru. Szef prokuratury, osobiście, ściągnął go do biura w ten świąteczny ranek; wydał polecenia i poinformował, że jest to prestiżowa sprawa, którą interesują się ważne osobistości z władz wojewódzkich i krajowych, więc najpóźniej w poniedziałek o godzinie ósmej rano, chce mieć na swoim biurku uporządkowane akta wraz z wizją lokalną na miejscu przestępstwa.

Pośpiech ten wydawał mu się trochę dziwny. Nie miał jednak zamiaru wystawiać na szwank swojej - dobrze zapowiadającej się - kariery, kwestionując decyzje przełożonego. Z tego samego powodu zgodził się również zignorować skierowanie do szpitala. Mógł to zrobić, bo skonsultował decyzję z szefem i miał pewność, że w razie biedy, gdyby coś poszło nie tak, nie spadnie mu za to włos z głowy. Szef – o czym już nie wiedział - zasięgnął opinii profesora Kuźnickiego, najlepiej znającego historię choroby Wrzosa, a ten oczywiście zbagatelizował sprawę, nie widząc bezpośredniego zagrożenia dla życia i konieczności leczenia szpitalnego. Szef odniósł wrażenie – ale zachował to tylko dla siebie - że ci na górze, którzy w tej sprawie pociągali za sznurki i Kuźnicki, byliby nawet zadowoleni, gdyby Wrzos zaoszczędził im kłopotu i pieniędzy podatników, i kopnął w kalendarz.

Tego dnia prokurator Korczan miał wyjątkowego pecha. Mimo determinacji z jaką zabrał się do rzeczy, nie udało mu się przeprowadzić wizji lokalnej. Podejrzany, na skutek wstrząsów samochodu, z każdym kilometrem czuł się gorzej, a po dotarciu do Bystrego Potoka, gdzie było dużo śniegu i pawała już ostra zima, stracił przytomność i osunął się z nóg na ziemię. Wprawdzie sekretarce i jednemu z gliniarzy, posiadającemu uprawnienia ratownika medycznego, szybko udało się przywrócić mu świadomość, ale skręcał się z bólu i wyglądał tak,

jakby jakaś niewidzialna kostucha, tępą kosą, podrywała mu gardło, więc o uczestniczeniu w jakichkolwiek czynnościach nie mogło być mowy. W tej sytuacji, nie mając innego wyjścia, Korczan wezwał pomoc medyczną i odłożył czynności procesowe na miejscu przestępstwa z udziałem podejrzanego na inny, bliżej nieokreślony termin.

Lekarz z pogotowia ratunkowego z Żywca zrobił choremu zastrzyk przeciwbólowy i twarodo polecił:

- Proszę, natychmiast, zawieźć człowieka do szpitala! bo umrze! Sprawa jest bardzo poważna. Ja tutaj nie mogę dla niego nic więcej zrobić.

Po tak jasno postawionej diagnozie Korczan zrozumiał, że Wrzos jednak nie symuluje. Dlatego zdecydował się wrócić do Katowic i niezwłocznie przekazać go pod opiekę lekarzy Szpitala Więziennego w Bytomiu. Mimo chęci przypochlebiania się przełożonym, nie chciał mieć na sumieniu życia człowieka. Zmuszanie w tym stanie Wrzosa do przebywania przez kilka godzin na mrozie, przy zawiewającym od północy, ostrym wietrze, byłoby równoznaczne z wydaniem na niego wyroku śmierci bez procesu.

Z Katowic do Bytomia Wrzos jechał pod opieką umundurowanego patrolu milicyjnego z kompanii interwencyjnej. Po drodze, ponieważ po środkach przeciwbólowych poczuł się trochę lepiej, opowiedział im swoją historię. Doświadczeni milicjanci uwierzyli mu i poczuli sympatię do starszego kolegi, któremu wydawało się, że z tymi szczwanymi lisami na górze morze robić interesy, jak równy z równym. Zaufał im i dlatego został wystrychnięty na dudka.

- Zawsze powtarzam – wybaczone kolego, bo ty też wyglądasz na takiego, co długo pierdział w stołek - że od tych karierowiczów, krętaczy i łapówkarzy na stanowiskach – obojętnie, gdzie uwili sobie gniazdko – trzeba się trzymać z daleka. A gdy już musisz do któregoś się zbliżyć, to nie podchodź dalej niż na odległość porządnego kija. Taka jest moja zasada i dobrze na niej wychodzę – powiedział dowódca patrolu z dwudziesto-pięcioletnim stażem służby. Siwizna, mocno już, przyprószyła mu skronie, ale nadal był tylko sierżantem. Po części dlatego, że nie zabiegał o awanse, po części, bo nie umiał trzymać języka za zębami.

Dyrektor Szpitala Więziennego w Bytomiu nie był człowiekiem bez serca, ani tępakiem goniący za karierą, jak wydawało się większości podlegających mu ludzi. Chociaż nie był lekarzem tylko prawnikiem, przez te wszystkie lata, w których funkcjonował w skomplikowanej,

komunistycznej rzeczywistości, krok po kroku, wspinając się coraz wyżej i wyżej, nauczył się wiele o ludziach i motywach ich postępowania. Wiedział, jak prawdziwa, czy nawet urojona władza potrafi przewracać ludziom w głowach. Od pewnego czasu, ponieważ sam chorował na wrzody żołądka, wiedział także, co to jest mocny, skręcający kiszki ból. Dlatego zwykle nikomu nie robił problemów z przyjęciem do szpitala. Wolał, aby decydowali o tym lekarze, a nie on. Dzisiaj jednak został postawiony pod ścianą – znalazł się w sytuacji, z której nie było dobrego wyjścia.

Godzinę temu osobiście zadzwonił do niego drugi sekretarz Partii w Katowicach, Arkadiusz Mika, który - z racji swoich powiązań i koneksji rodzinnych w Warszawie - sprawował w województwie faktyczną władzę, i nie przebierając w słowach, prosto z mostu wypalił:

- Jedzie tam do was pewien oszust i złodziej, Stanisław Wrzos. Krętacz symuluje chorobę, bo chce uciec przed kryminałem. To były gliniarz z Zabrze, który zszedł na złą drogę, a teraz przestraszył się odpowiedzialności. Ten człowiek, dopóki nie jest umierający, nie ma prawa znaleźć się na oddziale szpitalnym! Nie będzie nas dłużej wodził za nos! Czy wyraziłem się dosyć jasno, dyrektorze?

- Jak najbardziej. Zrobię, co będę mógł! – skwapliwie zgodził się dyrektor. Drugiego sekretarza, Mikę, znał od dawna. Chociaż nigdy nie przeszedł z nim na ty, doskonale orientował się, jaki ma charakter i wpływy. Wiedział, że jakakolwiek próba przeciwstawienia się mu, oznaczałaby natychmiastową utratę stanowiska. Sekretarz lubił na swoim terenie sprawować władzę absolutną i nigdy nie darował tym, którzy stawali mu okoniem.

Dyrektor nie miał zamiaru, dla jakiegoś tam byłego gliniarza – być może złodzieja i oszusta, o którym w dodatku nigdy nie słyszał, wystawiać na szwank własnej przyszłości. Tego nie zrobiłby nawet dla brata. Nie chciał jednak działać pochopnie i wydawać lekarzom poleceń w sprawach, w których, ich zdaniem, nie był kompetentny. Dlatego postanowił osobiście zorientować się, co jest z tym Wrzosem; i gdyby było trzeba załatwić sprawę tak, aby wilk był syty i owca cała. Potrafił lawirować. Dzięki temu już nieraz udało mu się wybrnąć z – wydawałoby się – beznadziejnej sytuacji..

Ponieważ był w domu, a nie miał ochoty tłuc samochodem przez całe miasto, wykreślił numer dyżurnego lekarza izby przyjęć.

- Witam, doktorze Jamróz! – powiedział, gdy tamten się przedstawił. – Z tej strony dy-

rektor Kruhel.

- Dzień dobry! Poznałem pana po głosie. W czym mogę pomóc?

- Dostałem wiadomość, że za chwilę z aresztu śledczego przywiozą do nas niejakiego Władysława Wrzosa, który symuluje chorobę. Podobno to straszna szumowina. Chce dostać się na oddział szpitalny, aby uniknąć więzienia. Jednocześnie dano mi wyraźnie do zrozumienia, że pewne zainteresowane sprawą osoby na górze, które w każdej chwili mogą zdecydować o moim i pańskim losie, nie życzą sobie u nas przytulne schronienie. Wygląda na to, że to bardzo delikatna sprawa. Dlatego, zanim wspólnie podejmiemy w tej sprawie jakąś decyzję, chcę wiedzieć dokładnie, co mu dolega? Czy rzeczywiście jest tak chory, że powinien trafić do szpitala, czy tylko udaje?

- Dobrze, panie dyrektorze. Przebadam go, gdy się tylko tutaj zjawi i zaraz dam panu znać.

- Ma się rozumieć, że wszystko, o czym teraz rozmawiamy, to sprawa poufna i musi pozostać tylko między nami.

- Jasne! Może pan mi zaufać.

Lekarz nie miał zamiaru robić problemów. Tym bardziej, że na razie dyrektor zachowywał rozsądek i nie zmuszał go do niczego, co byłoby niezgodne z etyką lekarską.

Godzinę później zadzwonił do dyrektora.

- Ten Wrzos nie wygląda dobrze... – na chwilę zwiesił głos i czekał na reakcję dyrektora, ale gdy jej nie było, zaczął mówić dalej: - Choruje na wrzody dwunastnicy. Kilka godzin temu miał ostry atak bólu i krwawienie. Środki przeciwbólowe, które zaplikował mu w zastrzyku lekarz z karetki pogotowia na jakiś czas poprawiły jego stan, ale za godzinę, może dwie znowu zaczęły skręcać się z bólu. A poza tym, w każdej chwili istnieje zagrożenie, że wrzód pęknie, zaleje wnętrzności i bez natychmiastowej operacji pacjent wykorkuje. Moim zdaniem musimy go przyjąć, bo nie ma tu mowy o żadnej symulacji.

- Tak. Racja. Skoro to były gliniarz, oficer, to musi mieć jakąś rodzinę i kontakty, więc gdyby coś mu się stało z naszej winy, mogą być problemy. A tego nie chcemy... – myślał głośno dyrektor. Następnie spojrzął na zegarek, którego wskazówki zbliżały się do godziny szesnastej i po krótkiej pauzie zdecydował:

- Zrobimy tak: Udzieli mu pan wszelkiej możliwej pomocy, aby nam nie wykitował. I możliwie najdłużej – pod pozorem badań – przetrzyma na korytarzu. Później, najlepiej po dwudziestej drugiej, gdy ja będę już nieosiągalny, a pan skończy dyżur, niech następna zmiana przyjmie go na oddział. Wtedy nikt nam nie zarzuci, że byliśmy nad-

gorliwi lub że nie udzieliłszy pomocy choremu człowiekowi. Rozumie pan, o co chodzi, doktorze?

- Tak! Rozumiem! Może pan być spokojny. Dopilnuję, aby wszystko poszło, jak trzeba.

Takim oto sposobem, po siedmiu długich godzinach skręcania się z bólu na korytarzu szpitalnym, gdzie pozostawili go milicjanci z patrolu pod opieką pielęgniarki i odjechali, trzydzieści minut przed północą, Wrzos trafił wreszcie na oddział chorób wewnętrznych. Tam ordynator Wysocki, który był dobrym i uczciwym lekarzem, postawił właściwą diagnozę i w dwa tygodnie doprowadził pacjenta do takiego stanu, że z czystym sumieniem mógł go odesłać z powrotem do aresztu śledczego.

Wysocki, gdy zobaczył lekarstwa przyniesione do szpitala przez rodzinę Wrzosa, którymi faszzerował go prywatnie profesor Kuźnicki ze Szpitala w Werchracie, zdziwił się, że taki specjalista nie potrafił rozpoznać i skutecznie leczyć zwykłego owrzodzenia dwunastnicy; i zamiast stosować sprawdzoną terapię, uparcie lansował teorię choroby nowotworowej w początkowym stadium rozwoju.

Ordynator kręcił z niedowierzaniem głową, ale nic nie powiedział, bo powstrzymało go przed tym mocne poczucie solidarności zawodowej. Stracił jednak wiarę w umiejętności i intuicję medyczną dużo wyżej postawionego od siebie profesora nauk medycznych z Werchraty.

Rozdział 8

Zamek Pod Białym Orłem pamiętał czasy Kazimierza Wielkiego. Była to solidna, a zarazem piękna budowla z czterema wysokimi wieżami, dużym dziedzińcem i krużgankami, otoczona grubym wysokim murem z otworami strzelniczymi i trudnym do pokonania, głębokim rowem wodnym. Zbudowany z bardzo twardego, odpornego na warunki atmosferyczne ciosanego piaskowca przez wieki spełniał funkcję obronną. Później jednak, gdy zmieniły się sposoby wojowania, został przekształcony w elegancką, magnacką rezydencję, a po ostatniej wojnie przejęty przez socjalistyczny rząd i przemianowany na ośrodek czasowo-wypoczynkowy dla czerwonej burżuazji. Spotykali się tutaj działacze partyjni, urzędnicy państwowi, sędziowie i prokuratorzy, komendanci i wyżsi oficerowie służby bezpieczeństwa, wojska i milicji oraz postawieni na prominentnych stanowiskach lekarze, bez których żaden ustrój – a szczególnie totalitarny – nie może się obejść.

Było to piękne miejsce dla elity, położone w bezpośrednim sąsiedztwie Katowic, w którym można było się spotkać, napić

wódki, pograć w karty, skosztować zakazanego dla większości społeczeństwa hazardu; zabawić się z najpiękniejszymi w mieście kobietami – włącznie z niezobowiązującym seksem; i na luzie, bez niepotrzebnej pompy, przedyskutować wiele ważnych dla regionu spraw. Takie „integracyjne spotkania” pozwalały ludziom z kręgów władzy zapoznać się, nawiązać bliższe znajomości, które miały owocować lepszą współpracą na rzecz województwa i kraju. Przy okazji wielu wykorzystywało je do załatwiania prywatnych interesów: awansów, nominacji, talonów na samochody i zagranicznych wczasów. Tutaj też, często przy kieliszkach i suto zastawionych stołach, zdecydowano o losach ludzi, których, z jakis względów, uznano za wicherzycieli, wrogów Partii i postanowiono strącić z lukratywnych stołków do krainy politycznego i finansowego niebytu.

Była ostatnia sobota listopada roku 1976. Brzydki, pochmurny, deszczowy i wietrzny dzień - jeden z tych, w którym depresja i choroby psychiczne zbierają największe żniwo wśród samobójców – wreszcie dobiegał końca.

Na parkingu zamkowym stało kilkanaście czarnych limuzyn, w których od kilku godzin, grzejąc silniki, czekali osobiści kierowcy nowej, czerwonej, katowickiej arystokracji. Zanosilo się na to, że goryle ci spędzą w samochodach całą noc, bo ich szefowie bawili się w najlepsze i nie zamierzali przed świtem opuszczać imprezy.

Właśnie przed chwilą taksówkami przyjechały zamówione wcześniej trzy młode skrzypaczki i kilkanaście – umiejętnie dobranych przez kierownika ośrodka – dziewczyn do towarzysstwa. Z tego należało sądzić, że prawdziwa zabawa dopiero się rozpoczyna, a tańce i płąsy, może nawet półnago po stołach, będą trwać do białego rana. Ale kierowcy musieli czuwać, bo zdarzało się, że któryś, zalany w cztery dupy dygnitarz, w połowie imprezki padał z nóg na luksusowy parkiet, jak ścięty kosą przydrożny oset i trzeba było go dyskretnie, wyjściem dla personelu, wyprowadzić na zewnątrz, wsadzić do limuzyny, odwieźć do domu, rozebrać i wpakować do wyra. Pomimo to żaden z nich nie miał zamiaru narzekać na swoją ciężką robotę.

Niespełna godzinę wcześniej, w specjalnie wyznaczonym dla nich pomieszczeniu przy kuchni, zjedli solidną kolację i wypili po kubku gorącej kawy. Ponadto szef kuchni, w każdej chwili, serwował im gorące napoje, które miały im umilać i skracać czas oczekiwania i drzemki w samochodach. Wiedzieli również, że te nie przespane noce, które przecież nie zdarzały się często

oraz wpisana w ich zawód dyspozycyjność i dyskrecja, zostaną im wynagrodzone sowita premią przy najbliższych poborach.

Arkadiusz Mika, drugi sekretarz Partii w Katowicach, gospodarz tego spotkania, starannie dobrał towarzystwo, przyjmując za myśl przewodnią sprawę Stanisława Wrzosa. Prosił go o to osobiście stary kumpel, dyrektor Smolar.

Pierwszy sekretarz, będąc z wykształcenia filozofem i wykładawcą na kilku renomowanych uczelniach wyższych, poświęcał się głównie pracy naukowej. Rozwijając najważniejszy nurt myśli filozoficznej Marksa i Engelsa, dążył do wykazania wyższości materii nad duchem. Problemy bardziej przyziemne i realne rządzenie województwem pozostawił swojemu zastępcy, który w świecie prawdziwych problemów czuł się jak ryba w wodzie.

Byli tutaj główni zainteresowani: Smolar i Kuźnicki; ponadto Mika zaprosił komendantów wojewódzkich służby bezpieczeństwa i milicji, szefów prokuratury wojewódzkiej i rejonowej, kilku sędziów, dyrektorów kopalń i największych w mieście zakładów pracy.

Mika wiedząc, że Smolar z Kuźnickim mają za sobą wiceministra spraw wewnętrznych – Kłosa (prywatnie, o czym wiedzieli tylko nieliczni, szwagra dyrektora Smolara) oraz Arabskiego – szefa Prokuratury Krajowej, starał się maksymalnie pójść im na rękę. Od tego mogła zależeć jego przyszłość. W tej sytuacji zupełnie nie interesowało go to, czy Wrzos jest winien, czy nie. Był on dla niego tylko pionkiem, zawalidroga, którego należało usunąć jednym porządnym kopnięciem w tyłek. Cieszył się, że przydarzyła mu się taka sprawa, bo wiedział, że pomagając Kuźnickiemu i Smolarowi; pociągając za sznurki, gdzie trzeba, wyświadcza jednocześnie przysługę Kłosowi i Arabskiemu. Oni na pewno będą o tym pamiętać i w razie czego, nie odwrócą się od niego plecami...

Po pierwszych toastach, gdy goście trochę się rozluźnili, powietrze zgęstniało od papierosowego dymu, a na sali pojawiły się skrzypaczki i damy do towarzystwa w minispódniczkach, zrobiło się bardzo wesoło. Rozpoczęły się tańce i zanosilo się na świetną zabawę.

Smolar z Kuźnickim nie próżnowali. Mając do pomocy obrotowego Mikę, zamierzali – zanim towarzystwo na dobre się rozochoci i dostojni goście zaczną pojedynczo, dyskretnie wymyknąć się z półnagimi tancerkami do pokoi hotelowych – upiec własną pieczeń na tym bankietowym rożnie, wyznaczając kierunek śledztwa w sprawie oszustwa na szkodę Spółdzielni

Domków Rekreacyjnych w Bystrym Potoku. Chcieli mieć pewność, że nic nie pokrzyżuje ich planów i ten tępy jak podkowa, durny glina, Wrzos, który wzgardził ich przyjaźnią i ośmielił się grozić im prokuratorem, nie wymknie się z zastawionej na niego pułapki i zgnije w kryminale.

Mika miał w pobliżu bufetu, w dyskretnym miejscu, osobisty bufecik z najlepszymi trunkami, do którego pod pretekstem wypalenia cygara i wypicia po jednym głębszym, pojedynczo, zapraszał tych, z którymi chciał porozmawiać bez świadków.

Trzymając pod rękę nieco już chwiejącego się na nogach szefa Prokuratury Rejonowej w Katowicach, usadowił go na krześle przy stoliku, gdzie siedzieli już Smolar z Kuźnickim.

- Janek, znasz dyrektora Smolara i profesora Kuźnickiego? - zapytał.

- Oczywiście! Kto by nie znał takich wspaniałych lekarzy. Osobiście jednak muszę przyznać nie mieliśmy okazji wychylić kieliszka wódki. Dopiero dzisiaj nadarzyła się okazja i wypiliśmy już bruderszaft.

- Cała przyjemność po naszej stronie. Jesteśmy zaszczycony, że mogliśmy pana poznać – wtrącił Smolar.

- Co sądzisz o ich sprawie? Ten Wrzos, któremu zaufali, okazał się niezłą kanalią i mocno ich oskubał.

- Tak! Pół miliona, to całkiem spora sumka! – zgodził się prokurator.

- Powinien za to zdechnąć w kryminale! – naciskał Mika. – Jak sądzisz, nie zdoła się wyśliznąć? Bo to szczwany lis. Zna się na kruczkach prawnych.

- Materiały wydają się mocne, chociaż przydałoby się jeszcze ze dwóch twardych świadków, którzy wszystko potwierdzą przed sądem. Na razie trafił do aresztu śledczego, żeby nie mógł mataczyć w sprawie, ale to tylko oszustwo, przy którym oskarżony może odpowiadać z wolnej stopy, więc nie będziemy go mogli tam przetrzymać w nieskończoność. Powiem szczerze, był oficerem milicji, a teraz jest pilotem w fabryce czołgów w Łabędach. Z tego typu ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Gdyby okazało się, że ma jakieś poparcie na górze, to sytuacja może się skomplikować.

- O to się nie martw. To płotka bez znaczenia. Nikt poza rodzinną nie zechce dla niego kiwnąć palcem.

- To ile może za to dostać? – zainteresował się Kuźnicki.

- Góra pięć lat. Sądzę jednak, że gdy pójdzie na współpracę, przyznaje się i wyrówna szkodę, przy dobrym składzie orzekającym, nie dostanie więcej, jak połowę z tego.

- To niewiele – zmartwił się Mika. - Zależy nam na tym, aby dla przykładu posiedział przy-

najmniej do rozprawy. Nie możemy pozwolić, żeby taki śmieć bogacił się kosztem uczciwych spółdzielców.

- Zobaczą, co da się zrobić, ale nie obiecuję. To w dużym stopniu będzie zależało od Prokuratora Generalnego. On za twierdza przedłużenia aresztów tymczasowych.

Prokurator wydawał się być zakłopotany, że nie może dać słowa, iż będzie trzymał Wrzosa w ciupie do zasranej śmierci.

- Gdyby pojawiło się coś jeszcze... Na przykład jakieś podejrzenie o szpiegostwo, to co innego – myślał głośno. – Ale w tej sytuacji nie obiecuję.

- Wszystko możliwe. Taki człowiek, za pieniądze sprzeda własną matkę – Mika zgrabnie podchwycił nitkę rzuconą mu przez prokuratora. – A skoro pracował w Łabędach, gdzie produkuje się najnowszej generacji czołgi i inne uzbrojenie, latał za granicę, to miał możliwości. Zachodnie wywiady nie próżnują, penetrują teren i czekają na takie okazje.

Smolar nic nie mówił, ale wyraźnie spodobał mu się podsunięty przez prokuratora nowy wątek śledztwa, więc uśmiechnął się pod wąsem. To byłby mocny gwóźdź do trumny jego wroga. Oficjalnie jednak, aby pokazać wszystkim, że pomimo, iż Wrzos nadużył jego zaufania - okradał spółdzielnię, która była jego dziełem, nadal życzy mu dobrze i nie wierzy w to, że mógłby zrobić coś tak głupiego i ohydnego.

- Nie przesadzajmy, panowie – powiedział. – Szpiegostwo na rzecz obcego państwa, to sprawa gardłowa. Nie wierzę, że Wrzos potrafiłby się na to ważyć.

- A ja nie jestem tego taki pewny – upierał się Mika. Zawsze był dobrym psychologiem i dzięki temu szybko piął się do góry. Niektórzy już dzisiaj przepowiadali, że w takim tempie, za kilka lat, wdrapie się na stanowisko sekretarza generalnego.

- Trzeba będzie go dokładnie prześwietlić, żebyśmy się później nie musieli wstydzić i nie wylądowali z ręką w nocniku, gdy my go wypuścimy, a prawdę odkryje ktoś inny.

Czuł, że mówiąc w ten sposób, zyskuje przychyłność Smolara i Kuźnickiego. Oni mieli mocne plecy w kręgach rządowych w Warszawie, a takich ludzi warto trzymać po swojej stronie. Mika rozgryzł ich od pierwszej chwili i wiedział, że najchętniej, gdyby mogli, utopiliby Wrzosa w łyżce wody. Wiedział, że Smolar udaje człowieka wielkodusznego, ale w rzeczywistości jest twardym i bezwzględny graczem. Człowiekiem pozbawionym najmniejszych skrupułów, potrafiącym po trupach dążyć do wyznaczonego celu. Z obdarzonym podobnymi cechami Kuźnickim dobrali się, jak w korcu maku i dlatego od lat trzymali się ra-

zem.

Dwie godziny później Mika zgrabnie podsunął ten pomysł komendantowi służby bezpieczeństwa. Tamten chwycił przynętę, chociaż sprawa bardziej dotyczyła kontrwywiadu wojskowego, ale on także miał w Łabędach swoich ludzi. Wykrycie szpiega w fabryce czołgów, to byłoby piękne osiągnięcie. Sekretarz dał mu wyraźnie odczuć, że zależy mu na tym, aby Wrzosowi, który już siedział za oszustwo, także i pod tym kątem został dogłębnie prześwietlony. Zasugerował nawet, że sprawą, osobiście, jest zainteresowany wicepremier Wolski i wiceminister spraw wewnętrznych, Kłos.

„Wyświadczyć przysługę takim ludziom, to byłaby pierwszorzędną sprawą” – myślał komendant i postanowił zaraz w poniedziałek nadać sprawie właściwy bieg.

Zdecydował, że osobiście sporządzi notatkę z uzyskanej informacji z klauzulą ściśle tajną i na tej podstawie zleci swojemu najbystrzysznemu oficerowi założyć teczkę operacyjnego rozpoznania kryptonim „Kret w Łabędach”.

Rozdział 9

Komendant Zakładu Karnego w Bytomiu, pseudonim Zakuty Łeb, był starym, twardym klawiszem z trzydziestoletnim doświadczeniem zawodowym. Na początku swojej kariery, przez dziesięć lat tyrał, jako zwykły strażnik z najniższym stopniem zaszeregowania. Ponieważ nie grzeszył błyskotliwością, długo zdobywał uznanie przełożonych. Przeskakiwali go młodszy od niego. Ale po tym czasie zaczął powoli, krok po kroku – przestrzegając przepisów i trzymając swoich podwładnych żelazną ręką – piąć się do góry. Niektórzy już dzisiaj przepowiadali, że w takim tempie, za kilka lat, wdrapie się na stanowisko sekretarza generalnego.

W robocie było prościej. Wystarczyło słuchać poleceń stojącego na szczycie drabiny służbowej dyrektora, przestrzegać

jasnych przepisów i trzymać ludzi za mordę twardą ręką. Wtedy wszystko szło jak trzeba i nie było problemów.

Za oknem padał śnieg i wiał mroźny, ostry jak nóż, porywisty wiatr. Komendant siedział w wygodnym fotelu, za szerokim biurkiem. Rozkoszował się smakiem mocnej kawy i spoglądał przez kraty na otoczony wysokim płotem z grubej, metalowej siatki i drutu kolczastego więzienny spaceriak, który o tej porze był pusty i przykryty cienką poduszką, padającego nieustannie od kilku godzin drobnego śniegu.

Przed nim na stole leżały akta nowego tymczasowo aresztowanego przestępcy, przywiezionego tutaj prosto ze szpitala więziennego. Zakuty Łeb podniósł słuchawkę telefonu i nie przedstawiając się, powiedział do niej jedno słowo:

- Wprowadzić! – Był zaintrygowany i ciekawy, jak wygląda człowiek, który z oficera milicji i pilota, przez głupią zachłanność, stoczył się na same dno.

Drzwi gabinetu uchyliły się i pojawił się w nich olbrzym, ważący sto pięćdziesiąt kilogramów, dwumetrowy strażnik. Olbrzym ten, na dorocznym pikniku funkcjonariuszy służby więziennej i ich rodzin potrafił, jedną ręką, oderwać od ziemi i dźwignąć do góry beczkę piwa. Za nim wszedł - wyglądający przy funkcjonariuszu jak niedożywiony dzieciak, chociaż także nie był ułamkiem – mężczyzna w więziennym drelichu.

Komendant przyjrzał mu się uważnie. Fachowym okiem ocenił go na góra pięćdziesiąt kilka lat i, z jakiegoś powodu, uznał, że najprawdopodobniej zła sława, kreująca go na wielkiego cwaniaka i wicherzyciela, która nie wiadomo skąd dotarła tutaj przed nim, jest najprawdopodobniej trochę przesadzona. Dlatego postanowił na razie ukazać mu łagodniejszą stronę swojego oblicza.

- Panie Wrzos, witamy w naszych skromnych progach – żartował. – Postawię sprawę jasno. Tutaj jest kryminal, do którego trafiają przestępcy z całej Polski. Mamy wielokrotnych morderców z wyrokami śmierci i karami dożywotniego więzienia oraz wszelkiej maści zbrodniaków i zbrodniarzy. Trafiają tutaj, bo specjalnie uszkadzają sobie ciała, połykają różne cholerstwa, aby leczyć się w naszym więziennym szpitalu, gdzie mogą brandzłować się do woli, patrząc na krzątające się po korytarzach pielęgniarki. W ten sposób urozmaicają sobie długie wyroki. Dla nich poderznąć komuś gardło kawałkiem zardzewiałej blachy lub rozpruć mu brzuch, to pestka. Zrobią to dla rozrywki. Dlatego musimy wszystkich więźniów bez wyjątku trzymać twardo za mordy. Nie ma zna-

Kazachstańskie losy rodziny Bańkowskich z Jasiońca na Wołyniu

Arkadiusz Szymczyna

13 kwietnia mija 76 rocznica tzw. drugiej deportacji. Tego dnia 1940 r. Sowieci wywieźli z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej 60667 osób do Kazachstanu, z czego ponad 80% stanowili Polacy.

Wśród osób zesłanych do Kazachstanu w kwietniu 1940 r. była rodzina Bańkowskich z Jasiońca w powiecie sarneńskim. Małeńka wieś licząca kilka domów położona była na pograniczu województwa wołyńskiego i poleskiego, na trakcie pomiędzy Dąbrowicą, gdzie swoją siedzibę miały władze gminne, a obrzeżami Wysocaka. Z jednej strony rozciągały się lasy majątku Worobiny, natomiast od strony Lutyńska i Sielec rozciągały się podmokłe łąki.

We wsi była szkoła, do której uczęszczało kilkoro dzieci. Nie było natomiast kościoła. Rodziny na mszę świętą chodziły do Dąbrowicy oddalonej od Jasiońca o 10 km.

Małżeństwo Bazylego i Marii Bańkowskich (z domu Aleksandrowicz) miało pięcioro potomstwa. Najstarszy był Władysław urodzony w 1922 r., a następnie Kazimierz (1925 r.), Janina (1929 r.), Jan (1932 r.) i Aleksander (1934 r.).

Gospodarstwo Bańkowskich stanowiły zabudowania wiejskie

charakterystyczne dla tego okresu na wschodzie II Rzeczypospolitej. Dom był drewniany i kryty strzechą. Miał dużą izbę z drewnianą podłogą oraz kuchnię wraz z piecem chlebowym. W stajni i oborze Bańkowscy trzymali parę koni, dwie krowy, świnie oraz kury i kaczki. Rodzina utrzymywała się z pracy na roli. Zboże, drób, mleko, jaja, śmietanę i ser sprzedawano lub wymieniano na targu na rzeczy codziennego użytku. Natomiast w spiżarni przechowywano warzywa, ziemniaki, mąkę i mięso. Zapasy musiały rodzinie wystarczyć na okres zimy, która była długa i sroga.

Dom Bazylego sąsiadował przez podwórko z zabudowaniami jego brata Grzegorza, z którym mieszkała ich matka. Sąsiadami Bańkowskich byli m.in. Paulina i Piotr Czeszejko, Cezaria i Mojżesz Bańkowscy, Narcyz Bańkowski, Roman Szafranski oraz Maria i Bronisław Turowscy.

Przed wybuchem II wojny światowej Bazyle Bańkowski służył w kawalerii. Podczas kampanii wrzesniowej walczył w obronie ojczyzny broniąc przed Sowietami wschodnich granic Polski, za co kilka miesięcy później NKWD go aresztowało i wywiozło w nieznanne miejsce.

W lasach worobińskich mieszkał starszy brat Bazylego, leśniczy Maciej wraz z żoną Czesławą i



/ Lukasz Bańkowski skazany przez władze sowieckie na 10 lat łagrów

już w podeszłym wieku i bardzo schorowana” – opowiada pan Aleksander Bańkowski.

trójką dzieci Józkiem, Michałem i Stefanem. Po wkroczeniu Armii Czerwonej na Kresy Wschodnie sytuacja stała się dla nich na tyle niebezpieczna, że postanowili przenieść się i zamieszkać w rodzinnym domu w Jasiońcu.

Aresztowaną rodzinę z Jasiońca zawieziono na stację w Dąbrowicy, gdzie czekał podstawiony skład. Bańkowscy czekali na bocznicę prawie dwa tygodnie zanim pociąg zapełnił się polskimi zesłańcami i ruszył w nieznaną. W tym czasie musieli radzić sobie sami, w niecodziennych warunkach, organizując posiłki i pokonując trudności natury sanitarno-higienicznej. Wagon miał po obu stronach zamontowane piętrowe łóżka tzw. nary, na których rodziny mogły się ulokować. Dzieci i sprawniejsze osoby spały na górze, natomiast starcy i schorowani na dole. Żywność donosili im ludzie z pobliskich miejscowości, gdyż sami mieli zakaz opuszczania pociągu. Żołnierze pilnowali ich chowając się w przywagonych budkach (tzw. brekach). Co jakiś czas przesiadłcom dostarczano gorącą wodę z parowozu (kipiatok) i bardzo wodnistą zupę (galop zupkę).

Dwa tygodnie po aresztowaniu Bazylego, 13 kwietnia 1940 r. nad ranem Rosjanie zabrali pozostałych członków rodziny. „Stukali do okna. Mama myślała, że to ojciec wrócił i otworzyła drzwi. Zobaczyła kilku sowieckich żołnierzy, którzy kazali nam natychmiast się ubierać i szykować do drogi. Pozwolili zabrać z domu jedynie pierzynę, trzy poduszki, po jednym garnku i patelni oraz drewnianą skrzynię. Mamie zabroniono wchodzenia do komórki, gdzie były zapasy żywności. Zebrany sprzęt układaliśmy na furmance. Mnie, jako najmłodszego, mama okryła pierzyną, a sama wraz z innymi usiadła na wozie. Wszyscy bardzo płakaliśmy opuszczając rodzinny dom. Strażnik nas pocieszał mówiąc, że jedziemy do miejsca, gdzie czeka nasz ojciec. W tym dniu Sowieci nie zabrali z domu naszej babci Anny Aleksandrowicz, która była

miasta południowej Syberii. W końcu dotarli do Kazachstanu. Wraz z sześcioma innymi polskimi rodzinami zostali osiedleni niedaleko miejscowości Bogodukhovka, w rejonie Kellerovskim położonym w obwodzie północnokazachstańskim, który w 1944 r. został przemianowany na kokczetawski. Rodzina zamieszkała u jednej z kirgiskich rodzin i została zatrudniona w kolchozie „Sarbay”. Pani Janina Bańkowska opowiada: „Trafiłszy do rodziny starego Kirgiza Bułata Sartajewa, który chodził na co dzień z wielką wełnianą czarną czapką na głowie. Wybrał nas spośród innych rodzin jak na targu niewolników. Później okazało się, że byli to biedni, ale bardzo dobrzy ludzie. Kirgiz miał żonę i sześcioro dzieci. Wśród nich dwóch synów Pridona i Satolina, którzy pracowali w kolchozie. Z czasem nasze rodziny zaprzyjaźniły się i razem pomagaliśmy sobie w gospodarstwie i życiu codziennym. Starzec jako jedyny w rodzinie mówił po rosyjsku, natomiast jego żona i dzieci tylko po kirgisku”.

Miejscowość, do której trafiła rodzina Bańkowskich była jedną z wielu wsi rozsianych na bezkresnych stepach Kazachstanu. Zamieszkiwało ją ok. 30-40 rodzin wielodzietnych, które pracowały w miejscowym kolchozie, młynie i mleczarni. Domy tubylców budowane były z gałęzi przeplatanych między sobą i oblepionych gliną. Przy ziemiankach znajdowały się przybudówki, w których trzymano bydło, konie i owce. Konstruowano je z patyków i trawy stepowej.

Dom Kirgiza, u którego zamieszkał Bańkowski, zbudowany był z dwóch izb. Jedna z nich z zabudowanym kotłem i piecem kuchennym, udostępniona była zesłańcom. Pan Aleksander wspomina: „W środku mieliśmy prymitywne wyposażenie. Mebli praktycznie nie było, wykorzystywaliśmy za to gałęzie, kamienie i glinę. W rogu pomieszczenia stała beczka wypełniona wodą. Zimą zamiast nosić ją ze studni przynosiliśmy śnieg. Jeden brat spał na piecu, drugi we wnęcie za piecem, a ja z mamą i siostrą kładliśmy się na pryczy. Trzeci brat swoje posłanie miał na drewnianej skrzyni, którą przywieźliśmy z Jasiońca. Zimą, gdy temperatura na zewnątrz spadała do -40°C Kirgizi wprowadzali do naszej izby cielaka i stawiali przy skrzyni obok legowiska brata, który musiał doglądać zwierzę. Krowy także dojono 2 razy dziennie w naszej izbie. Żona Sartajewa myła im wymioną i suszyła, bo bała się, że zamrzną. Stary Kirgiz wybudował obok domu szopę z przeplatanych gałęzi, którą w okresie zimowym udostępniał Żydom przywożącym do wsi kontyngent. Podróżni nocowali w izbie wraz z gospodarzami, a 3-4 furmanki ciągnięte przez karłowate konie trzymali w szopie. Rano Żydzi odjeżdżali, a po jakimś czasie na ich miejsce przyjeżdżali inni”.



/ Adriana żona Władysława Bańkowskiego



/ Rodzina Bańkowskich w osiedlu polskim w Lusace w Rodezji Północnej, Afryka, 17 maja 1945 Africa.

fista. Brał udział w forsowaniu Wisły. Zaraz po wojnie zamieszkał w Warszawie. Natomiast jego rodzice osiedlili się w Kietrze. W trakcie jednej z jego wizyt u mamy, poznaliśmy się. Po ślubie zamieszkaliśmy w zrujnowanym domu wraz z teściami. Mąż zmarł w 1995 r.” – opowiada pani Janina.

Dzięki namowom siostry i szwagra Aleksander Bańkowski postanowił zostać krawcem. Uzyskał

dplom czeladniczy i rozpoczął pracę w Spółdzielni Pracy Krawieckiej „Jedność” w Pietrowicach Wielkich. Następnie pracował u szwagra w warsztacie krawieckim. W 1954 r. poszedł do wojska. Służył w pułku karnym dla oficerów pod Gubinem, w kompanii łączności. W wojsku „szlifował” również swoje umiejętności krawieckie. „Gdy w wojsku pisałem swój życiorys w dokumencie umieściłem informację, że zostałem w 1940 r. wy-

wieziony na Sybir. Natychmiast zostałem wezwany do kancelarii po to, aby zmienić w życiorysie na wyjechałem do ZSRR” – mówi pan Aleksander.

W 1958 r. Aleksander Bańkowski ożenił się ze Zdzisławą Gadziałą i zamieszkał wraz z teściami w domu przy ul. Żeromskiego w Kietrze. Podjął także pracę w kietrzańskim „Welurze” – Fabryce Dywanów i Pluszu. „Przez osiem godzin dziennie pracowałem w



/ Władysław Bańkowski, zesłaniec do Kazachstanu, żołnierz Armii Andersa i polski osadnik w Argentynie

fabryce, a po południu chodziłem do zakładu krawieckiego na następne 10 godzin. Pracowałem tak przez wiele lat, dzięki czemu mogłem wybudować nowy dom. Urodziła mi się dwójka dzieci, córka Jadwiga i syn Mirosław, który zmarł w młodym wieku” – mówi pan Aleksander.

Państwo Bańkowscy byli jedną z tysięcy Polskich rodzin zesłanych przez sowiecki reżim w stepy Kazachstanu. Na Kresach Wschod-

nich II Rzeczypospolitej utracili dom i cały swój majątek. Przez sześć lat ciężko pracowali w kołchozie na „niehumanitarnej ziemi”. Po wojnie jako nowi osadnicy i ofiary systemu jałtańskiego osiedlili się na ziemi głubczyckiej. Historia ich życia jest przykładem tragicznych losów polskich zesłańców.

Wywiad z Janiną Pochwałą i Aleksandrem Bańkowskim przeprowadziła Małgorzata Szymczyńska. Kietrz, 27 lutego 2016 r.

Historia rodziny Jezierskich

Ryszard Jezierski

Jak pisze nasz ojciec, nasz przodek Ignacy Jezierski urodził się około 1820 r. na Podlasiu lubelskim. Do Porycka przyjechał w roku 1840, prace rozpoczął hrabiego Czackiego, po pewnym czasie został marszałkiem dworu. Za swoją pracę otrzymał od hrabiego dom z ogrodem w Starym Porycku.

Ożenił się z Antoniną córką rządcy ze Starego Porycka. Zmarł dość młodo i został pochowany na cmentarzu w Porycku Pawłówce. Żona Antonina urodziła pięcioro dzieci; Marię, Józefa, Franciszka, Bronisława i Anastazję. Maria była u stryja Franciszka w Warszawie na wychowaniu, tam wyszła za mąż za Tura herbu Korczak. Zmarła w Krakowie, pochowana w grobowcu rodzinnym na Powązkach w Warszawie. Emilia wyszła za mąż za Rosakiewicza i wyjechała do Rosji. Po rewolucji już nie dali znaku życia, Średni brat Franciszek zmarł w młodym wieku, pochowany w Pawłówce. Bronisław zginął na wojnie Rosyjsko Japońskiej. W domu osta-

tecnie pozostał tylko nasz dziadek Józef Jezierski, urodzony w 1864 roku w Starym Porycku, i to on otrzymał w spadku dom po rodzicach wraz z ogrodem.

Pracował w majątku hrabiego Czackiego jak jego ojciec, tylko, że jako kołodziej. Ożenił się z Jadwigą Ulanowską z okolic Porycka, zamieszkali w starym domu, razem z prababką, Antoniną. Prababka Antonina zmarła kilka lat po mężu i jest pochowana w rodzinnej mogile, Jezierskich pochowanych na cmentarzu w Porycku Pawłówce. Pochowany tam jest też średni brat mojego naszego (imienia nie pamiętam). Nasz ojciec Aleksander Jezierski urodził się w 1898 roku, a jego młodszy brat Eugeniusz w 1910r., był jeszcze jeden brat, zmarł w młodości. Aleksander do 1915r. uczył się w szkole rolniczej w Cholenderni. Czym zajmował się najstarszy brat Kazimierz ojciec nie wspomina (pamiętajmy, że działo to się pod zaborem rosyjskim). Po ukończeniu szkoły Aleksander jakiś czas pracował w majątku Stary

Poryck, ale tamta praca mu nie odpowiadała. Dalej trwała wojna pomiędzy polskimi zaborcami, Niemcami, Rosjanami i Austrią. Front zbliżał się do Porycka. Rodzina Jezierskich postanowiła uciekać w głąb Rosji.

15 roku wraz z całą rodziną Józef Jezierski, uciekając przed niemieckimi wojskami które zbliżały się do Porycka, jedzie w głąb Rosji. W Rosji zatrzymuje się w powiecie Winnickim, rozpoczyna prace w cukrowni Gniewań. W cukrowni pracował dziadek Józef, synowie Aleksander i Kazimierz. W 1917r. Aleksandra powołali do Carskiej armii skąd po pół roku uciekł.

Od 1919 roku. Kazimierz służył w Polskim wojsku u gen. Dowbora Muśnickiego. Niemcy Kazimierza rozbroili i wraz z Aleksandrem wrócili do Gniewania, ojciec pracował dalej w cukrowni, a synowie chodzili do lasu zrąbać drzewa. Był to (1917) okres bolszewickiej rewolucji, władze ciągle się zmieniały, W 1919 roku Aleksan-



dra i Kazimierza Bolszewicy powołali do czerwonej Armii do 58 pułku Kijowskiego ochrony kolei. Pułk został przeniesiony do Owrucza, a pod koniec 1919 roku przeniesiono go na Polski front. I tu zaczęła się tragedia, połowa kompanii to byli Polacy, a front stał koło Turowa. Kazimierz z kilkoma kolegami jednej nocy przeszli na polską stronę. Za kilka dni Aleksander miał z kolegami też przejść linie frontu, nie udało się bo pułk przeniesiono na Wołyń. Aleksander w pułku był dostawcą prasy, pojechał po prasę i więcej do pułku nie wrócił. Był to już rok 1920 Piłsudski szedł na Kijów. Powstała możliwość powrotu do Starego Porycka. W połowie czerwca 1920 roku, po wojennej tułaczce znów Rodzina Jezierskich była w domu, niestety Kazimierz zaginął nawet nie wiadomo gdzie został pochowany. W 1920 latem wrócili do Porycka Bolszewicy ale szczęście nie na długo. Zimą mieszkali już w nowej niepodległej nie znanej nam dotąd Polsce.

Nowa rodzina Jezierskich.

Po ślubie w koście poryckim, nowa rodzina Jezierskich Kazimiera- Bańcer i Aleksander Jezierscy, zamieszkali w Starym Porycku w domu Jezierskich. Tam się urodzili synowie : Ryszard 1930. I Mieczysław 1931. Ojciec Aleksander pracował w Macierzy szkolnej, a mama zajmowała się synami. W 1936 roku ojciec zbudował dom w Pawłowce- Porycku. I od tego czasu młodzi wraz z dziećmi zamieszkali w Porycku. Ojciec założył warsztat stolarski. Tam zatrudniał uczeni i czeladników. Wykonywali różne meble, oraz drzwi i okna do nowych domów, z okolic Porycka. Aleksander jednocześnie był radnym w gminie Poryck i naczelnikiem straży pożarnej. Ja Ryszard i brat Mieczysław chodziliśmy do Szkoły Powszecznej. Szkoła mieściła się w Holenderni. Co roku jeździliśmy do dziadków na wakacje do Karnkowa.

Tak też było w lipcu i sierpniu 1939 roku. Kilka dni przed 1 września, w radiu (u dziadka Bańcera w Karnkowie) słyszeliśmy nie dobre komunikaty, o stosunkach polsko niemieckich. A przed dzień wojny dziadek kazał nam się spakować, powiedział byśmy jechali do Porycka. I tak się stało, w dniu 1 września dziadek odwiózł nas (mama, Mietek i ja Rysiek) na stację do Skępego. Pociąg z Torunia przyszedł z małym opóźnieniem. Był trochę zatłoczony, jechały nim już rodziny z wybrzeża (uciekinieryzy). Jakoś znaleźliśmy jeszcze miejsce w przedziale II klasy, było nas z dziećmi 10 osób. Pociąg szedł

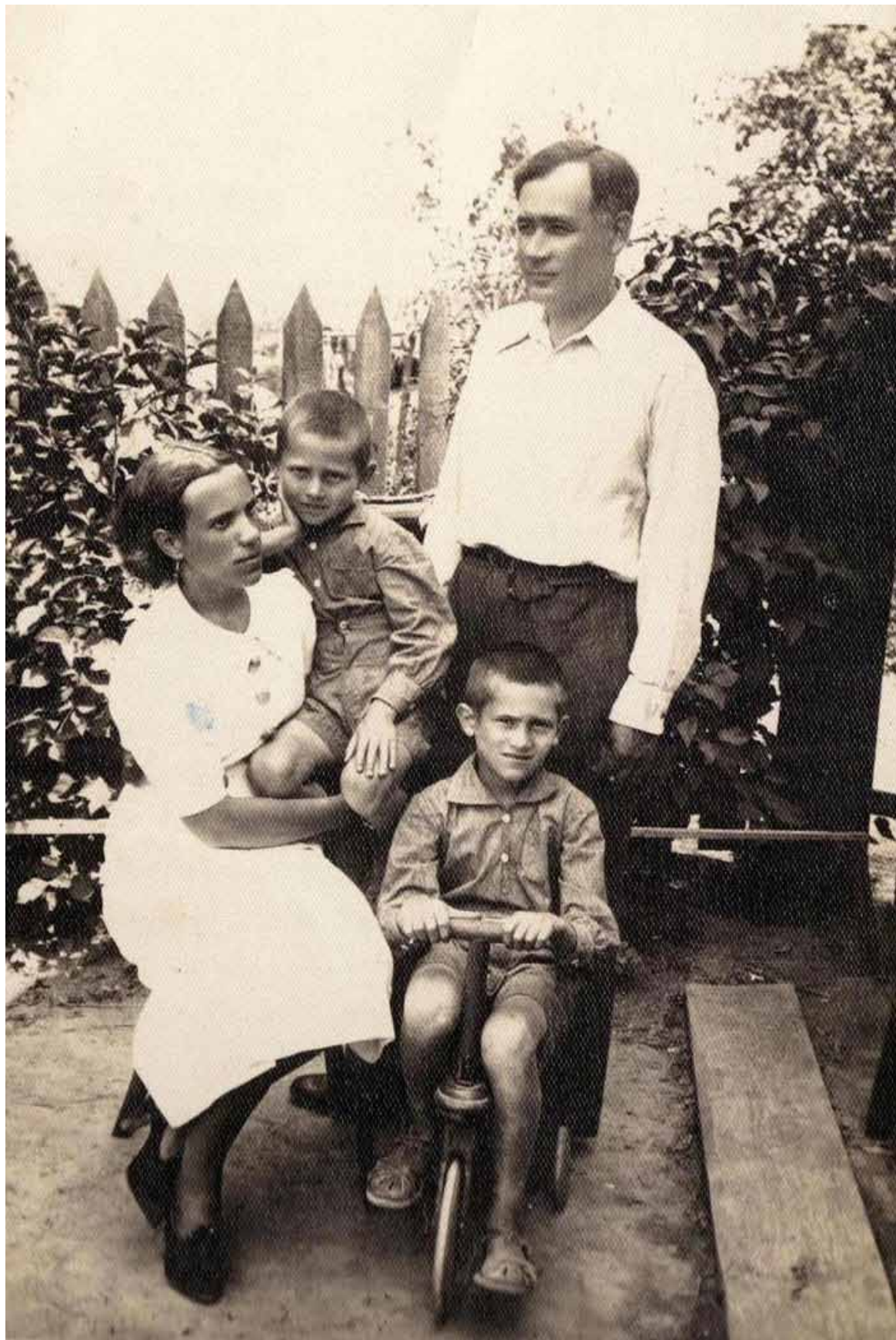
nawet dość szybko, ale przed Nasielskiem już musiał czekać pod semaforem. Następny dość długi postój pod semaforem był pod Modlinem. Tu staliśmy z godzinę, obok nas przepuszczano pociągi towarowe. Po wjeździe na stację w Modlinie okazało się, że torowiska są sanitarkami, samochodami i armatami.

Sowiecka okupacja: 20 września 1939 roku. Do Porycka weszły wojska Sowieckie.

W Porycku stanął garnizon sowiecki, byli to saperzy, tak mówili starsi ludzie. Usunęli wszystkich mieszkańców z budynków obok pałacu, zajęli pałac i budynki gospodarcze, w dawnym budynku policji umieściło się NKWD. W budynkach obok kościoła zamieszkali oficerowie Sowieccy. Plebania została przydzielona, Żydzikom jako szkoła, a ksiądz przeniósł się do organisty. Zdaje mi się, że od 1-go października poszliśmy z Mietkiem i innymi dziećmi do szkoły do (3 klasy), nauka rozpoczęła się w języku rosyjskim. Wychowani wśród Ukraińców rozumieliśmy ich język, nawet trochę mówiliśmy, ale rosyjskiego to nie znaliśmy a zwłaszcza w pisowni. Tak, że w szkole uczyliśmy się pisać po rosyjsku, rozmawiając po polsku, lub po ukraińsku, był taki ogólny galimatias językowy. Prawie przez pierwszy rok nie było książek nie mówiąc już o zeszytach, te były reglamentowane, nie było gumek, a jak były to takie jak mówiliśmy z „kartofla”. Szkoła nazywała się teraz (dziesiętiletka), z nami razem chodziły dzieci, rosyjskich urzędników i wojskowych. Obok budynku nowej szkoły była strzelnica (dawna po POW), teraz tam strzelali „bojcy” żołnierze sowieccy całymi dniami słychać było strzały z karabinów i automatów, a to było od okien klasy jakieś 50m. A trochę dalej zrobili sobie ujeżdżalnie koni, tam chodziliśmy na długie przerwy, oni jeździli na koniach i ścinali wiklinowe pakiety szabłami..

Nas nie wywieziono na Sybir, ale kilka polskich rodzin i kilka ukraińskich wywieźli, ale nazwisk nie pamiętam. Pamiętam, że w Porycku był tylko jeden sklep (kooperatywa), Pamiętam jak mama nas z Mietkiem po coś posłała, ludzi było dużo, staliśmy długo w kolejce i kupiliśmy suszone ryby, bo już nic więcej nie było. Ubrań też nie było, pamiętam jak prababcia przerabiała nam jakieś stare ciuchy na ubranka.

Pamiętam, że w szkole kazano nam pisać listy do rosyjskich dzieci gdzieś daleko w Rosji. A my pisaliśmy na kartkach i w kopertach, natomiast listy od nich to była kartka złożona w trójkąt była jednocześnie to koperta. Pamiętam jak przychodził nauczyciel, chyba znajomy ojca, i mówił, że źle się uczymy rosyjskiego, że za to mogą



nas wywieść do Rosji. Tata dał nam lanie i jakoś brnęliśmy dalej z tym rosyjskim. W ostatnie dni przed 21 czerwca 1941r. zauważaliśmy jak jakieś samoloty przelatywały bardzo wysoko nad Poryckiem. Pokazywaliśmy je kolegą Rosjanom, to oni mówili (eto nasi lotczyki letajut). Jak się potem okazało były to Niemieckie samoloty zwiadowcze. Nic nie zapowiadało wybuchu wojny z Niemcami, bo jak ojciec mówił (bojcy) dalej wyjeżdżali na urlopy, ojciec robił im walizeczki drewniane prawie do ostatniego dnia przed wybuchem wojny z Niemcami.

To ostatnie nasze rodzinne zdjęcie z Mamą, koniec maja 1943 rok.

zdjęcie na to wyraźnie wskazuje że mama była już poważnie chora. Zrobione przed barakiem w którym mieszkaliśmy po spaleniu naszego domu przez wojsko niemieckie. Jeszcze jakiś czas mieszkaliśmy z tatą, w baraku razem z polskimi i ukraińskimi

rodzinami. Ale bandy UPA coraz częściej zaglądały pod nasze domy, przychodzili do swoich znajomych. Niby w odwiedzinach sąsiedzkiej, ale wypytywali jacy to Polacy mieszkają w baraku. Wówczas my z tatą przeprowadziliśmy się na Michałowkę do wuja Palinki. Tam był duży dom i mieszkało kilkanaście osób z rodziny. Tata myślał, że w takim większym gronie Polaków będzie bezpieczniej, jednak się mylił.

Mord Polaków w kościele w Porycku

Palinko, był stryjecznym wujem mojego ojca, miał już koło 75 lat, jak pamiętam to od zawsze był kościelnym. Tego **rana 11 lipca 1943 roku**, spotykając mojego ojca powiedział, ale mamy ładną pogodę, (nie było żadnej chmurki na niebie) będzie dużo ludzi w kościele, bo i to chyba ostatnia niedziela przed zniwami.

Poszedł do kościoła. My z tatą i

Tośkiem Gąsiorowskim poszliśmy na sumę (to tak na 1100 godzinę) do kościoła. Mama Tośka była w innej wsi u znajomych, a siostra [nie pamiętam jej imienia] poszła do kościoła z koleżanką. Jak zwykle my z Tośkiem stanęliśmy przed ołtarzem po lewej stronie, stało tam jeszcze kilku chłopaków. Dziewczyny stały po prawej stronie ołtarza. Tata zawsze stawał przy oknie na korytarzu, (kościół w Porycku miał krużganek w okół kościoła) patrząc prosto na ołtarz. W kościele jak spostrzegłem było dość dużo ludzi. Były tam całe rodziny, z małymi dziećmi na rękach.

Wuj Palinko (kościelny) zadzwonił sygnaturką, a po chwili wszedł ksiądz Szawłowski z ministrantami, rozpoczęła się suma (nabożeństwo).

Już nie pamiętam, w jakim momencie, ktoś wszedł do kościoła i krzyknął Ukraińcy- UPO-wcy są przed kościołem. Zrobiło się ogromne poruszenie, ludzie zaczęli biegać, (do drzwi i z po-



wrotem do ołtarza) dzieci płakały. Ale msza trwała nadal. Dopiero gdy otworzyły się główne drzwi i z nich zaczęto strzelać z karabinu maszynowego, zrobił się popłoch, ogromny krzyk i lament. Ludzie biegali tam i z powrotem, padali, klękali, modlili się i krzyczeli, a najwięcej było słyszeć krzyki małych dzieci. Nie pamiętam już jak, ale zgubiłem gdzieś w tłumie i ścisisku Tośka. Zacząłem uciekać do drzwi wejściowych bocznych, przy drzwiach powstał ścisk i zamieszanie. Jak potem zrozumiałem to ojciec mój odwrotnie, po usłyszeniu strzałów wchodził z korytarza (krużganku) do kościoła, i jakimś cudem spotkali się tuż pod chórem. Ojciec złapał mnie za rękę i pociągnął do wierzy i schodami na chór. (Karabin maszynowy cały czas strzelał) i słyszeć było pojedyncze strzały karabinowe. Tam już był Pan Zegarski, [organista] i jeszcze parę osób (nie pamiętam już ich nazwisk). Byli to znajomi mego ojca. Oprócz mnie było tam jeszcze kilka małych dzieci.

Ojciec z Zegarskim pamiętali, że drzwi z wieży na poddasze krużganków, zostały zamurowane tylko na płaską cegłę i to na glinę, bo nie było wówczas cementu. Ponieważ nie było żadnych narzędzi, tata z Zegarskim scyzorykami zaczęli dłubać glinę i

cegły zaczęły się ruszać, tak jedna po drugiej dłubiąc usuwano. Zrobiono nie wielki otwór i wszyscy obecni weszli na poddasze. Ktoś ostatni założył otwór cegłami. Było nas jak pamiętam kilka może z 15 osób w tym małe dzieci. Biegliliśmy poddaszem aż do drugiej wierzy w której (wiedzieliśmy) że nie było tam schodów. W szybkim biegu przeszkadzały nam grube belki, podtrzymujące zadaszenie. Ale dzięki tym belkom mieliśmy się potem za czym później schować. Biegając słyszeliśmy cały czas, jak strzelał karabin maszynowy i wtórowały mu pojedyncze wystrzały oraz wybuchy granatów. Nie zdawałem sobie sprawy, co się tam dzieje, ojciec ani znajomi nie zabierali głosu, nie mniej byli wystraszeni jak ja.

Schowaliśmy się za ostatnią belką rusztowania i siedzieliśmy jak myszy, cicho i z zapartym tchem. W okuł nas było ciemno, gdyż jak już wspominałem nie było schodów z tej wieży. Wejście do wieży było zamurowane. Po jakimś czasie zobaczyliśmy w poświacie okna nad zakrystią, dwie postacie idące w naszą stronę. Byli to mężczyźni z karabinami szli w naszym kierunku.

Zrobiło się małe poruszenie, ale tata powiedział siedźcie cicho to może nas nie zauważą. Wszyscy myśleli to samo, że może nas już

odkryli. Dreszcz przeszedł chyba wszystkim po plecach. Jeszcze bardziej przylepił się do belek i czekaliśmy, co będzie dalej. Oni uszli jeszcze z parę metrów, przechodząc przez belki poddasza i stanęli nad słuchując, a my wstrzymaliśmy oddech. Po paru minutach tak silnego napięcia odetchnęliśmy, zauważyliśmy że oni (a byli to najpewniej mordercy z kościoła) zawrócili i odchodzą, a my odetchnęliśmy. Zostaliśmy na razie uratowani przez grube belki poddasza. Ale za jakiś czas (może po pół godziny) powietrzem targnął potężny wybuch, aż strop pod nami się zatrzęsł, nie wiedzieliśmy co się dzieje. Za chwilę do wierzy zaczął napływać czarny dym swąd palonej słomy. Tata domyślił się, że pewnie to „UPO-wcy” wysadzili ołtarz lub katakumby hrabiów Czackich. Gdy byliśmy zajęci ostatnimi prze-

życiami i podsłuchiowaniem co dzieje się w kościele niespodziewanie zaczęło grzmieć i błyskać. Spadł duży (ulewny) deszcz, słyszeliśmy jak dudnił o blachę dachu. Bardzo głośno grzmiało. Okazało się, że burza była gwałtowna i trwała krótko, ale to wystarczyło by „UPO-wcy” wynieśli się z kościoła.

To już było około czwartej godziny po południu. Takie było nasze napięcie przez ten czas, że nie liczyliśmy ile to wszystko trwało. Ktoś wszedł od zakrystii i powiedział nam, że Ukraińców już nie ma w kościele.

Nie chcieliśmy uwierzyć. Pomalutku z duszą na ramieniu zaczęliśmy przechodzić przez belki w kierunku wyjścia, do naszej dziury w tamtej drugiej wieży. Wchodząc na schody wieży zobaczyłem pierwszą ofiarę, była to zamordowana kobieta. Leżała na krętych schodach i to pamiętam głową w dół, nie żyła a kałuża krwi ściekała aż na dół schodów do kościoła.

Wychodząc z wieży do kościoła zobaczyliśmy, co się stało, ogarnęło nas przerażenie i strach. Na posadce kościoła leżała biała powłoka i ludzie byli cali biali. Okazało się, że jak UOP-wcy zapalili słomę by zdetonować pocisk artyleryjski (pocisk miał zniszczyć ołtarz) nastąpił

wybuch to posypał się tynk wapienny z sufitu i ścian kościoła. Ten pył pokrył wszystko białym proszkiem i kawałkami tynku (posadzkę i ludzi). Wybuch nie zdołał zniszczyć ołtarza. Tylko nadpalone zostały stopnie przed ołtarzem i dywany. Dużo ludzi leżało w kałużach krwi, inni klęczeli, jeszcze inni wołali o pomoc. Widziałem jak jedni pomagali drugim by się wydostać z pod innych nieżyjących ciał. Jeszcze inni wynosili na rękach swoich zmarłych lub rannych.

Ojciec przerażony tym, co zobaczył, przypomniał sobie, że w kościele był dziadek Józef Jezierski, zaczął go szukać, chodząc od jednych zwłok do innych, ale dziadka nie było ani wśród żywych ani zmarłych. Ojciec pociągnął mnie w kierunku zakrystii. Ale by tam dojść musieliśmy przejść przez kałuże krwi, w której leżały trzy kobiety. Jak mi się zdawało była to matka z córkami. Ojciec wziął mnie na ręce i przeniósł, by nie nadepnąć na leżące kobiety.

Dziadka zobaczyliśmy jak stał schowany za bocznymi drzwiami. Były to duże drzwi, którymi wchodziło się do kościoła i do zakrystii. Dziadek stał za tymi drzwiami jakby nieprzytomny, miał osmalone (nadpalone) wąsy, i nadpaloną marynarkę. Pamiętam jak ojciec powiedział do dziadka, niech tata idzie do domu i powie Gienkowi, (to brat ojca który mieszkał z dziadkami w Starym Porycku) by zabierał rodzinę i niech uciekają w kierunku Sokala.

Po rozmowie z dziadkiem nie poszliśmy do Palinków (na szczęście), ani do naszego pokoju w baraku, chociaż był on po drodze. Poszliśmy w kierunku chutorów pod lasem. Tam ojciec miał znajomego Ukraińca, dawnego sąsiada z Pawłówki Mielniczuka Kiryka i na niego liczył, że nam pomoże. Biegliliśmy opłotkami, unikając spotkania ludzi, tylko psy za nami czekały. Po godzinie takiego biegu skryliśmy się w zagonie żyta (żyto było wysokie, bo to już krótko przed żniwami) i czekaliśmy aż się ściemni by pójść do Kiryka. (To jest imię)

Jak tak cicho trochę drzemiąc siedzieliśmy, raptem usłyszeliśmy głosy Ukraińców, szli obok drogi. Opowiadali sobie jak to „strzelały do lachiw” (strzelali do Polaków) w poryckim kościele. Pochyliliśmy niżej głowy i czekali aż przejdą. Aż tu nagle usłyszeliśmy ujadanie psa, zdrętwieliśmy ze strachu, ale prawdopodobnie był to jeszcze szczeniak. Gdyby to był stary pies to już by było po nas. Zdaliśmy sobie z tego sprawę, dopiero jak Ukraińcy odeszli, a pies przestał ujadać. Prawdopodobnie pies biegał wokół idących, oszczekując swych p

Kiryk nawet mocno się nie zdziwił, wysłuchał ojca o tym co

się stało w kościele. Przyjął nas, do swego domu, nakarmił i przemocował. Ja spałem z jego synem w łóżku a tata w stogu z sianem, tak było bezpieczniej i dla Kiryka i dla nas. Drugiego dnia gospodarz (12 lipca) na prośbę ojca pojechał do Palinków w Porycku i przywiózł nasze spakowane walizki. Jak mówił nie jechał koło kościoła bo się bał, że spotka UPO-wców. Od sąsiadów Palinków dowiedział się kogo z nich zamordowano w Kościele. (zamordowano dziadka Palinkę i jego wnuczkę, a księdza przy ołtarzu tylko raniono). Ojciec jak idąc do kościoła nie miał przy sobie dokumentów ani żadnych pieniędzy, (ale wszystko było w walizce ojca).

Żona Kiryka dała nam chleba na dalszą drogę. Poczekaliśmy aż się zrobiło ciemno, bo mieliśmy przejść przez tory kolejowe, a to była droga Ukraińców, którzy jeździli do Porycka. Poczekaliśmy aż zajdzie księżyc i przebiegliśmy tory.

W Sokalu spotkaliśmy już kilkadziesiąt osób takich jak i my uciekle i w Sokalu nie było spokoju, pewnej nocy obudziły na pojedyncze strzały i ujadanie korabiu maszynowego. Ja się rano dowiedzieliśmy to z komendy niemieckiej policji ukraińska policja uciekła w nocy do lasu z całą swoją bronią, stąd ta nocna strzelanina.

Dygresja

O zamordowaniu dziadków i całej rodziny Jezierskich dowiedzieliśmy się dopiero w latach 1960 tych. Nasz znajomy Afanazy Hoszko Ukrainiec, były pracownik warsztatu w Porycku. Po wojnie zamieszkały na Śląsku. Pojechał w latach 1960 do Porycka odwiedzić rodzinę. Rozmawiał ze swoim bratem Siergiejem i on mu opowiedział, jak zamordowano naszych dziadków ze Starego Porycka.

Otóż naszych dziadków: Józefa i Jadwigę Jezierskich, prababkę Ulanoską oraz stryja Gienka, jego żonę i dwoje nieletnich dzieci zamordowali sąsiedzi **Ukraińcy. Przewodził im Ukrainiec Klim Matwiejczuk sąsiad ze Starego Porycka.**

W domu dziadków była jeszcze rodzina żony stryja. Był tam dziadek i babka Zembrzydca, oraz ich starsza córka z dwójkiem dzieci 12-14 lat, i była tam jeszcze młodsza siostra stryjki. Czyli razem w domu było 13 osób.

Wszyscy zostali zamordowani na podwórku a dzieci utopiono w studni. Stryj Gienek ranny z żoną próbował uciekać, UPO-wcy dogonili ich na wale pomiędzy jeziorem a stawami i tam doбили. Dom został spalony a ich cały dobytek zabrał główny morderca Matwiejczuk.

Ryszard Jezierski

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie!!!

ODZYSKANE OBRAZY MINIONEGO CZASU.....

Zdjęcia poniżej prezentowane zostały zrobione w 1944 r. prawdopodobnie na Lubelszczyźnie maszerującym oddziałom 27 Wołyńskiej Piechoty AK, która wyzwoliła kilka miejscowości między innymi Kock i Firlej. Niestety nie wiemy przez kogo, w jakich okolicznościach i konkretnie gdzie zostały zrobione. Prezentujemy je pierwszy raz dzięki prof. W.Filarowi, który mimo znacznego zniszczenia filmów jednak odzyskał około 50 ujęć. Zdajemy sobie sprawę, że widoczne tu dzieci są już dziś w podeszłym wieku, ale może ktoś siebie rozpozna i podzieli się z nami tą wiedzą (adres w stopce). A może ktoś z potomków maszerujących żołnierzy rozpozna bliską osobę? Jest to pierwsza seria w/w zdjęć i dlatego zapraszamy do oglądania następnych które będziemy publikować w najbliższym czasie.

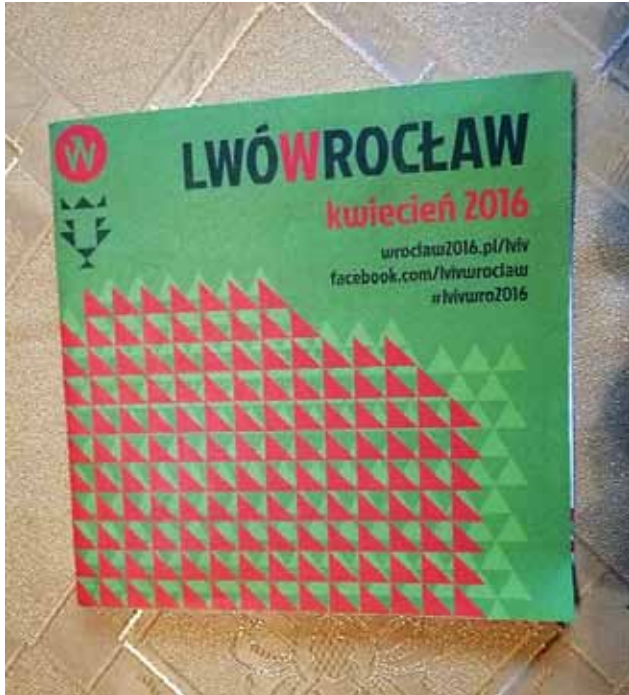


WROCŁAW I LWÓW BRATNIE MIASTA- cz.VIII-MIESIĄC LWOWSKI

Anna Małgorzata Budzińska

Nie tylko ja zauważyłam potrzebę wyeksponowania związków, zależności i współdziałania tych dwóch miast. Pisałam już wiele artykułów na ten temat, a teraz hucznie obchodzi się w naszym mieście miesiąc lwowski. Jest to bardzo cenna inicjatywa i wspaniałe przedsięwzięcie angażujące obie strony- polską i ukraińską. Przecież Wrocław i Lwów to bratnie miasta.

Miesiącem lwowskim we Wrocławiu wybrano kwiecień. W tym roku katolickie Święta Wielkanocne wypadły według kalendarza gregoriańskiego 27 marca, natomiast prawosławna Pascha według kalendarza juliańskiego jest w tym roku 1 maja. Widać więc, że kwiecień nie jest przypadkowym miesiącem- to świetny czas na taką prezentację i symbolicznie łączy te dwie daty.



Wrocławianie szykowali się do tych wydarzeń już od początku roku. Z ciekawością obserwowaliśmy pustą na razie uliczkę lwowską, która potem przekształciła się w centrum rzemiosła ukraińskiego, lwowskich przysmaków, wyrobów artystycznych i atmosfery lwowskiej. Wsłuchiwaliśmy się w dźwięki ukraińskich melodii płynących z głośników.



/ 2 Uliczka Lwowska zimą

Aż wreszcie doczekaliśmy się. Ulica Lwowska w centrum miasta, w Rynku ożyła, zapełniła się artystami, rzemieślnikami i wrocławianami ciekawymi takich spotkań.

W ramach Miesiąca Lwowskiego przez 30 dni kwietnia gościliśmy wielu ukraińskich artystów: poetów, pisarzy, reżyserów, muzyków, kuratorów sztuki, malarzy, grafików, performerów i intelektualistów z różnych dziedzin kultury i sztuki. Oczywiście nie działo się to tylko na Uliczce Lwowskiej- cały Wrocław był przesiąknięty Lwowem.

Spójrzmy jeszcze na motyw graficzny widniejący za plecami tego mistrza czekolady i kowala. To ostre trójkąty.



/ 3.4 Uliczka Lwowska w kwietniu 2016



/ 5 Trójkąty ukraińskie

Ten motyw graficzny, który jest teraz obecny na ulicach Wrocławia i we wszystkich materiałach wizualnych, to nie jest tylko aluzja do ukraińskiego haftu.



/ 6 Trójkąty ukraińskie

Ukraińscy twórcy awangardowi Wasyl Jermilow i Heorhij Narbut zaczerpnęli ten motyw z ukraińskiej sztuki ludowej i wprowadzili do sztuki współczesnej; upowszechnił się on w teatrze, scenografii, grafice wydawniczej i stał się rozpoznawalny nie tylko na Ukrainie.

Współczesna Ukraina zaadoptowała te ostre kąty w każdym aspekcie życia.

W materiałach organizatorów miesiąca lwowskiego czytamy:

„Po wydarzeniach 30.11.2013 w naszej percepcji wszystko się wyostrzyło – w szczególności poczucie sprawiedliwości, sprowadzane obecnie do idealizmu i naiwności. Nie chcemy omijać ostrych kątów.

Chcemy budować z nich stabilne, lekkie i wysokie konstrukcje. Poprzez sztukę i kulturę oraz bezpośrednie relacje międzyludzkie, chcemy pokazać współczesną Ukrainę – młodą, interesującą, żywiołową. Celem Miesiąca Lwowskiego jest nie tylko prezentacja współczesnej Ukrainy, lecz pobudzenie i wzmocnienie mechanizmów synergii kulturalnej pomiędzy środowiskami artystycznymi obu naszych krajów oraz wytworzenie przestrzeni na wzajemne uczenie się własnej odrębności i poznawanie podobieństw między mieszkańcami Ukrainy, Polski i Unii Europejskiej.”

W programie wrocławskim były jeszcze takie ciekawe miejsca i wydarzenia:

- kawiarnia lwowska
- kino ukraińskie
- ukraiński Zriz/ Przeobrażenie
- dźwięki ze Wschodu

I jeszcze jedna bardzo ważna atrakcja: Panorama Plastyczna Dawnego Lwowa we wrocławskiej Hali Stulecia. To dość odległe miejsce od Rynku, ale i z tym poradzili sobie organizatorzy. Ustawiono przystanek Lwów dla meksów turystycznych. W ustalonych godzinach można było stamtąd pojechać do Hali i obejrzeć Panoramę. A jest co oglądać! Jest to dzieło Janusza Witwickiego- architekta i historyka. Tworzył je w latach 1929-46. Była to żmudna praca modelarska poprzedzona latami studiów i badań. Efekt był znakomity!



/ 7 Janusz Witwicki i jego dzieło

We wrocławskiej ekspozycji oprócz samej makiety starego Lwowa mamy też nowoczesną, multimedialną oprawę, która przybliżyła nam postać twórcy a także powojenne losy zabytkowego modelu miasta.



/ 8 Panorama Lwowa

Lwów porywa i zachwyca już od wieków, a i Wrocław to fascynujące miasto. Dobrze, że współpracujemy i rozwijamy więzi łączące te miasta. Wrocławski miesiąc to jeszcze nie koniec - dalszy ciąg w maju.

Ukraińska część projektu odbędzie się w maju 2016 we Lwowie.



/ 9 Plan Lwowa

Znam młodego człowieka z Wrocławia, który niedawno pojechał do Lwowa śladami swoich przodków. Zrobił wiele pięknych zdjęć i jest oczarowany miastem - na pewno będzie tam wracał. Cieszy nas to, że i całkiem młodzi ludzie interesują się historią, że szukają swoich korzeni, że zwiędają Kresy, nawiązują nowe przyjaźnie i współpracę. Nasza praca krzewienia wiedzy o Kresach na szczęście nie idzie na marne.



PROFESOR EUGENIUSZ ROMER (1871-1954) WIELKI GEOGRAF WSZECHCZASOWY SYN ZIEMI LWOWSKIEJ

Aleksander Szumański

Eugeniusz Romer urodził się 3 lutego 1871 roku we Lwowie. Zarówno ojciec jak i matka pochodzili ze starych rodzin szlacheckich. Rodzina ojca, gęsto rozszana na Podkarpaciu aż po Sanockie, była tam osiadła co najmniej od końca XV w. Nigdy nie wybijała się majątkiem ani znaczeniem politycznym, jednak znaczne i pełne starych książek biblioteki mieszczące się w ich siedzibach świadczyły o intelektualizmie rodu Romerów. Adam Romer (+1616) był komentatorem mów Cicerona, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, stryjeczny dziad Aleksander był historykiem i założył bibliotekę w Zabelziu, a jego bratanek Gustaw był jakiś czas docentem uniwersytetu monachijskiego. Nota bene najstarszy polski pomnik grobowy Krakowa, a jest to pomnik Stanisława Romera, znajdujący się w kościele Św. Krzyża, wyklucza wszelkie wątpliwości co do staropolskości tej rodziny.

Dziad Eugeniusza Romera, Henryk, powstaniec z r. 1831 nie wytrzymał represji, stracił dziedziczną wieś, zubożał, i po niespokojnej tułaczce osiadł w Wieliczce, gdzie zmarł w 1873 roku. Ojciec Eugeniusza - Edmund, dzięki poparciu i protekcji dostał się, jako dziesięcioletni chłopiec, do Teresianum, ekskluzywnej szkoły pod Wiedniem, założonej przez cesarżową Marię Teresę w 1746 r. kształcąca szlachecką młodzież do państwowej służby administracyjnej, spełniającą tę samą rolę co akademie wojskowe w odniesieniu do armii. Po ukończeniu tej szkoły został odkomenderowany w roku 1867 do służby w lwowskim namiestnictwie, od roku 1873 pracował w Rzeszowie, a od 1879 był zastępcą starosty w Krośnie; dość wcześnie przeszedł w stan spoczynku, umarł w 1895 roku. Matka Eugeniusza Romera Irena z domu Kortyellyyessy de Asguth pochodziła ze średniozamożnej szlachty węgierskiej z rumuńsko-serbskiego obszaru na południowym-wschodzie Austro-Węgier, ale w rodzinie tym była domieszka krwi serbskiej, chorwackiej, a nawet latyno-weneckiej. Gdy studiuje biografię Eugeniusza Romera i jego brata Jana, po I wojnie światowej generała Wojsk Polskich, zadziwia nas głęboki polski patriotyzm cechujący życie obu braci od wczesnego dzieciństwa, tym bardziej, że ani ojciec, który w Teresianum został zgermanizowany, ani matka

nie posługiwali się w domu, w okresie dzieciństwa Eugeniusza i Jana, językiem polskim. Językiem używanym w domu był francuski i niemiecki. Być może stąd wywodzi się tolerancja narodowościowa E. Romera.

Eugeniusz Romer otrzymał świadectwo dojrzałości gimnazjum klasycznego w Nowym Sączu w roku 1889. Studia uniwersyteckie w zakresie historii, geologii, geografii, meteorologii odbył w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w Halle i we Lwowie, gdzie obronił doktorat z filozofii (1894), a następnie zdał bardzo trudny egzamin nauczycielski (1895), na wyraźne życzenie ojca, który uważał, że tylko zdanie tego egzaminu i zdobycie uprawnień profesora gimnazjalnego gwarantuje stałą posadę i emeryturę. Studia dodatkowe odbył w Wiedniu: glaciologię u prof. Pencka (1895), geologię u prof. Richthofera i meteorologię u prof. Betzolta w Berlinie, tam też półroczną praktykę w Państwowym Instytucie Meteorologicznym pod kierunkiem Assmanna i Bersona. Habilitował się w roku 1899 we Lwowie i będąc już profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza zdecydował się zostać ponownie uczniem pracując przez z górą pół roku pod kierunkiem takiego mistrza w tektonice i morfologii jak prof. Lugeon w Lozannie.

W roku 1899 wstąpił w związek małżeński z Jadwigą Rossknecht, córką współzałożyciela i dyrektora browaru w Okocimiu. Z tego małżeństwa urodziło się dwóch synów - Witold (1900-1967) od 1946 roku profesor Politechniki Wrocławskiej i Edmund (1904-1988), po II wojnie światowej profesor Politechniki Śląskiej. Państwo Romerowie osiadli na stałe we Lwowie i całe swoje życie od tej pory związały z miastem Semper Fidelis.

Podczas wczesnych lat swojej pracy odbył prof. E. Romer szereg podróży badawczych, poświęconych przede wszystkim problemom rzeźby lodowcowej w Alpach, Pirenejach, Walii, Norwegii, w Górach Skalistych Kanady i Alaski. Zawsze jednak zainteresowany metodyką badań i dydaktyką odwiedził podczas tych podróży znane ośrodki uniwersyteckie w Paryżu (Sorbona), Lyonie, Bordeaux, Montpellier, Strassburgu, Cambridge, Oxfordzie, Londynie, Pradze, Belgradzie,

Zagrzebiu, Tokio, w USA - Harvard Univ., New Haven, Princetown i nowojorskie Columbia University. Główną dziedziną zainteresowań prof. E. Romera opartą na gruntownej i bardzo rozległej wiedzy w wymienionych dziedzinach, była kartografia, którą zajął się już w końcu ub. stulecia, zdobywając sobie imię w tej dziedzinie szeregiem prac krytycznych z zakresu kartografii. Przystępując do pracy nad atlasem szkolnym w roku 1904, stał się kartografem w całym tego słowa znaczeniu. Po latach napisze o nim prof. Jahn: „ - *był rasowym kartografem, miał wycucie szerokiej przestrzeni geograficznej, był geografem globu.*”

Podstawy naukowe i techniczne kartografii zdobył prof. Romer przede wszystkim w potężnym i sławnym wówczas austriackim Mil. Geogr. Institut w Wiedniu w latach 1904-1908 podczas druku 10 hipsometrycznych map, które złożyły się na pierwsze wydanie „Małego Atlasu Geograficznego” (1908). Była to wielka rewelacja w kartografii (izohipsy w różnych kolorach), a jednocześnie była pierwszą hipsometryczną syntezą kuli ziemskiej, opracowaną w jednolitej projekcji, która otworzyła profesorowi wszystkie drogi, a jego imię stało się szeroko znane.

Dzięki zdobytej popularności, w 1910 roku prof. Romer został zaproszony do uczestnictwa w wielkiej wyprawie badawczej z grupą pracowników Uniwersytetu Lwowskiego w góry Sichote-Aliń we wschodniej Syberii. Stało się to okazją do dalszej podróży geograficzno-krajoznawczej dokoła Azji. Wyprawa objęła również Japonię, Chiny, Indie, Himalaje i Cejlon. Obserwacje geograficzne, morfologiczne, klimatologiczne dokonane podczas tej wielkiej podróży służyły za temat do licznych artykułów, odczytów i spotkań.

Podczas dalszej działalności kartograficznej prof. Romer poszerzał swój światowy rozgłos licznymi publikacjami kartograficznymi począwszy od wspomnianego atlasu hipsometrycznego, poprzez „Polski atlas statystyczny i geograficzny” (1916), a skończywszy na z górą 250 mapach i atlasach, wydanych w latach 1921-1939 przez założony przez niego we Lwowie Instytut Kartograficzny. Bibliografia prac prof. Romera obejmuje ponad 400 pozycji.

Prof. Romer to przede wszystkim uczonek, ale również- pedagog. Tak pisze o początkach swojej pracy dydaktycznej jako młody nauczyciel: „**Jako nauczyciel postawiłem sobie za cel nie tyle wpajać pozytywną wiedzę geograficzną moim uczniom, ile przez ożywioną zbiorową dyskusję budzić w nich pojęcia z zakresu świata zewnętrznego. Chciałem, by zdawali sobie sprawę z drogi, która od powstawania pojęć wiedzy, ze sposobów, które pojęciom nadają większą precyzję, przy ciągłym apelowaniu do zdrowego, chłopskiego rozsądku. Co to była za rozkosz, gdy młode, przesądem zdobytej już wiedzy nie zepsute umysły wprowadzałem elementarnym czytaniem mapy w dyskusję problemów z życia gór, rzek, morza, krajobrazu, człowieka, państwa! Postawiwszy sobie jako cel naczelny nauczania geografii w szkole średniej umiejętność czytania mapy, uważałem, że sprawdzianem osiągnięcia celu będzie nie tyle wiedza, ile uzyskanie instrumentu, który powinien przez całe życie służyć do rozszerzania i pogłębiania tej wiedzy**”.

Prof. Romer zawsze stronił od polityki, gdyż jak pisał: „straciłem wiarę, że w polityce rzeczowe rozstrzygają względy”. Jeszcze dobitniej wyraził swój pogląd na politykę w odpowiedzi prof. Stanisławowi Grabskiemu, głównej postaci ze strony polskiej na pertraktacjach w Rydze w 1920 roku, gdy ten zwierzył się jemu ze swego zamiaru powrotu do nauki: „Panie kolego, nie wierzę, że wróci Pan do nauki, gdyż polityka psuje dobre obyczaje i z prawdą się zawsze kłóci, z polityki do czystej nauki nie ma powrotu, bo nauka to poszukiwanie prawdy!”.

Mimo tego poglądu wiedza i pozycja profesora Romera angażowały go wielokrotnie do uczestniczenia w gremiach, które decydowały o ważkich dla Polski sprawach. Podczas I wojny światowej, gdy w roku 1916 było oczywiste, że zbliża się czas odrodzenia państwa polskiego prof. E. Romer przebywając w Wiedniu przystąpił do opracowania wielkiego atlasu geograficzno-statystycznego, przedstawiającego obraz całej Polski pod każdym względem: fizjograficznym, narodowym, gospodarczym i kulturalnym. Chodziło bowiem o podstawowe zagadnienie zupełnie pomijane dotychczas przez świat, a tym bardziej zaborców: dokąd sięgają Polacy, gdzie są w większości, na jakim obszarze są rozsiani, a na jakim wyraźnie zostali zepchnięci, gdzie są dużą, dominującą siłą kulturalną, gospodarczą, organizacyjną. Jakie stąd mogą wynikać granice Polski, jakie jest jej położenie geograficzne, więzy komunikacyjne, hydrograficzne,

gdzie znajdują się żywotne dla przyszłego państwa polskiego zasoby mineralne? Na tle atlasu zarysował się obszar przyszłej Polski!

Atlas miał ogromne znaczenie dla przyszłych pertraktacji pokojowych, wszak państwo polskie nie istniało od przeszło stu lat, a informacje o Polsce i Polakach dochodziły jedynie ze źródeł państw zaborczych. Źródła te konsekwentnie umniejszały wszelkie wartości narodu polskiego, a zwłaszcza etniczny zasięg i znaczenie Polaków w zaborach.

Ta, nadzwyczaj ważna działalność prof. Romera spowodowała, że uczestniczył on jako członek delegacji polskiej przy ustalaniu zachodniej granicy Polski w traktacie wersalskim - upoważniony przez szefa delegacji Romana Dmowskiego referował sprawę polską premierowi Francji Clemencescau, który miał bronić polskiego punktu widzenia przy pertraktacjach traktatu wersalskiego, odegrał istotną rolę w uzgadnianiu szczegółów topograficznych przy ustalaniu granicy wschodniej na konferencji w Rydze, po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku.

Profesor Romer miał w całym tego słowa znaczeniu poglądy demokratyczne. Polski patriotyzm Romera nigdy nie był zasklepiiony w ramach jakiegokolwiek elitarnego klasy. Przeciwnie, buntował się przeciw „wysoko urodzonym”. Ze swoim pochodzeniem szlacheckim kojarzył obowiązki, a nie przywileje, szacunek dla innych wynikał z ich osobistej wartości, a nigdy z pochodzenia. Od tych „wysoko urodzonych” wymagał znacznie więcej.

Jego poglądy nie zgadzały się z poglądami marszałka Józefa Piłsudskiego. Nieraz mówił z dezaprobatą o jego tendencjach autokratycznych, o niedostępności dla argumentów swobodnej dyskusji, o upartym trwaniu przy własnej koncepcji. Był wielkim przeciwnikiem wyprawy na Kijów, mając duże wątpliwości, czy po tylu latach niewoli takie imperialne pociągnięcia są dla Polski pożyteczne. Uważał, że trzeba przede wszystkim zająć się odbudową gospodarki i przemysłu.

Charakteryzując sylwetkę Profesora oddajmy głos jednemu z jego wychowanków, profesorowi Janowi Ernstowi, który studiował u niego w końcu lat 20-tych: „Dyrektorem Instytutu Geografii był prof. E. Romer, wielki uczonek i świetny, kochany przez studentów pedagog. Należał jeszcze do tej generacji geografów, którzy obejmowali umysłem cały zakres nauki i w każdej dziedzinie geografii pozostawili cenny swój wkład. Romera jako pedagoga cechował przede wszystkim entuzjazm dla poruszanych i wykładanych problemów, którymi

potrafił „zarazić” słuchaczy. Dotyczyło to wykładów, do których czasem nawet się nie przygotowywał, ale i częstych spotkań z pracownikami Instytutu. Codziennie o 11-rano była tak zwana „herbatka”, na którą oprócz pracowników przychodzili także uczniowie. Romer poruszał wówczas temat, który przyszedł mu właśnie w tym momencie na myśl i przykuwał uwagę wszystkich pełnymi sugestyjnościami słowami. Serdeczność, zapał i humor Romera stwarzały w jego naukowym otoczeniu, w Instytucie szczególną atmosferę wzajemnej bliskości i przyjaźni. Tworzyła się niema! rodzina geograficzna, pełna wdzięczności i kultu dla swego Profesora, które przetrwały przez wiele lat.

Pozwolę sobie również przytoczyć fragmenty wspomnień prof. A. Jahna („Z Kleparowa w świat szeroki”) dotyczące E. Romera: „Ponad wszystkimi jaśniała gwiazda Eugeniusza Romera. To właśnie on był tym, który na drzwiach uniwersyteckiego Instytutu Geograficznego umieścił napis:

„Profesor geografii”, co miało swój szczególny wyraz, oznaczało osobę i instytucję.”, i w innym miejscu; „Ten wybitny człowiek, o niepomahowanej energii działania i ambicji, jak gdyby nie mieścił się swoim formatem w rozpiętości życia uniwersyteckiego”, (dotyczyło to wcześniejszego przejścia Romera na emeryturę), i dalej: „...miał jakiś szczególny, wręcz magiczny, wpływ na ludzi. Ten krępy, średniego wzrostu człowiek, z wydatnym nosem i bystro patrzącymi oczami, był czymś stale zaferowany, niespokojny, niecierpliw, kapryśny.” ...”Mówił wiele, trafiał w sedno rzeczy, lecz wszystko jakby przesiewał przez sito własnych odczuć i wyobrażeń...” „Romer ponad naukę stawiał sprawy społeczne, sprawy narodu i państwa. Był patriotą wielkiego formatu.” ...”Całą swoją wiedzę geograficzną oddawał społeczeństwu.” I jeszcze inny obraz profesora Romera zaczerpnięty z książki jego syna Edmunda pt. „Geograf trzech epok”:

„Jego uroda, temperament i intelekt tworzą zachwycającą i wyjątkowo pociągającą postać. Chyba nie ma studentki, która by się w nim nie podkochiwała, a niewiele jest kobiet, które by mu nie uległy. A co najdziwniejsze, profesor żadnej studentki i chyba żadnej kobiety, poza żoną nie tknął. Wiem o tym na pewno, tego nie da się ukryć, za wiele młodych, pragnących oczu patrzy i obserwuje. Jego żona, budząca taki szacunek swym umiarem i godnością, jest równocześnie przedmiotem zazdrości wielu spośród nas. Czasem dziwimy się, że taka spokojna, pozornie szara osoba może żyć z taką burzą. Tak widocznie miało być i zapewne tak jest dobrze.”

W roku 1929 Eugeniusz Romer, w sile wieku, mając dopiero 58 lat przeszedł, jako profesor Uniwersytetu Lwowskiego, na przedwczesną emeryturę, koncentrując się na pracy w Książnicy Atlas, spółce akcyjnej, założonej z jego inicjatywy we Lwowie w roku 1916, której był poważnym akcjonariuszem i wieloletnim przewodniczącym. W Książnicy Atlas drukowano mapy i atlasy głównie według koncepcji Romera. Po wojnie Książnica Atlas wznowiła swoją działalność we Wrocławiu, przekształcona w latach późniejszych przez władze w istniejące do dzisiaj Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych im. E. Romera. Do wybuchu II wojny światowej prof. Romer utrzymywał kontakty z uczelnią wykładając, uczestnicząc w komisjach przewodów doktorskich, habilitacyjnych i in. W sumie, patronował w latach 1911-1946 dwunastu habilitacjom”.

Wybuch drugiej wojny światowej przerwał wszelką działalność zawodową Profesora. Po zajęciu Lwowa w 1941 roku przez Niemców sytuacja stała się dla prof. Romera bardzo niebezpieczna, ze względu na groźbę prześladowania ze strony władz hitlerowskich za jego stanowisko przy ustalaniu zachodnich granic Polski w 1918 roku. Kierowany niepokojem ukrył się w klasztorze Ojców Zmartwychwstańców przy ulicy Piekarskiej we Lwowie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w ten sposób uniknął losu bestialsko pomordowanych kilkudziesięciu lwowskich profesorów.

Miejsce ukrycia się prof. Romera było raczej przypadkowe, bowiem jego stosunek do wiary był obojętny, a do niektórych zasad i postępowania Kościoła nawet krytyczny. Gdy jednak znalazł się w klasztorze, mimo ukończonych 70 lat, zaczął z tak charakterystyczną dla siebie pasją i dynamiką studiować teologię. Tak pisze o sobie z tego okresu; „Nie tylko moja sfera afekcyjna, cała umysłowość, doznała radykalnego przewrotu. Rzuciłem całą olbrzymią, zaawansowaną pracę moją i bez cienia żalu zabrałem się do pracy duchowej, zdobyłem z wiarą i nadzieją pokój, o którym nigdy nie śniłem i dziś jestem daleko zaawansowany w zupełnie innej, w każdym calu w atmosferze tajemników religijnych pogrążonej pracy.”

Podczas trzyletniego pobytu w klasztorze przeczytał ok. 60 tomów dzieł teologicznych, i znając doskonale język francuski, niemiecki i angielski, opanował biegle łacinę i przeczytał w tym języku ponad 2000 stron. Zapragnął nawet przyjąć święcenia kapłańskie, jednak na przeszkodzie stanęło przeznaczenie. Mianowicie na propozycję rządu polskiego w Londynie prof. Romer zgodził się na przerzut drogą lotniczą

do Anglii, by tam służyć jako ekspert. Jan Ernst pisze, że celem przerzutu miało być kandydowanie E. Romera na stanowisko Prezydenta RP na emigracji. Organizacja podziemna przeniosła go konspiracyjnie do Warszawy, gdzie oczekiwał przerzutu do Anglii. Tok wypadków przeinaczył i zniweczył wszelkie plany i zamierzenia. Lekarze powołani do zbadania stanu zdrowia Profesora przed lotem nie wyrazili zgody na tę podróż, licząc się z tym, że może on nie znieść trudnego lotu w warunkach wojennych. Pozostał więc w Warszawie pod nazwiskiem Edmund Piotrowski, przeżył Powstanie Warszawskie i gehennę obozu pruszkowskiego, skąd wyostał się przy pomocy swojej bratanicy Anny Romer - Pannenkowej, która dzięki bardzo dobrej znajomości języka niemieckiego pracowała w sanitarnej służbie obozu.

Po wojnie osiadł w Krakowie, gdzie objął katedrę geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz kierownictwo krakowskiego Instytutu Geograficznego. Opiekował się habilitantami i wznowił działalność publikacyjną z zakresu klimatologii, geomorfologii i paleogeografii, czego wynikiem jest około 30 prac napisanych po wojnie. Swoją ogromną wiedzę starał się wykorzystać analizując i wyciągając wnioski na temat ewolucji krajobrazu pod wpływem działania wód i jego sieci rzecznej w oparciu o znajomość związków przyczynowych występujących w tych procesach.

Intensywnie współpracował w dziedzinie kartografii z otwartą ponownie Książnicą Atlas we Wrocławiu. Wynikiem tego są nowe wydania Małego Atlasu Geograficznego. Pod redakcją E. Romera ukazał się cały szereg mniejszych atlasów szkolnych i innych pomocy do nauki geografii oraz - już pośmiertnie - Atlas Geograficzny Świata, wydany w pięknej szacie graficznej.

Pierwsze poważne symptomy ubytku sił fizycznych pojawiły się w roku 1949. Pracował w domu do ostatnich swoich dni, mimo pogarszającego się stanu zdrowia. Zmarł dnia 28 stycznia 1954 roku przeżywszy 83 lata. Został pochowany w Krakowie na Salwatorze.

Profesor Eugeniusz Romer, światowej sławy uczonek, wielki humanista i patriota należał niewątpliwie do grona najwybitniejszych Polaków ostatniego stulecia.

Miałem w szkole średniej zaszczyt uczyć się geografii według kartografii Profesora Eugeniusza Romera, posługując się słynnym jego atlasem świata.

Źródła:

<http://www.lwow.home.pl/semper/romer.html>

Obchody 73. rocznicy ludobójstwa w roku 2016.



Zgłoszenia grup Kresowych wysyłamy do:

Aleksander Szycht lwowianin@wp.pl

Zgłoszenia grup patriotycznych wysyłamy do:

Maciej Rafał Białkowski wolyn11lipca@wp.pl

Zgłoszenia Grup Rekonstrukcji Historycznej wysyłamy do:

Bartłomiej Jaworski wolyn11lipcagr@gmail.com

Zgłoszenia na Wieczornicę wysyłamy do:

Andrzej Łukawski andrzej.lukawski@pokoleniakresowe.pl

Nasze serwisy

www.pokoleniakresowe.pl/



www.27wdpak.pl



www.wolyn.org



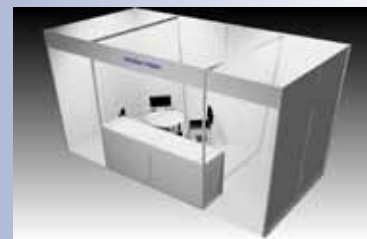
www.wolyn.org



My gazety tak mamy - uwielbiamy reklamy

Ten numer gazety powstał dzięki Agencji Reklamowej **BARTEXPO**

BARTEXPO



- targi, reklama, poligrafia
- komputery i sieci internetowe,
- hosting, konta internetowe
- domeny i skrzynki pocztowe
- nagłośnienie

02-670 Warszawa ul. Puławska
240/60

22 8534397 ; 501 153340

Partnerzy medialni

Zostań PARTNEREM MEDIALNYM
Nie może Ciebie tutaj zabraknąć

Redakcja - Kontakt:

Bogusław Szarwiło - Redaktor Naczelny
redakcjaksi@kresy.info.pl
607144741
Aleksander Szumański
aszumanski@kresy.info.pl
607 345 832; 664 773 118

Anna Małgorzata Budzińska
anna.malga@gmail.com 660 159 143
Maciej Prażmo
maciejp-rybidom@wp.pl 602 319 309
Andrzej Łukawski - Wydawca info@kresy.info.pl
22-853 43 97; 501 153 340

Jesteś pasjonatem Kresów?
Koniecznie skontaktuj się z
Kresowym Serwisem
Informacyjnym

redakcjaksi@kresy.info.pl

